

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/230

1966



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. HOSTOWIEC : **PROCHY NORWIDA**

J. MIEROSZEWSKI : **“WIELKA TRÓJKA”
W POLSKIM ZWIERCIADLE**

L. VASCONI : **CHINY WSPÓŁCZESNE**

INDEKS AUTORÓW

I TEMATÓW «KULTURY» ZA ROK 1966

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragm. z dziennika</i>	7
B. Możejew:	<i>Z życia Fiedora Kuźkina (3)</i>	19



ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>„Wielka Trójka” w polskim zwierciadle</i>	55
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	65



SĄSIEDZI

Obywatel sowiecki starego pokolenia:	<i>Do starego przyjaciela</i>	73
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	82

WOLNA TRYBUNA

Luciano Vasconi:	<i>Chiny współczesne</i>	85
------------------	--------------------------------	----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	98
------------	----------------------------------	----



SPRAWY I TROSKI

Andrzej Cheiuk:	<i>Jak żyjemy?</i>	106
-----------------	--------------------------	-----



K R A J

George J. Flemming:	<i>Coś do śmiechu</i>	118
---------------------	-----------------------------	-----



NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	<i>Wojna i pokój (dok.)</i>	124
----------------------	-----------------------------------	-----



KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Nakov:	<i>Weneckie konfrontacje</i>	137
----------------	------------------------------------	-----



K S I A Ź K I

Wacław Jędrzejewicz:	<i>Powieść o Kronice Galla</i>	145
Adam Czerniawski:	<i>Miasto w historii</i>	156
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	159



J. Czapski, K. Krótki, L. Mitkiewicz, J. Pomorska:	<i>Listy do Redakcji</i>	160
--	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1966</i>	165
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień — Décembre 1966

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej NAKOV, ur. w r. 1941 w Sofii (Bułgaria), z matki Polki. Ojciec bułgarski dyplomata (przed wojną) i polonofil. A. Nakov po ukończeniu w 1959 r. liceum w Sofii studiował w Polsce (Konservatorium — klasa fortepianu u prof. Zb. Drzewieckiego; historia sztuki na Uniw. Warszawskim). Z powodów politycznych był zmuszony opuścić Warszawę w r. 1963 w trakcie przygotowywania pracy magisterskiej. W związku z tym Uniwersytet i Konservatorium odmówiły mu wydania jakichkolwiek świadectw. Rozpoczął na nowo studia na Sorbonie i po zrobieniu w rb. Licence d'Histoire de l'art (z wyróżnieniem) rozpoczął pracę doktorską z zakresu Renesansu u prof. André Chastela. Ogłasza artykuły fachowe i krytyki o sztuce współczesnej.

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

I. G. Gray, Princeton, La. (USA), po raz drugi	F. 24,50
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 25,75
Marian i Józefa Turscy, Ste. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada), po raz czternasty	F. 90,00
M. P. Nitostawska, Montreal, Que. (Kanada)	F. 9,00
Jan Mika, Chicago, Ill. (USA)	F. 49,00
Adam Czerniawski, Londyn	F. 55,00

DZIĘKUJEMY!

W związku z opublikowanym w *Sunday Times* z 13 listopada 1966 artykułem p. Nicholasa Carroll'a o zbiorowych protestach sowieckich intelektualistów przeciwko skazaniu A. Siniawskiego i J. Daniela — których teksty „Kultura” otrzymała — Redakcja *Sunday Times* przekazała na nasze ręce kwotę £. 26.05.00, jako dar na fundusz dla uwieczonych pisarzy i ich rodzin.

Przypominamy, że materiały do działu „Wydarzenia miesiąca” należy przysyłać na adres:

J. KORSON
112, Meadvale Rd.,
London W.5., Wielka Brytania.

Imprimé en France.

Notatnik nieśpiesznego
przechodnia

PROCHY NORWIDA

Z Warszawy nadeszła wiadomość, że powstał tam projekt sprowadzenia do kraju prochów Norwida, i że pod przewodnictwem tow. Zenona Kliszki zawiązał się w tym celu komitet, złożony z honoratorów literatury. Wchodzą doń mianowicie: Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, prof. Stanisław Pigoń, Julian Przyboś, Mieczysław Jastrun, Marian Piechal i prof. Stefania Skwarczyńska.

Norwid zostanie więc przeniesiony na etat wieszczca. Operacja taka ma charakter wybitnie urzędowy; zaplanować ją i przeprowadzić mogą tylko czynniki oficjalne. Nie inaczej zresztą odbyło się sprowadzenie prochów Słowackiego. Na czele komitetu inicjatywy stanął był wówczas generał Żeligowski. Będąc przypadkowym świadkiem pierwszego posiedzenia tego gremium, przypominam sobie następujący szczegół. Gdy usiedliśmy za stołem, szepnąłem na ucho siedzącemu obok Lechoniowi, że podczas znanego buntu Żeligowskiego na Wileńszczyźnie samoloty sowieckie rozrzuciły tam po wsiach ulotki zaczynające się od słów: *Żeligowskiej eto polskiej d'Annunzio*. Lechoń, który był wielkim śmieszkiem, wydał krótki ryk, rzucił na ziemię trzymaną w ręku ołówek i znikł za nim pod stołem, skąd wynurzył się po chwili z oczami pełnymi łez. Żeligowski przyglądał mu się podejrziwie*.

* Dla tych, którzy nie pamiętają tych czasów, dodam, że bunt Żeligowskiego nie był pomysłem oryginalnym. W podobnych okolicznościach, o dwa lata wcześniej, ku rzekomemu zdumieniu rządu włoskiego, d'Annunzio na czele grupy ochotników zajął był Fiume, port dalmatyński noszący dziś nazwę Rjeki.

Można mieć nadzieję, że tow. Kliszko w charakterze norwidologa dostarczy pozostałym członkom komitetu pewnej zabawy, dodając nową stronicę do rubryki *humor krajowy*.

Rozgłoszenia Wolnej Europy zaprosiła kilkunastu pisarzy emigracyjnych do wypowiedzenia się na temat warszawskiego projektu. Nie znam jeszcze wyniku tej ankiety, przypuszczając jednak można, że większość zapytanych odniesie się doń niechętnie lub przynajmniej krytycznie. Byłoby to zupełnie zrozumiałe. Dla pisarzy przebywających obecnie na emigracji paradoksalność projektu Kliszki jest najbardziej oczywista. Książki ich są zakazane w kraju, za kolportowanie ich grozi kara więzienia, nawet nazwisk ich nie wolno wymieniać w gazetach, Norwid był również emigrantem, opuścił kraj w warunkach podobnych do obecnych i gdyby żył, byłby również pisarzem zakazanim i przemilczanym.

Zresztą jak długo nie ma w kraju żadnego dostępnego i nie oskubanego przez cenzurę wydania dzieł Norwida, jest jasne, że nie chodzi tu ani o niego, ani o jego czytelników, lecz o efekty uboczne tego przedsięwzięcia. Z urną z prochami Norwida w ręku tow. Kliszko przegląda się w lustrze: — Czy mi do twarzy z tymi prochami?

Czemu nie? Przede wszystkim będzie się z nimi czuł bezpiecznie. Prochy Norwida nie są materiałem wybuchowym. Wiersze jego nakłaniają do refleksji, nie sugerują żadnych nieprześlanych odruchów. Nawet obraz rozebranej Polski układał mu się w formę klasycznych już alegorii i kaligramów. W jego intelektualizmie jest coś aleksandryjskiego.

Następnie prochy Norwida są bardzo dekoracyjne. Wyobraźmy sobie tylko fotografię pamiątkową z uroczystości norwidowskich. Zobaczymy na niej tow. Kliszkę opartego o urnę żałobną, w otoczeniu honoratorów literatury.

Od czasów Augusta wszyscy dyktatorzy i uzurpatorzy usiłowali zgromadzić u stóp tronu najślawniejszych pisarzy i artystów. Szukali w tym ubocznej legitymacji swej władzy. Nawet generał Franco, mało na pozór interesujący się tymi właściwościami słowa pisanego, oświadczył na uroczystości uniwersyteckiej w Salamance, że każda szanująca się władza otacza opieką literaturę i naukę.

Gomułka i Kliszko wojowali dotychczas z pisarzami: gnębili ich przy pomocy cenzury i szykan. I oto tow. Kliszko ukazuje się w otoczeniu znanych poetów i zasłużonych historyków literatury. Zrobi przy tym na prochach świetny interes. Będzie mógł ująć niemal za nowego Mecenasą nie obiecując nic żywym, nie rozluźniając wcale gniożącej ich obroży.

Otoczający go członkowie komitetu widzą dokładnie te chytrłości władzy. Jak czują się w tej sytuacji? Kogucie, kogucie, czy ci dobrze w tym bucicu? jak mówi piosenka. Piszącemu na emi-

gracji nie łatwo wyobrazić sobie treść ich kontenansu. Z pomocą przychodzi tu Norwid żegnający się z krajem:

*I odepchnąłem nogą ten brzeg, co pokornie
Zgiął się pod moim obcasem;
Skrzypliał mi on, że jest męczeńskim wytwornie,
Ale przeklinał mnie basem.*

W tej eleganckiej formule — męczeństwo wytworne — stary poeta emigracji zamknął ustępstwa, kompromisy, abdykacje i upokorzenia, jakie szanowanym pisarzom przynosi w kraju kontakt z władzą.

Najsmutniejszy jednak los przypadnie wśród projektowanych uroczystości samemu Norwidowi. Będzie podobny do ptaka, który szerokim rozmachem skrzydeł wyleciał był kiedyś na wolność i teraz, martwy, bezwładny, niesiony jest uroczyście z powrotem do klatki.

Jako następnego kandydata do Panteonu proponowałbym Felicjana Faleńskiego, który nie był emigrantem, i którego aktualizacja polityczna nie wymagałaby żadnych karkołomnych interpretacji. Trudno zgadnąć, w jaki sposób jego genialne antycypacje mogły ująć uwagi uczonych w piśmie. W jednym np. z jego najbardziej znanych wierszy Romulus, budowniczy przyszłego Rzymu, apostrofuje ówczesnych rewizjonistów w następujących słowach:

*Wie król najlepiej, kiedy mu wypadnie
Przyjść na świat, zbroić zuchwale,
A kiedy wreszcie upaść tak dokładnie,
By już nie podniósł się wcale.*

Faleński jest zapewne jedynym poetą polskim, któremu udało się sformułować jasno myśl, że tylko wykonywujący władzę mają dane do interpretowania praw historii, które powołały ich do rządzenia krajem. „Król” jest tu oczywiście tylko symbolem, bo Rzymu nie zbudował jeden człowiek, lecz grupa trzystu rodzin, którą bez omyłki można by nazwać partią. Nie zmienimy więc wcale sensu tego utworu, odczytując przytoczony ustęp w sposób następujący:

*Partia wie lepiej, kiedy jej wypadnie
Wziąć władzę, broić zuchwale...*

Z całości tego utworu wynika, że Faleński był jedynym w Polsce prekursorem i wieszczem leninizmu. Niosąc go na Wawel tow. Kliszko nie musiałby wchodzić w kompromisy ze swym marksistowskim sumieniem.

Paweł HOSTOWIEC

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Wyłączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię
KULTURY
i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIĘGARNIA S.P.K.

- jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojezycznych,
- jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

Fragment z dziennika

16. X. 1966

*„Przeze mnie droga do smętnej krainy
Przeze mnie droga do wiecznej żałoby
Przeze mnie droga w plemię zatraconych”*

„Smętna kraina” on pisze... O piekle? Nic lepszego nie mógł wymyślić?

Niemrawe to i zwyczajne... zanadto „z życia”... Jabym dziś lepiej to powiedział! „Meta”! Piekło jest przede wszystkim metafizyczne!

Mówiąc o piekle trzeba dobierać słów wewnętrznie sprzecznych, żeby w nich się zawarł element Niewyraźnego.

Zamiast więc „Przeze mnie droga do smętnej krainy” napiszmy coś w tym rodzaju:

*„Przeze mnie droga do krainy, która
Bezdena, wiecznie otchłań swoją goni”*

Lepiej! O ileż głębsze takie piekło, zapadające się we własną głębię...

A drugi wiersz tego napisu dantejskiego na bramie Piekieł (bo to jest śpiew trzeci Boskiej Komedii, Dante i Wirgili zbliżają się do bramy piekielnej, na której ten napis widnieje):

„Przeze mnie droga do wiecznej żałoby”

Jedyne co mogłoby tu zaniepokoić, to „wiecznej”. Na nic więcej nie mógł się zdobyć? Biorę pióro. Zastanówmy się... Ale

po cóż się głowić, mam do wyboru kilkanaście, co najmniej, lepszych idei, już gotowych, w głowie mojej już zadamowionych... Na przykład:

*„Przeze mnie droga tam, gdzie Zło wieczyście
Sobą się kazi i siebie przeżera”*

A wykładnia mego wersetu następująca: gdy w poprzednim (metafizycznym) określeniu piekła uwydatniłem jego nie-ludzkość absolutną, w tym wyrażam to jedno jedyne, co mogłoby je, choć cokolwiek, uczłowieczyć, udostępnić człowiekowi. Idzie o, po prostu mówiąc, partactwo. Piekło to przedsięwzięcie spartaczone.

Nowoczesna myśl (i, jak dla mnie, nęcąca).

Albowiem Zło Absolutne musi być „złe” także w swoim bycie. Zło pragnące zła, i tylko zła, nie może urzeczywistnić się „dobrze”, czyli w pełni. Człowiek „zły” popełnia coś złego (zabija sąsiada), ale to zło dla niego jest dobrem, on nie robi tego, bo złe, ale dlatego, że, dla niego, dobre, że odpowiada jego interesom... i chce to zrobić nie „złe”, a „dobrze”. Ten człowiek jest więc, jak inni, szuka dobra; jedyna różnica, iż dobro upatruje w zbrodni... A Szatan? Szatan chce zła, i tylko zła, nie może chcieć dobra; więc nawet Szatanem chce być „złe”. Piekło jest czymś źle urzeczywistnionym. Jest skażone w swoim bycie. Jest tandetą.

Ciekawa myśl. Nowoczesna. Myśl troszeczkę może za dialektyczna, ale poszerzająca wyobraźnię...

Nic innego, tylko ta idea partactwa może udostępnić Człowieczeństwu otchłań piekielną. Wizja Zła wgryzającego się w siebie, siebie dręczącego... owszem, smaczne...

Nie wiedział tego pielgrzym florencki, nie stać go było na taką myśl... gdyby ją mógł dojrzeć, powitałby ją na kolanach, on i Wirgili! Jakież skok dałoby jego piekło, spięte tą ostrogą!

Co się tyczy trzeciego wiersza:

„Przeze mnie droga w plemię zatraconych”

dobrze, zgoda, nie mam zastrzeżeń, „zatrącenie”, tak, znamy dziś ten smak... Ale uzupełniłbym to jednym przymiotnikiem, trochę nieoczekiwany:

*„Przeze mnie droga w plemię zatraconych
Niezmordowanych...”*

Owszem, tak, „niezmordowanych”, taki sobie szorstki przymiotnik z gatunku „niezmordowany tancerz”, albo „niezmordo-

wany pracownik”, ale też bliski innemu „niezamordowany”... Tak, ponieważ ludzkość potępieńca jest niespożyta, na wieczność, diabeł i człowiek to dwie niezużywające się kolumny piekła.

Przeczytajmy wszystko od początku.

*„Przeze mnie droga do krainy, która
Bezdena, wiecznie otchłań swoją ściga
Przeze mnie droga tam gdzie Zło wieczyście
Sobą się kazi i siebie przeżera
Przeze mnie droga w plemię zatraconych
Niezmordowanych...”*

I porównajcie z jego tercyną, powierzchowną, nieudolną! To by dopiero było dantejskie piekło — tymi trzema ideami mymi wytłoczone! Ale, powtarzam, mógłbym z dziesięć innych dołożyć, równie zawrotnych, jemu nieznanym (mógłbym, na przykład, ująć piekło jako „ciągłość”, lub uczynić zeń coś „ziarnistego”, potraktować w kategoriach „przerzutu”, „tła”, „transcendencji”, „alienacji”, „funkcji”, „psychizmu”, „bytu-w-sobie-dla-siebie” etcetera, etcetera, etcetera, och, och, och!).

Ja nawiązując z tym jakimś Dantem poprzez ten rój, ten wir tych sześciuset lat wypełnionych istnieniem, ja zanurzający się w czas załatwiony by dosięgnąć jego, umarłego, tego jakiegoś „byłego” Alighieri... W obcowaniu naszym z umarłymi to tylko jest anormalne, że ono dla nas tak normalne. Mówimy: żył, umarł, napisał Boską Komedję, ja ją teraz czytam...

Ale przeszłość jest przecież czymś, czego nie ma. A przeszłość sześć wieków licząca jest już tak odległa, że ja nawet we własnej mojej przeszłości z nią się nigdy nie zetknąłem — odkąd żyję, ona jest czymś „byłym”. Cóż więc znaczy „żył w przeszłości”? W teraźniejszości mojej odnajduję jakieś ślady — poemat — i z nich wyprowadzam tamto niegdysiejsze istnienie, ja muszę je sobie odtworzyć. Na to wszakże abym mógł o kimś powiedzieć, że „był” (niesłychane słowo, będące czymś w rodzaju „jest”, ale osłabionego), musi mi się to „był” ukazać, ale na widnokręgu samym mej teraźniejszości, jako dziwny punkt skrzyżowania dwóch promieni: jednego, który ze mnie pochodzi, z mego wysiłku odtwarzającego, i drugiego, który rodzi się z zewnątrz, na samym przecięciu przyszłości i przeszłości, w samym punkcie przemijania, i pozwala odczuć, że to, co było, ciągle „jest”, jest jako coś „byłego”.

Obcowanie z przeszłością jest więc ciągłym dopracowywaniem się jej, powoływaniem do bytu... ale, ponieważ odczytujemy ją ze śladów, jakie pozostawiła, a te ślady są zależne od przypadku,

od materiału, w jakim zostały przekazane, kruchego, lub mniej kruchego, od przygód rozmaitych w czasie, jest przeto, ta przeszłość, chaotyczna, przypadkowa, fragmentaryczna... O jednej mojej prababce nic nie wiem, wygląd, charakter, życie, nic, nic, oprócz tego, że szesnastego czerwca 1669-go roku, w sam dzień elekcji króla Michała, zakupiła dwa łokcie barchanu i imbir. Pozostał arkusz żółty, pokryty rachunkami, a z boku było napisane, już dokładnie nie pamiętam, coś w rodzaju „Proszę pana Szolta dwa łokcie barchanu i Imbir kupić iak będzie wracał z Remigoły”. Imbir i barchan, to tylko, nic więcej.

Przeszłość to panoptikum zrobione z okruczeń... tym ona naprawdę jest... Więc jednak daję do myślenia, że my ją chcemy, mimo wszystko, mieć pełną, żywą, wypełnioną osobami, konkretną... i że to w nas potrzeba taka uparta...



Dziesiąta rano i po górach pną się mgły, rozbijane światłem. Zauważyłem już od dawna, że lektury jakoś się zbiegają.

Na przykład:

Dante: Boska Komedia.

Michel Foucault: Les mots et les choses. (Słowa i rzeczy).

Roland Barthes: Essais critiques.

A przedtem poczytałem sobie troszkę Borgesa.

Przyjazne mi te książki, czy wrogie? Kiedyś płynąłem górną Paraną, jej pokrętnymi rozlewiskami, z napięciem okropnym przyjmując w siebie krajobrazy, nowe za każdym zakrętem rzeki — jakby one mogły mnie nadwątlić, lub spotęgować — i nie inaczej w ciągu wieloletniej mej pracy literackiej zagłębiałem wzrok w świecie badając czy mój Czas mnie utwierdza, czy obala. Przez wiele lat te rekonesansy były pozytywne; i nic tak nie pociesza, jak gdy widzisz, że wszystko, ewolucja gustów, pojęć, obyczajów, technik, jest z tobą w przymierzu, otwiera ci drogi. Ale teraz sprawa się skomplikowała. Mnożą się wokół mnie fenomeny, z którymi jestem na pewno blisko spokrewniony, a jednocześnie one jak zatrute jakąś nieznosną dla mnie intencją.

Problem Formy, człowiek jako producent formy, człowiek jako niewolnik form, ujęcie Formy Międzyludzkiej, jako nadrzędnej siły stwarzającej, człowiek nieautentyczny — o tym zawsze pisałem, tym się przejmowałem, to wydobywałem — i, proszę, zastąpście „formę” „strukturalizmem”, a ujrzyście mnie w centrum dzisiejszej francuskiej problematyki intelektualnej. Wszak w „Ferdynurce”, w „Kosmosie”, nie o co innego chodzi, jak właśnie o tyranie form, o balet struktur. A w „Ślubie” czarno na białym wypisano: „Nie my mówimy słowa, to słowa nas mówią”.

Dlaczego więc między mną, a nimi, ta antypatia... i jakby, odwracając się ode mnie, w innym zmiarali kierunku... Ich dzieła — czy to *nouveau roman français*, czy ich socjologia, lingwistyka, czy krytyka literacka — nacechowane są dążeniem duchowym, które mnie się wydaje, doprawdy, niemiłe, nieprzyjemne, niewłaściwe, niepraktyczne, nieskuteczne... Zapewne, najważniejsze co nas dzieli, to że oni są z nauki, a ja ze sztuki. Zalutują uniwersytetem. Ta ich świadoma i zawzięta pedanteria. Ich profesorskość. Zgryźliwość, zaciętość w nudzie, nietowarzystwość, intelektualna duma, surowość... ich maniery mnie rażą, ich język jest zanadto wywindowany... Ale to nie wszystko. Istnieje głębsza racja tej między nami obraz. Gdy ja chcę być rozluźnieniem, oni są kurczowi, napięci, sztywni i zacierzeni... i gdy ja dążę „ku sobie” oni wciąż — od dawna już — dyszą żądzą samouniastwienia, chcą wyjść z siebie, opuścić siebie. Obiekt. Obiektywizm. Jakaś asceza, prawie średniowieczna. Ta jakaś „czystość”, która ich pociąga w odczłowieczeniu. Ale ten ich obiektywizm nie jest chłodny (choć chciały być lodowaty), czał się w nim żądło intencji agresywnej, coś prowokującego, tak, to prowokacja. I z pewnym zdziwieniem witam nomenklaturę (która wydawała się na zawsze pogrzebana) bliską nieraz astrologii, kabale, magii, a wojowniczą, a pełną przekory, co tak mi wygląda jak gdyby śmierć odżywała...

Otoż dla mnie wszelkie dążenie człowieka do wydobycia się z siebie, czy to będzie czysta estetyka, czy czysty strukturalizm, czy religia, marksizm — jest naiwnością, skazaną na fiasko. To rodzaj męczeńskiego mistycyzmu. I temu dążeniu do odczłowieczenia (które zresztą sam podejmuję), musi koniecznie towarzyszyć dążenie do ucłowieczenia, w przeciwnym razie rzeczywistość rozpada się, jak domek z kart, i grozi utonięcie w werbalizmie niereczywistości. Nie, formułami nie nasycicie! Wasze konstrukcje, te wasze gmachy, pozostaną puste póki w nich *ktos* nie zamieszka. Im bardziej człowiek staje się wam nieuchwytny, nieosiągalny, otchłanny, zanurzony w innych żywiołach, uwięziony w formach, jak gdyby nie własnymi ustami artykułowany, tym bardziej nagłaca, paląca, staje się obecność człowieka zwyczajnego, takiego jakim go mamy w codziennym naszym doświadczeniu i codziennym naszym odczuwaniu: człowiek z kawiarni, z ulicy, konkretnie nam dany. Osiągnięcie pogranicza ludzkiego musi być natychmiast zrównoważone gwałtownym wycofaniem się w zwykłą ludzkość i w ludzką przeciętność. Można się zanurzać w otchłani ludzkiej, ale pod warunkiem, że się znów wypłynie na powierzchnię.

Gdyby jednak chciano ode mnie najgłębszej i najtrudniejszej definicji tego *kogoś*, o kim mówię, że powinien zamieszkać

w tych tam strukturach i konstrukcjach, powiedziałbym po prostu, że ten ktoś, to Ból. Albowiem rzeczywistość to to, co stawia opór; czyli to, co boli. A człowiek rzeczywisty to taki, którego boli.

Cokolwiek by nam nie opowiadano, istnieje na całym obszarze Wszechświata, w całej przestrzeni Bytu, jeden jedyny element okropny, niemożliwy, nie do przyjęcia, jedna jedyna rzecz — prawdę i absolutnie przeciwna nam, a miazdząca: ból. Na nim, na niczym innym, oparta jest cała dynamika istnienia. Usunięcie bólu, a świat stanie się obojętny...

Ba! To może za poważne, żeby na ten temat filozofować... Naprawdę groźne. Ale chciałbym zanotować, że dla tych myślicieli (jak i dla innych) świat jest ciągle, mimo wszystko, terenem raczej spokojnych, jeśli nie olimpijskich, spekulacji mózgowych. Te wszystkie analizy są zdrowe o tyle, że, jak widać, są produkowane przez profesorów nieźle się miewających i wygodnie umieszczonych w swoich fotelach. Zupełnie dziecinne lekceważenie bólu jest u podstaw tego niezmordowanego układania klocków intelektualnych. Jeśli już sartrowska wolność nie czuje bólu, niedość się go lęka, to te dzisiejsze obiektywizmy robią wrażenie czegoś spłodzonego w stanie znieczulenia.

Podkreślmy sprzeczności powyższego wywodu. Bo ja zarazem domagam się człowieka „rozluźnionego” i człowieka „zwyczajnego”; a jednocześnie człowieka przyszłego bólem. Sprzeczność jest pozorna.

Walczyć z tym ascetyzmem wojowniczym? Czy raczej pogryźć się w sobie, oddać się sobie, zamieszkać w sobie, jak w fortcy?

Życzę im bólu zębów.

Moja elektryczna maszynka do golenia, amerykańska, jest droższa o siedemdziesiąt franków od maszynki Koski, zwykłej Phili-shave. W eleganckim jej pokrowcu skórzanym był papierek z powinszowaniem. „Nasze gratulacje! Jest Pan wybitnie inteligentny, dzięki czemu stał się Pan właścicielem najlepszej maszynki do golenia w świecie! To polepszy Pana samopoczucie!”

Rzeczywiście poczułem się lepiej, ale, niestety, jestem ostatnio nieświetnie ogolony, aparat jakoś kiepsko goli, a Phili-shave Koski lepiej golił i... i... jakoś to tak nie tak jakoś jakby to tak...

to jest tego... zawsze jakoś inaczej... i bodaj to tak jakoś jakby to nie tak...

◆
Ta książka, Boska Komedia — wciąż przede mną na stole — jest na odległość sześciuset lat.

Czym ma być dla mnie przeszłość rodzaju ludzkiego? Spoczywam na olbrzymiej górze trupów — to ci, co już przeminęli. Na czym tedy spoczywam? Co to jest, ta miazga pode mną, to mrowie istnień wykończonych poza mną?

Czy w przeszłości szukać mam ludzi, czy też tylko pewnej oderwanej dialektyki rozwoju?

Co od razu rzuca się w oczy: z przeszłości przedostają się do mnie tylko najważniejsi ludzie. Trzeba, w Historii, stać się, by zostać... Wszystkie cmentarze starożytnej Grecji streszczają się do kilkuset osób, jak Aleksander, Solon, Perykles... A z Florencji średniowiecznej iluż pozostało, prócz Danta?

W wielkiej defiladzie wszystkich zmarłych świata nie rozpoznałbym nikogo, prócz Wielkich. Lubię arytmetykę, ona ustawia mnie jakoś wobec zagadnień. Ilu ludzi wymiera dziennie? Dwieście, trzysta tysięcy? Codziennie armia cała, ze dwadzieścia dywizji, idzie do grobu. Nie znam, nie wiem, nie jestem *au courant*... nic... nic... wszystko poza mną. Dyskrecja śmierci (ale i dyskrecja choroby)! Ktoś kto by nie wiedział, że się umiera na tym świecie, mógłby latami przechadzać się po naszych ulicach, drogach, parkach, polach, placach, zanim by odkrył że coś takiego w ogóle ma miejsce. A też wśród zwierząt dyskrecja jest zdumiewająca. Jak się urządzają, na przykład, ptaki, by nikt nie wiedział, że zdechły? Lasy, gaje, powinny być nimi usiane, a jednak można spacerować i spacerować i nigdy prawie nie natrafisz na najmniejszy szkielecik. W co to wsiąka? Gdzie to znika? Nie ma w tych laskach ani dość mrówek, ani dość innych pożeraczy, by mogły z nimi się załatwić.

Śmierć jest powszechna, niewyraźna, zamazująca.

Ale ja? Ja w tych warunkach? Ja z moimi koniecznościami, z koniecznościami mego ja? Im mniej mogę rozróżnić w tych tłumach cmentarnych, tym bardziej czepiam się Wielkich. Tych znam osobiście. Historia, to oni. Żadne panoptikum z okrucichów mi ich nie zastąpi.

Czy jednak mój stosunek do nich jest dostatecznie osobisty?

Ogromną wagę osobistą przywiązuję do tego pytania.

Boska Komedia mi nie wystarcza. Szukam w niej Danta. Ale go nie znajdę, bo Dante historycznie mi przekazany, to właśnie autor Boskiej Komedii. Ci wielcy ludzie to już nie ludzie, to jedynie osiągnięcia.

Ale bardziej drażniące, że nawet stosunek nasz do tych osiągnięć został zupełnie wypaczony. Gdyż w szkole, w domu, nauczono nas jedynie czci i uwielbienia, a tymczasem stosunek nasz do Wielkich jest dwojaki: ja wprawdzie korzę się i podziwiam, ale także odnoszę się z politowaniem i z lekceważeniem. Jestem niższy, bo oni są Wielcy. Ale jestem wyższy, ponieważ jestem późniejszy, na wyższym szczeblu rozwoju.

To drugie podejście, które nazwałbym „brutalnym”, albo „bezpośrednim”, nie jest w użyciu. Stać nas jedynie na ujęcie twórcy i dzieła w ich historycznej perspektywie i historycznej doniosłości. Zobaczmyż, jakby wyglądało takie bezpośrednie ujęcie. Czyż ja, z dzisiejszą moją wyobraźnią, mogę zachwycać się rzetelnie tworami nieomal chłopskiej, ledwie obudzonej, wyobraźni Danta? Męki jego potępińców są przecież tak prostackie. I chude jakies! I gadatliwe! Te dyskursy wypowiediane między jedną męczarnią, a drugą... Te same sytuacje, powracające z nużącą monotonią (ale, gdybym chciał ująć utwór w perspektywie historycznej, musiałbym powiedzieć, że te sytuacje, jak na dzieło z czternastego wieku, są bogate i pomysłowe), a Doczesność co chwila *in crudo* włazi mu w Wieczność, ze swymi politycznymi, i innymi, kłopotami. I on nie czuje grzechu, grzechy te nie mają siły, są raczej naruszeniem przepisu, ani wabią, ani odpychają.

Ileż jeszcze można by mówić w ten deseń wykazując, że to utwór prostacki, marny, nudny, słaby! A z tego wniosek melancholijny: że ja w żaden sposób nie mogę przebić się do tego człowieka poprzez utwór. Gdyż on, ujęty w Historii, staje mi się tylko wielkim, historycznym, osiągnięciem. A gdy usiłuję osiągnąć go brutalnie, bezpośrednio, z pominięciem czasu, ta jego Boska Komedia funta kłaków nie warta!

Czy więc Przeszłość musi być dla mnie tylko dziurą? Bez prawdziwych ludzi?



Powracam do tercyny, którą przerobiłem.

*„Przeze mnie droga do smętnej krainy
Przeze mnie droga do wiecznej żałoby
Przeze mnie droga w plemię zatraconych”.*

A oto dalszy ciąg piekielnego napisu:

*„Sprawiedliwością natchniony mój twórca
Jestem stworzona przez Najwyższą Wszegmoc
Najwyższą Mądrość i Najwyższą Miłość”.*

I nagle... wstrząs!

Jak to?!

Jak on mógł?!

Potworność!

I nikczemność!

Teraz dopiero widzę: to najpotworniejszy poemat w literaturze światowej, który jest, strona po stronie, litanią mąk, rejestrem tortur. „Najwyższa Miłość...” To ta jego „Najwyższa Miłość” wydobywa nagle całą monstrialność tej imprezy. A też jej podłość. Dobrze, jeśli o Czyściec idzie, zgoda... jeśli owe grzechy tak szatańskiej domagały się kary, to jednak majaczy w dali blask Zbawienia. Ale Piekło?

Piekło nie jest karą. Kara wiedzie do oczyszczenia, ma swój koniec. Piekło jest torturą na wieczność i ten potępieniec ma wyć za dziesięć milionów lat, jak w tej chwili, nic nigdy się nie zmieni. Z tym nie można się pogodzić. Nasze poczucie sprawiedliwości tego nie wytrzymuje.

A on sobie wypisuje na bramie piekielnej „Stworzona jestem przez Najwyższą Miłość”.

Czymże to wytłumaczyć, jeśli nie, że on ze strachu i z podłości, żeby się pochlebić!... Przerażony, drżąc ze zgrozy, zdobywa się na najwyższy hołd wobec najwyższego terroru i najwyższe okrucieństwo nazywa najwyższą miłością. Nigdy słowo „miłość” nie zostało użyte w sposób bezczelniej paradoksalny. Żadne słowo ludzkiego języka nie zostało zastosowane w sposób bezczelniej przewrotny. A to słowo jest właśnie słowem najświętszym, najdroższym. Wypada nam z rąk księga haniebna i nasze usta zranione szepczą: on nie miał prawa...

Podnoszę księgę hańbiącą, przebiegam oczami całość poematu, tak, nie ma co, cała ta piekielna katownia dymi u niego kadzidłem Najwyższej Miłości, on przyjmuje piekło, on potakuje, ba, on je uwielbia! Ależ jak to się dzieje... jak mogło się stać, żeby utwór do tyła zdeprawowany najdzikszym strachem, tak służalczy, tak sprzeczny z najistotniejszym poczuciem sprawiedliwości człowieka, mógł się przeobrazić w ciągu wieków w Księgę Budującą, w najdostojniejszy poemat?

Katolicy... przecież to wasze, Boska Komedia... jak wyście to w sobie załatwili?

Człowiek, w myśl doktryny Kościoła, stworzony został na obraz i podobieństwo Boga.

Co więc jest sprzeczne z naszym najgłębszym poczuciem sprawiedliwości, nie może być sprawiedliwe, ani na tym świecie, ani na tamtym.

Nie wolno artyście katolickiemu pisać wbrew sobie. Cała ta Boska Komedia jest w stanie grzechu śmiertelnego.

A świat katolicki ją uwielbia.



Tak, tak... Ale teraz już go mam, już go trzymam, on mnie obraża, oburza, więc on tam jest... za murem czasu... stał mi się osobą...

W najwyższym Bólu stał mi się kimś.

Zadowolenie. I notuję: tak, Ból urzeczywistnia. Ból jedynie jest w stanie połączyć, poprzez czas i przestrzeń, to Ból sprowadza pokolenia do wspólnego mianownika.



Ale... Jakiż to chór wstaje, wielogłosowy, jak chór żabi, jak mgła spowijająca, wilgoć rozcieńczająca?... Już mi się ta książka uosobiła w konkretnym człowieku. Ale teraz, wsłuchując się lepiej, widzę, że to nie on śpiewa. To śpiewa całe Średniowiecze.

Jak mogłem się oburzać przed chwilą? To nie sam Dante zgadza się na piekło, to cała epoka. Przecież to tylko recytacja formuł, tego co skodyfikowane zostało w powszechnym odczuciu. Słowa, puste słowa... to tylko tak im się mówiło w owym czasie...

I znowu Boska Komedia staje mi się jedynie monumentem, formą, kodyfikacją, rytuałem, gestem, obrzędkiem, ceremoniałem... Godne zanotowania: gdy przed chwilą odkryłem, że on pisze wbrew sobie, nawiązałem z nim styczność osobistą. A gdy teraz odkrywam, że, pisząc wbrew sobie, pisze pod dyktandem Epoki, owa sprzeczność wewnętrzna traci swoją siłę urzeczywistniającą. Wszystko zbladło.

Po wtóre: jak mogłem przed chwilą brać na serio dostojęstwo poematu i jego dzisiejsze prestiże? Słowa! Puste słowa!... To tylko międzyludzki rytuał uwielbienia, odpowiadający międzyludzkiemu rytuałowi tych śpiewów. On tam celebrytuje, więc oni tutaj składają pokłony. A uwielbienie jest najlepszym dowodem, że nikt mu nie wierzy.

Piekło? Ależ to mit!

Acha, acha, teraz wszystko w innym ukazuje mi się świetle. Dlaczego jemu się tak gładko napisało „Najwyższa Miłość”? Gdyż to piekło jest nieprawdziwe. Te męki są retoryczne. Ci potępieńcy recytują. Ta wieczność jest bezbolesną wiecznością figury. Zapadające się i wznoszące kręgi, majestatyczne hierarchie grzechów, mąk, wtajemniczenia, proroctwa, rosnąca światłość, cnoty i chóry, teologia i wiedza, przeklęte i święte tajemnice, wszystko, wszystko, jest retoryką. On recytował swoją epokę. Ale epoka też recytowała. I poemat jest, aby tak się wyrazić,

podwójnym frazesem: poeta wyrecytował to, co już powszechnie było recytowane. To tak trochę, jak niedzielne dyskusje w barach, kawiarenkach, ludzi prostych o futbolu. Czyż oni naprawdę się tym przejmują? Bynajmniej. To dlatego, że opanowali ten słownik, ten sposób mówienia, a brak im gotowego języka by o czymś innym pomówić. Ludzkość jedzie po utartym torze wysłowienia.

Pusty poemat, istniejący wbrew rzeczywistości i jakby na przekór!



Stój, za łatwo to ci się układa!

Nie umkniesz tak łatwo piekłu, kombinatorze! Ono jednak jest, jest, jest.

Czy zapomniałeś, że w imię kodeksu zawartego w Boskiej Komedii, rzeczywistości, w rzeczywistości, palono na stosie heretyków? Więc ten ogień jednak parzy...

I znów ten piekielny poemat zaczyna mi ryczeć w niebogłosy! I zieje męką!

Jest niezmiernie pouczające (i polecałbym ten eksperyment wszystkim teoretykom kultury) zbliżyć się cokolwiek niekiedy do ośrodka bólu. To wciąga. Potem już trudno się wydostać. A prawda staje się krzykiem i rykiem.



Ale...

Teraz znów przychodzi mi do głowy, że to *urzeczywistnienie* stało się możliwe tylko w atmosferze zgoła lekkomyślnej *nierzeczywistości*.

Ależ tak! Piorunująca powaga świętego Dominika musiała zstąpić pomiędzy możnowładców od „miecza świeckiego”, stać się żerem polityki, ambicji, różnych bardzo życiowych apetytów, zawędrować na biurokratyczne stoły urzędników, wcielić się w funkcję, zajęcie, pracę i, jeszcze niżej, przeniknąć w grube łapy zbirów, nieczułych na mękę. Bez tej stopniowej degradacji jakież człowiek odważyłby się spalić drugiego człowieka? Idea radykalna grzechu, piekła, tortury, musiała ulec rozdrobnieniu w wielu półciemnych umysłach, tępych wrażliwościach, by wreszcie wybuchnąć ogniem twardym, nieustępliwym, palącym naprawdę!

Czymże tedy, jesteś Boska Komedio?

Czy niezdatnym utworem małego Danta?

Czy potężnym utworem wielkiego Danta?

Czy potwornym utworem niecnego Danta?

Czy retoryczną recytacją skłamanego Danta?
 Czy pustym rytuałem epoki dantejskiej?
 Czy ogniem sztucznym? Czy ogniem prawdziwym?
 Nierzeczywistością?
 Czy splotem trudnym, zawiłym, rzeczywistości z nierzeczy-
 wistością?
 Wytłumacz, pielgrzymie, jak do ciebie się przedostać?

Witold GOMBROWICZ

Z życia Fiedora Kuźkina (3)

X

Aż do wiosennych roztopów Fomicz nie miał żadnych kłopotów: mąki starczyło prawie na całą zimę, ziemniaków trochę dokupił, tak że zostało jeszcze na sadzonki. Awdotia nawet zdobyła się na prosiaka. Fomicz sprawił sobie i dzieciakom filcowe buty, kupił półkożuszek z psiej skóry. Do lasu chadzał ze strzelbą, niczym wartownik na posterunku.

Zdarzyło się jakoś w marcu, że z przyzby zawołał nań dziadek Fiłat — grzał się ano na słońcu.

— Fiedka, ty czy nie ty?! A pójdz-że do, mnie!

Fomicz podszedł, przywitali się.

— A ja se spoglądam, co za burlak idzie... Cóżes ty, jeździł gdzie? Widzicie go jak to się wystroił! — dziadek Fiłat przyglądał się Fomiczowi przymrużonymi oczami.

— Ja tera za wolnego kozaka jezdem — pochwalił się Fomicz. — W rodzaju jakoby leśniczego.

— Słyszałem, słyszałem — dziadek Fiłat chwycił poję rudego półkożuszka, zmiął w palcach futerko. — Miękki... Urzędowy pewnikiem?

— Sam se sprawiłem. A tobie, dziadku, jak leci?

— Niczegowato sobie... O pensję zabiegam. Niedawno do Swistunowa chodziłem, do wiejskiej rady. Przewodniczący peda: „Wynocha z kołchozu. Tandem my ciebie uformalnimy jako starucha bez opieki. Osiemdziesiąt pięć rublów na miesiąc”. A i sam mam pragnienie wyjść z kołchozu. Jaki masz pomysłuń: puszczać?

— Puszczać... Staraj się! Mnie przecie puścili. — Zarzucił strzelbę na ramię i poszedł.

Ale Fomicz niedługi czas paradował ze strzelbą za plecami. Gdy zaczęła się odwilż, skończyła się jego leśna kariera. Resztki przygotowanego budulca wywieziono po skrzypiącym kwietnym śniegu.

— Cóż tu ja tera pocznę? — zapytał Długiego Pietię. — Toż na powrót do Guzionkowa nie pójdę!

— Przenieś się do mojego kołchozu. Bądź co bądź u nas się nie pracuje za jednostki. Głodnym chodzić nie będziesz.

— A mieszkać gdzie? Ty mi domu nie zbudujesz!

— To już na ogólnych zasadach.

— Naturalnie! — zgodził się Fomicz. — Żeby to ja był jaki ceniony specjalista, to byłaby inna sprawa. A tak co? Ze strzelby wygarnąć czy krowom ogony kręcić każdy jeden potrafi. Kołchoźnicy nie zgodzą się budować dom takiemu specjalście.

— Póki co, będziesz chodzić nocować do Prudków.

— Do Prudków osiem wiorst! I jeszcze przez rzekę... Po nocy utopić się łatwo. Nie, to już dzięki za zaproszenie. — Żywy zwiesił nos na kwintę. — Guzionkow tera zeżre mnie z kośćmi.

— Zaczekaj-no! — zatrzymał Pietia Fomicza. — Wodna elektrownia w Razkidusze podrzuci nam na rozlanej wodzie budulec. Na elektryczne słupy dla kołchozów... Na cały rejon. Zgodzisz się na stróżę tego budulca?

— Zgodzę się!

— To zaczekaj chwilkę! — Długi Pietia zaczął kręcić korbką telefonu. — Briechowo? Dajcie-no Razkiduchę! Co? Razkiducha? Naczelnika poproszę! Towarzysz Koszkin? Jak sie masz? Tak, tak... tu Zwonariew. Słuchaj, masz już stróżę na budulec? Nie? A ja jużem ci takiego wyszukał. Z wolnego najmu, powiadasz? A właśnie! Nie, nie kołchoźnik. No, to i dobra! Co? Z Prudków. Akuratnie tam zamiarujemy zrobić bazę. Drogi do Prudków? Zwyczajne... Jak wszędzie. Co? No, to i dobra!

Długi Pietia powiesił słuchawkę.

— Pół litra z ciebie należy się — zażartował. — Wal, bracie, do Razkiduchy, formalizuj stanowisko stróży. Budulec popędzą rzeką, aż do samych Prudków. Robota osobiście pcha ci się pod chałupę. Wal! — Długi Pietia podał wielką łapę na pożegnanie i życzył powodzenia. — Uważaj, żeby nie przegapić. Pośpiesz się!

Na łąkach śnieg prawie całkowicie roztopił się, ogromne kałuże odwilżowej wody powoli spływały do jeziora i jarów, wydymając stare, nadgryzione przez słońce, porowate lody. „Lód na jeziorze jeszcze nie ruszył — pomyślał Fomicz, — to i na rzece pewnie trzyma. Przejdę!”

Do Prudków powracał z lekkim sercem — znowu dzień wypadł fartowny. „Do samych żniw bardzo nawet dobrze przeżyjemy. A tedy już nowe zbiory podlecą. O takiej porze to i wróbel

drze się: siedem żon potrafię wykarmić! Główna rzecz, żeby przednowek przetrzymać!”

Rzeka znowu przysłała mu z pomocą na wiosnę. Kochana, serdeczna Prokosza! Ileż to już razy go ratowała z nieszczęścia w najbardziej głodowy czas! W czterdziestym szóstym weszli w zimę bez jednej skórki chleba. Nawet ziemniaki nie obrodziły... Bydło wyrżnęli... Zdawało się, przyszła kryśka na Żywego. A tu nie! Zabrał się razem z dziadkiem Fiłatem do wiązania sieci, porobili przeręble i przegrodzili całą Prokoszę. Grzmocili drewnianymi bijakami po lodzie i płoszyli ryby. Szły w sieci kiepsko, aż tu po raz pierwszy wpuścili do Oki jakąś chemiczną truciznę. Wszystkie ryby runęły do Prokoszy. W każdym oku sieci ugrzęzło po rybie. Zanosilo od tych ryb zapachem nafty, ale cała wieś jadła ze smakiem i radością.

Teraz Prokosza znowu podrzuciła mu niezłą pracę. „Czterysta rubli dadzą — przeżyjemy” — myślał Fomicz. Jeszcze i to dobrze, że z wiosną zaczęli przywozić z rejonu pieczony chleb. Co prawda przywozili go tylko dwa razy na tydzień i wydawali po dwa bochenki na chałupę. Ale i tak udogodnienie. Usmażyć jeszcze do tego kartoflanych placków, dzieciaki jedzą z chlebem i zadowolone. „Teraz żyć można — upewniał sam siebie Fomicz. — Gniewać się na swój los nie podobna”.

Do Prokoszy zbliżył się tuż koło Bogojawlenskijego przewozu. Lód na rzece poszedł do góry i zrównał się z brzegami. Na brzegu znajdował się czarny, zbity z desek, niezgrabny prom, niczym olbrzymie żelazko do prasowania. Pod jego niezmiernie szeroki brzuch z pluskiem przybijała woda. Obok, w zacisznym miejscu siedział przy ognisku przewoźnik, wysuszony staruch z długim nosem, w płaszczu z brezentu, nałożonym na gruby sweter. W okolicy znany był pod nazwą Iwan Wesoły. W kociołku nad ogniskiem bulgotała woda, gotowały się ziemniaki.

— Bacz ino, jak woda zabierze tę twoją arkę Noego! — powiedział Fomicz, przysiadając się do ognia.

— Zabierze — zgodził się Iwan Wesoły. — One, całujta mnie w krzyże, chciały prom na jesieni traktorem wyciągać. Przysłały ciągaka, wywlekły na brzeg... A załadować już nie śmiały. No, to tak i rzuciły na brzegu.

— A ty tu mieszkasz, czy jak? — Fomicz wstał, zajrzał do środka — cała ładownia, aż po sam pokład, nabita była sianem.

— Promu pilnuję. A jak nie, to wysoka woda zabierze go aż do samej Oki. A im co! Zmajstrują nową łajbę — przywiozą, rzucą do rzeki... i rżnij, Jasiu, wariata! A ja przecie na nim robię... Może ten, nowy, znaczy się, prom nieporęczny się wydarzy? Pępa se nadwyrężysz. A im co?

— A ten u ciebie aby poręczny? — roześmiał się Żywy. — Wielki niczym spichrz.

— Nie gadaj! Letko chodzi na wodzie. Ja go sam jeden aż do Briechowa przypędzam.

— Jakżeby nie! Prom przypędzisz do wsi, a sianko zwieziesz na podwórko... Już tam twoja gęba na durną nie wygląda.

— Samżem to siano nagrabił... Pod stogami tu i ówdzie zostało... Na podściółkę niby...

— Podściółka! — Fomicz wyciągnął przygarść drobnego, aromatycznego siana. — Na takiej podściółce to nic, ino arbatę zaparzać. Tu na dwa wozy będzie.

— A ty nie pchaj nochala, gdzie nie proszą! — wyzwierzył się Iwan Wesoły. — Lasu pilnujesz? No, to i pilnuj! A łąki to już są według innego paragrafu.

— Jeno na ten przykład powiedziałem — zauważył Fomicz i dodał ze smutkiem: — A ja już za stróżę w lesie nie jestem.

— Kontracht się skończył, czy jak?

— Skończył się, Iwanie, skończył...

Żywy zbliżył się do rzeki.

— Jak myślisz, Iwanie, lód ruszy w tym tygodniu?

— Ruszy! Dzisiaj szurało mocno przy brzegach. Oderwało, znaczy się lód od brzegów. Nie dziś to jutro ruszy, całujta mnie w krzyże!

— Dałbyś mi tę żerdkę! — Fomicz wziął leżącą na promie lekką świerkową żerdź, rzucił na ziemię.

— Po co ci? — Iwan Wesoły wystawił do przodu grdykę i ze zdumieniem patrzył na Żywego.

— Na tamten brzeg się przedostać.

— Coś ty, niespełna rozumu? Pocałujta mnie w krzyże! Taka ci woda z obu stron wystąpiła, że istne jeziora. Utopisz się!

— To dam nura z powrotem... Ja już, bratku, dawno zdrętwiałem na drewno. Tacy się nie topią. Daj mi jeszcze tę deskę! — Zdjął z pokładu szeroką deskę, poszedł ku rzece.

— Stój, kalendarzem w dziąsło szarpamy! — krzyknął Iwan Wesoły.

— Bo co?

— Idź wzduż brzegu. Koło Prutków wiosenna woda stoi wysoka. Zawołasz — możliwe łódkę przyszlą, przejedziesz.

— A jeżeli nie przyszlą? Kto mnie tam usłyszy? Teraz na rzece nawet kulawego psa nie spotkasz!

— To zaczekaj dzionek abo dwa... Jak lód ruszy, to cię przewiozę na promie na tamten brzeg.

— Nie sporo mi czekać tyła czasu.

Fomicz przerzucił przez wodę, która wystąpiła spod lodu

przy samym brzegu, deskę — jednym skrajem oparła się o brzeg, drugim o porowaty lód.

— No, Panie Boże pobłogosław! — ostrożnie szedł po desce, pomagając sobie żerdzią.

Deska zachlupotała na wodzie i zaczęła powolutku pogrązać się. Drobnymi, szybkimi skokami, rozbryzgując wodę, Fomicz rzucił się na lód. Nagle brzeg lodu, o który wspierała się żerdź, załamał się. Fomicz wpadł jedną nogą aż po kolano do wody i z rozmachu, odepchnawszy się żerdzią, rzucił się brzuchem na lód.

— Ach ty, kalendarzem w dziąsło szarpamy, pocałujta mnie w krzyże! — kłął na brzegu Iwan Wesoły.

Fomicz zdjął but, wylał wodę, przemotał onucę i poszedł dalej, niosąc deskę i żerdź. Na środku rzeki lód trzymał się mocno. Fomicz obchodził kałuże — bał się wpaść do przerębli. Przy drugim brzegu lód dochodził wyżej. Fomicz nawet z deski już nie korzystał, rozpędził się, poderwał na żerdzi — i już był po tamtej stronie.

Następnego dnia zrana zjawił się w elektrowni wodnej w Razkidusze, znajdującej się przy ujściu rzeczki Petlawki do Prokoszy. W ciągu doby odwalił prawie czterdzieści wiorst. Fomicz przyszedł jak najbardziej na czas — z rana w Razkidusze ruszył lód, a popołudniu zaczęto wiazać tratwy — przysposabiać budulec do spławu do Prutków.

A jeszcze w trzy dni później, ledwie Fomiczowi załatwiono formalnie jego nowy przydział na stanowisko stróża wodnej elektrostacji w Razkidusze, pękaty, czarny jak żuk kuter pociągnął trzy ogromne zestawy drzewnych pni, zbitych w tratwy, po rzece Prokoszy. Co prawda, Prokoszy już właściwie nie było — dokoła, jak okiem sięgniesz, szeroko rozlane morze. Ani zakrętów, ani brzegów. Masz życzenie — płyn rzeką, a nie — wal na przełaj przez łąki i zarośla. Gdzie były brzegi, można stwierdzić tylko według sterczących z wody wierzchołków drzew i gdzieniegdzie po stojących białych i czerownych znakach, niczym chusteczki zgubione na oceanie. I naprzeciw nie widać ani żadnego parostatku, ani łódki. Tylko wiatr i fale... A na tym wolnym przestworzu siedzi pośrodku Fomicz i warzy zupe. Cudownie! Fomicz nawet pożałował, że takie puchy na rzece, że brzegi schowały się pod wodą — nie ma ani wozów, ani rybackich namiotów, ani szłaśców kosiarzy; pewnie by patrzyli, przesłaniając oczy dłońmi i nawoływali: „Hej, Fomicz! Zrzuć no jakiego okrągłaka!” Wołajcie... Akurat, zrzuć! Fomiczowi ani się śni — siedzi u wszystkich na widoku i zajada zupe.

Kuter pochrapuje całym wnętrzem, parska niczym szkapa i ciągnie tratwy na długiej stalowej linie. Po wieczery Fomicz zakopuje się w siano i śpi w namiocie niczym młody bóg. Namiot

wydali mu w kantorze, a o siano to już postarał się własnym przemysłem.

Fomicz śpi i we śnie widzi swoje szczęście. Że niby płynie Wołgą na wielkim białym parostatku i stoi na samej górze, w oszklonej budce, tam gdzie koło sterowe. I spogląda nie byle jak, jeno przez lornetę. „Kto tam na brzegu? — zapytuje wachtowego. — Co to za ludzie zbierają się w kupę?” Wachtowy krzyczy mu przez głośnik: „Prudki zbliżają się, towarzyszu kapitanie!” „Jakie tam znowu Prudki?” — zapytuje surowo Fomicz, jak gdyby w życiu nie słyszał tej nazwy. „Proszą się na parostatek” — krzyczy wachtowy z dolnego pokładu. — „Przybijaj do przystani, albo-li nie?” „Powiedz im, które roboczych dniówek nie odrobiły, tych nie przyjmujemy! — krzyczy Fomicz do wachtowego. — Sam będę sprawdzać. Przybijaj!” Czuf-czuf-czuf! — zaparskał i zagwizdał parostatek. Ale nie zwykły gwizdek, jeno syrena: Mmu-uu! „Na podobieństwo jakby krowa ryczała — pomyślał Fomicz. — Widocznie gwizdek zardzewiał. Trzeba dać rozkaz, żeby wyczyścili”. I oto Fomicz schodzi po trapie, ma na sobie biały kitel, białą czapkę, zaś lorneta zwisa mu na szyi. Syrena ciągle buczy i buczy — mmm-uu-u! „Zatknięcie mu wreszcie pysk!” — rozkazuje Fomicz wachtowemu. Bardzo chciałby dowiedzieć się, co też powiedzą prudkowsy chłopci, ujrzawszy go w kapitańskim mundurze. A tu nagle wachtowy jak się nie rozedrze: „Fo-mi-i-icz!” I takie zagiął przekleństwo, że Żywy przyszedł do siebie. Słyszy — na kutrze wyje syrena, a na rufie stoi komendant i wrzeszczy przez głośnik:

— Fomi-ii-icz! Coś ty tam, zdechł, czy jak?!

Fomicz wylazł z namiotu.

— U ciebie co — ślepie bielmem zaszyły? Nie widzisz, że zbliżamy się do Prudków?

Dopiero teraz Fomicz oprzytomniał ze snu — wprost przed kutrem widniały na brzegu rodzinne Prudki: topolowa góra, gdzie przedtem stała cerkiew, a obecnie kryty blachą stary dom Linunina, przeniesiony tam, żeby służył jako siedziba klubu; nieco dalej łożyny nad słomianymi strzechami nielicznych chałup, a trochę na boku białe obory kołchozu, pod dachami z pięknych łupkowych dachówek, ułożonych w różnobarwną szachownicę. Przy szarych prudkowskich chatach, słomą krytych zabudowaniach i chruścianych płotach pobielone obory wznosiły się niczym pałace.

Kuter wszedł w zalew na którego brzegu znajdowały się Prudki. Jeszcze w bazie Fomiczowi kazano przyholować tratwy do zalewu, w pobliżu klubu. „Później przysłemy traktor — powiedział naczelnik — i wyciągniemy pnie na brzeg. Tylko przyholuj mocno, patrz, żeby rzeka nie zabrała!”

Na topolową górkę wyszło o wiele mniej ludzi, niż się przywidziało Fomiczowi we śnie — przeważnie staruchy i dzieciaki. Prawda, zjawił się Paszka Woronin, ale rozeznawszy, kto płynie, poszedł do klubu. Tam miał kabinę telefoniczną. „Tera, pewnikiem, dzwoni do samego Guzionkowa — myślał z zadowoleniem Fomicz. — Że niby tak i tak, Kuźkin tratwy pędzi. Co też rozkażecie z nim zrobić?” „Kuźkin nam teraz nie podlega” — powie Guzionkow i zaklnie straszliwie w matkę. „Klnij ile wlezie, sobie na zdrowie. A ja na to pluję” — myślał Fomicz i patrzył na górkę.

Wśród dzieciarni dojrzał także i swoje; biegały między topolami i krzyczały:

— Parostatek! Parostatek!

Kiedy tratwy podeszły do brzegu, Fomicz przywiązał pierwszą z nich powrozem do topoli i pysznie, niczym kogut, wszedł na górkę. Tę uroczystą chwilę popsuła babcia Marfa Nazarkina.

— Cóż ty, Fiedka, niczym krowę przywiązałaś na pastwisku — wymamrotała Marfa. — Bacz ano, żeby dzieciaki nie popędziły twoje tratwy.

— Niech się które wścibi, łeb urwę! — gniewnie i głośno powiedział Fomicz, ale niby to mimochodem rzucił pod adresem komendanta kutra: — Niby, według prawideł, to by należało zaklinować na mur i linami przymocować.

— A jak woda opadnie, to co — na tej górze tratwy utrzymasz? — Komendant był w złym humorze z powodu porannej pobudki i z pogardą parskał w swoje rude, zatabaczone wąsy.

— Może byś namiot mi zostawił, co? — zapytał Fomicz. — Według urzędowej potrzeby...

— Żebyś się miał gdzie wylegiwać, co? Do spania chałupa ci wystarczy!

Puścił w ruch swoją syrenę — ryczała znowu długo i przeciągle, potem zachrapał silnik Diesla, woda pod rufą zabalgotała i kuter, zatoczywszy wielkie półkole, odpłynął, jak gdyby rozpuścił się w mętnych wodach Prokoszy.

Żywy szedł przez wieś niczym zwycięzca — strzelba za plecami, kociołek w rękę; przodem w podskokach pędziło tabunem jego potomstwo, a ujrzawszy swoją chałupę, darło się już z daleka:

— Ma-ma, tatko przyjechał i zupę przywiózł!

XI

W noc przed Pierwszym Maja podniósł się silny wiatr. Fomicz znajdował się akurat przy tratwach. Fale zaczęły zalewać skrajne pnie, woda poszła wierzchem, budulec z miejsca oslizgnął.

Potem tuż przy brzegu zaczęły się tworzyć wiry i tratwy zbiły się w kupę. Żywy próbował przywiązywać je do topoli, ale powrozy albo zwisały jak na huśtawce, albo napinały się i pękały ze świstem, jak struny. Fomicz zrozumiał, że tu, pod górą, nie zdoła utrzymać tratw w taką burzliwą noc. Trzeba było natychmiast przepędzić je na bardziej zaciszne miejsce. Ale przepędzać przy takiej pogodzie bał się, a przy tym sam nie dałby rady. Najprostsza rzecz — wyciągnąć tratwy trochę na brzeg, a jak się woda uspokoi, znowu spuścić. Tylko że do tego potrzebny traktor. Fomicz przypomniał sobie, że przez cały dzień traktor warczał na fermie, gnój wywoził na stronę. Trza by o niego poprosić.

Pobiegł do Paszki Woronina, pośpiesznie zapukał do okna. Paszka wyszedł na ganek, ziewając, poznał Fomicza, do chałupy go nie zaprosił.

— Czego chcesz?

— Słuchaj, wypożycz mi traktor na godzinę, żeby tratwy wyciągnąć na mieliznę. Bo jak nie, wiatr je popędzi na rzekę. Wi-isz go, jak się rozhulał!

— Niby jakże to? Wypożyczyć traktor na słowo honoru? Komu? Na co?

— Jak to na co? Żeby tratwy ratować! Przecież słupy nie dla mnie na chałupę, ino dla kołchozów na elektryczne oświetlenie...

— No, to i co? Traktor nie moja własność, durny łbie, tylko MTS-u! Traktorzysta przy nim. A do tego jeszcze przewodniczący. Wedle tego co Michał Michajłowicz rozporządzi. Idź do niego.

— Jakże mi w taką pogodę odchodzić od tratw! — zawołał błagalnie Fomicz. — Zatelefonuj do niego!

— Twoja potrzeba, to se telefonuj! — leniwie odpowiedział Paszka, odwracając się do Fomicza chudymi plecami.

— Jakże mi telefonować? Na słup wyleżę czy jak?

— A mnie co do tego?

— Ty paszycie! — rozwścieklił się Fomicz. — Świadków zara zbiorę... Niech się wszystkie dowiedzą, żeś odmówił państwowo dobytek ratować. Pod sąd, ścierwo, cię wezmą.

— Ty mnie ścierwem nie namaszczaj, bo jak dam w czapę, innym głosem zabeczysz — odpowiedział Paszka spokojnym tonem. — Jużem ci powiedział, że traktor nie jest w moim rozporządzeniu. Jeżeli chcesz, możesz brać mego konia.

— Po co mi twój koń! Dzwon do Guzionkowa! Słyszysz, nie rób mitręgi...

Paszka nie odpowiedział ani słowa i zniknął w czarnym otworze drzwi. Po chwili wyszedł, już ubrany.

W klubowej kabinie telefonicznej Woronin dłuższy czas kręcił korbą, zanim mu odpowiedziano.

— Co wyście tam — zaklął — pozdychali wszyscy, czy jak? Połączyć z mieszkaniem Guzionkowa, tak... Michał Michajłowicz? Tu Woronin... Wiatr tratwy znosi. Tak... Kuźkin prosi o traktor, żeby je wyciągnąć na mieliznę. Co mam robić? Tu na fermie został jeden traktor na noc. Co? Tak... Że co? Tak... Zrozumiano!

Paszka Woronin powiesił słuchawkę i, z wesołym uśmiechem, patrzył przez chwilę na Fomicza.

— No i co? — nie wytrzymał Fomicz.

— Zapytał mnie: kto jest za tratwy odpowiedzialny, Kuźkin? Tak, powiadam, No, to, niechże te tratwy spalą się wszystkie aż do ostatniego, a on i jednym palcem nie ruszy. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — powoli powiedział Fomicz i nagle poczuł, że ręce mu zadrżały od złości i aż go wezbrało, żeby uderzyć Paskę w bezczelną, śmiejącą się twarz... Albo nie! Schwycić by palcami jego długi nos, ścisnąć go jak kleszczami i wykręcić...

— Ja to wam jeszcze przypomnę — powiedział Fomicz i wybiegł z klubu.

Na ulicy ciemno, że oko wykół. Drobny, ostry deszcz siekł twarz aż do bólu, ciął niby śrutem, dudnił o sztywny półkożuszek. „Trzeba zwołać chłopów — myślał Fomicz — spróbować wyprowadzić tratwy na spokojny zalew, w stronę Świętego jeziora. Tam zacisznie... Ale kto zgodzi się pójść w taki czas?”

Zatrzymał się koło domu Waśki Kociaka, wiejskiego pastucha, jeszcze nie żeniatego parobka. „Jeżeli tego da się namówić, to choćby w ogień polezie” — myślał Fomicz, wiedząc, że słowa działają na Waśkę tak samo, jak na kołchoźnego byka.

Waśka wprawdzie otrzymał przezwisko Kociak, ale był takim leniem, jak prawdziwy, stary kocur... Przez to lenistwo we wsi został. Wrócił z wojska, matka mu powiada: „Waśka, jedź do Gorkiego. Tam połowa Prudków na parostatkach robi...” „A kogo ja tam nie widziałem!” Proponowano mu, żeby zapisał się na kursy dla mechaników. „A kogo ja tam nie widziałem...” — powtarzał Waśka swoje. Zgodził się, żeby stada pilnować, trzy lata minęły, a Waśka w żaden sposób bata nie może przysposobić. „A kiedyż ja mam czas?! W lecie krowy paść trzeba... A w zimie po co się rozbijać? Może, więcej za krowami ganiać nie będę...” No, to i paradował przed stadem z kijem w rękę.

Waśka miał przecież jedną słabostkę — lubił wypić. Fomicz postanowił zagrać na tej jego słabostce.

Na łomotanie do drzwi nikt długo nie odpowiadał. Wreszcie w oknie ukazało się okrągłe oblicze Waśki.

— Kogo potrzebujesz?

— Waśka, to ja... Wyjdź na małą chwilę!

— Wujek Fiedia jak gdyby! Czego ci potraza?

— Zbieraj się prędko! Jest dla ciebie robota. — Fomicz obawiał się, że Waśka zamknie okno. A wtedy już się go nie dowołasz.

— Jakaż tam znowu robota o tej porze? — Waśka okna nie zamykał, ale też nie wykazywał specjalnego zainteresowania.

— Dzwonił naczelnik wodnej elektrowni — zezwał Fomicz.

— Rozkazał przeholować tratwy na Święte Jezioro. Pół setki obiecuje na gębę.

— No, to jutro przeholujemy. A naczelnik gdzie jest?

— Naczelnik tam...

— Gdzie tam?

— W elektrowni. A mnie kazał się rozliczyć.

— Jakież tam u ciebie pieniądze? Wszy na początek — cały twój majątek...

Waśka chwycił za okienną ramę, żeby ją zatrzasnąć przed samym nosem Fomicza.

— Poczkaż no ździebko! — Fomicz złapał go za rękę. — Naczelnik kazał mi po pracy pół litry wódki postawić.

Waśka podał się nieco do przodu.

— A nie łiesz?

— Cóż ty znowu! Naczelnik przykazał... Rozkaz naczelnika — prawo dla podkomendnego. Sam wiesz — byłeś przecież w wojsku.

— Zaczekaj-no trocha — lakonicznie odpowiedział Waśka i zamknął okno.

— Chwała Ci, Panie Boże! — westchnął Fomicz z uczuciem ulgi. — Jednego namówiłem. Którego by jeszcze? Żeby choć po chłopie na każdą tratwę...

Po krótkiej chwili Waśka wyszedł, zapinając ubranie po drodze.

— Wujku Fiedia, a więcej nikogo nie potrzeba?

— Nie byłoby źle, jakby jeszcze jeden ludek się znalazł.

— Poczkaż ździebko! — Waśka przebiegł przez drogę i zapukał do chałupy Gubanowych. — Griń, ano wydz!

Wyszedł właśnie ten traktorzysta, którego Fomicz chciał mieć, gdy rozmawiał z przewodniczącym. Griń i Waśka zamienili kilka słów, podeszli do Fomicza.

— Wujku Fiedia — zapytał Waśka — a czy traktorem nie można by przeciągnąć tratwy po brzegu?

— Można spróbować — powiedział Fomicz obojętnym tonem. — Mnie wszystko zarówno.

— Zara podskoczymy — powiedział Grińka — puścimy traktor w ruch i w te dyrdy będziemy.

— Tylko nie walcie przez wieś — powstrzymał ich Fomicz. — Nie ma po co ludzi trwożyć po nocy. Podjeżdżajcie po brzegu.

— A nam co! Jazda! — Grińka i Waśka zniknęły w mroku.

„Widać, Pan Bóg istnieje — myślał, podśmiewając się, Fomicz. — Patrzcie, jako wszystko rozsądził. Nie chcieli mi dać traktora, żeby tratwy podciągnąć... A ja tera te tratwy o wiorstę odprowadzę, aż do Świętego Jeziora. I już nie na mieliznę, na suchą gołaźń wyciągnę”.

Do rana wszystkie trzy tratwy leżały na łagodnej pochyłości mielizny przy Świętym Jeziorze, niedaleko od obór. Fomicz tryumfował: dopiero teraz zrozumiał, że tamci w biurze elektrowni spudłowali — polecili przybić tratwy do urwiska koło klubu. Gdyby woda opadła, trza by je i tak wyciągać traktorami. Miejsiac pracy... A do tego trza by traktory sprowadzać z odległości trzydziestu kilometrów. A teraz tratwy — niech no woda odpadne — na suchym miejscu. I dojazd do nich doskonały. Każda maszyna dojedzie, tylko ładować i wieźć, dokąd życzenie. „Wynika — zaoszczędziłem nie jedną tysiączkę. Kto wie, może jakąś premię załapię. I wszystko za jedną litrę wódki! To ci dopiero wiosenne roztopy!...”

W Prudkach wysoka woda to okres radosnego odpoczynku i krótko trwającej, bezpłatnej zdobyczy. Dzieciarnia, jak te gawrony, przez cały Boży dzień rozrabiają na topolowej górcie — które w kregle, które w palanta i różne inne zabawy, chociażby w konną jazdę: kto przegra, musi nosić wygrywającego na grzbiecie tam i z powrotem. Staruchy wczesnym rankiem wypełzają na przyzby i długo grzeją się na słońcu, patrząc spod przyłożonej dłoni, jak nieobjęte, żółte, zmacone wody mienia się pod słonecznym blaskiem. „I dokądże-że ona wszystka się zapodziewa?” „Która, ta woda niby?” — „Ano!” — „Powiadają, do morza”. — „A to morze to co — bezdenne?” — „Przepaść ma pod sobą?” — „O, rety, laboga!”

Stary chłopcy w taką porę jezoramami nie pytują; razem z młodszymi, którzy przy technice niezatrudnieni, kręcą się na łódkach po łąkach, podchwytywają płynące bierwiona, ścinają posusz, ładują, a co najcięższe krzywacze holują na sznurach. W gospodarstwie wszystko się przyda... Bo to mało czego nie dostarczy wysoka woda; niejeden wiezie w łódce bierwiona, a w rękach trzyma strzelbę — ani się opatrzyysz, a tu kaczka wyleci zza lasu, albo zając podwinie się na jakiejś niezatopionej kępie... Zgarniają wszystko. Prudkowskie chłopcy żadnej litości do nikogo nie żywią.

W takim właśnie czasie w mętnej, swobodnej wodzie zaczynają rzucać się leszcze, karpie, szczupaki... Koło zarośli, przy brzegach, stojących pod wodą, chłopcy zastawiają sieci i wężerze,

przegradzają dokładnie zalewy i płytsze zatoki. A który nie ma łódki, ten łązi po brzegu z zarzutą — kwadratową siecią, osadzoną na końcu długiej, ostruganej żerdzi. Każdemu trafi się jakaś robota... I mało który prudkowski chłop odmówi, gdy z takiego Tichanowa, gdzie same suche pagóry i wadoły, zawinie amator świeżej rybki. „Bier ile ta chcesz! Dycha za kilo”. „A taniej nie uświadczysz?” — „A proszę dzisiaj w jakiej idzie cenie? A to-to właśnie! Żeby taniej, ani rusz! Na koszt przyrody jedynie jako tako się ratuję...”

Wiosenne wody poszły w tym roku wysoko, podeszły aż do samej fermy i przechowalnie ziemniaków na sadzonki, stojące obok obór, podmokły. Wypadło w szybkim tempie przebrać cały zapas ziemniaków. Guzionkow rozkazał, żeby wszystkie prudkowskie ludziska stawiły się przy przechowalniach i osobiście zjawił się na swoim samochodziku. Paszka Woronin chodził od domu do domu i zwoływał ludzi.

Po porannym rybołówstwie Fomicz siedział na ganku i czytał gazetę, kiedy zatrzymał się przed nim Woronin.

— Przewodniczący kazał, żeby wszystkie szły do przechowalni jarzyn. Ty też masz iść z całą rodziną... kartofle przebrać. Zrozumiałeś?

Nie odrywając wzroku od gazety, Fomicz zapytał:

— A któż to aby odpowiedzialny jest za te ziemniaki? Czy nie Guzionkow?

— On sam, przewodniczący. Od niego jest przykazanie.

— No, to mu przekaż — niech wszystkie te ziemniaki utoną... Ja nawet jednym paluchem nie ruszę.

— Przekażę... Ino bacz, żebyś nie pożałował. Już my ciebie zdejmujemy ze stanowiska.

— Łapy za krótkie!

— Obaczymy.

Kiedy Paszka powtórzył te słowa Guzionkowowi, przewodniczący tak wrzasnął koło warzywni, że doszło aż do ganku, na którym siedział Fomicz:

— Przepędzę!

Awdotia wystraszyła się i ukradkiem, żeby Fomicz nie widział, poszła sadami do przechowalni. Za to Fomicz nie należał do strachliwych, a ponadto oczekiwał od swego naczelnika nie byle jakiej pochwały. I rzeczywiście przyszła.

Ledwie opadły wiosenne wody, z Razkiduchy zadzwoniono do Prudków. Do Fomicza przybiegł kierownik wiejskiej świetlicy, Mińka Słodziutki, chłopaczek niskiego wzrostu z ciężką głową, chybotałą się na cienkiej szyi, niczym bijak na cepie. „Jazda! pilnie do telefonu!” — tylko tyle z rozbiegu zdołał z siebie wy-

dusić. Fomicz wziął od Słodziutkiego klucz od świetlicy-czytelni, jak się bierze pałeczkę w sztafecie, i biegiem przez pastwisko.

— Jak tam u was, wyszło? — zapytał przez telefon naczelnik wodnej elektrowni.

— Bardzo pięknie nawet — wypalił Fomicz, chwytając oddech. — Dzieciaki w palanta zabawiają się.

— Tratwy ocalały?

— W całości, aż do ostatniego pnia.

— Jutro wyślemy traktor, żeby pnie powyciągać na brzeg.

— Traktor niepotrzebny. Wszystkie pnie są już na brzegu.

— Jak to na brzegu? Kto je powyciągał?

— Ja.

— Na rozkaz morskiej królowej, czy jak?

— Proszę przyjechać, obejrzyć... Tyla, że pnie leżą na suchym brzegu — skromnie odpowiedział Fomicz.

— A dojazd do nich możliwy?

— Nawet piękny dojazd. Leżą przy samej fermie.

— A ty nas nie bujasz? Uważaj! Po południu przyjedziemy.

Biały kuter naczelnika sunął po rzece niczym rybitwa: dziobem do góry, rozbiegające się na boki fale jak skrzydła. Tylko patrz, jak poderwie się nad wodę i poszybkuje nad brzegiem. Fomicz czekał na niego na wysokości Kuziakowego jaru. Zdjął czapkę i wymachiwał nią nad głową, jak gdyby odpędzał pszczoły. Zauważono go, kuter skręcił ku brzegowi i w pędzie wylał brzuchem na piaszczystą mieliznę. Fomicz zbiegł na dół.

W kutrze było ich trzech: naczelnik, młody, elegancki jegoś w ciemnych okularach, motorniczy w skórzanej kurtce i prawdziwym marynarskim kaszkiecie ze znacznikiem kraba, i gruby kierownik magazynu, z teczką, ten sam, który wydawał Fomiczowi budulec według karty załadowniczej.

— No, gdzie te twoje tratwy? — zapytał naczelnik, witając się z Fomiczem.

Ten poprowadził w stronę Świętego Jeziora, gdzie na zielonej trawie leżały wszystkie trzy tratwy. Droga istotnie przechodziła stamtąd na odległość jakichś dwudziestu kroków.

— Patrzcie-no — zawołał naczelnik — też trudno o lepsze miejsce! Jakże to myśmy się przedtem nie połapali? Co?

— To jezioro — powiedział kierownik magazynu — łączą się z rzeką tylko przy bardzo wysokiej wodzie. Skądże mogliśmy wiedzieć, że wzbierze aż tak bardzo?

— A ty w jaki sposób zorientowałeś się? — zapytał naczelnik. — Dlaczego przeholowałeś tratwy na to miejsce?

— Burza przyszła... zaczęło tratwy szarpać na wszystkie strony.

— Widzisz go! Nie było szczęścia, to pomogło nieszczęście. Tak czy owak, zuch z ciebie! Zaoszczędziłeś nam więcej niż trzy tysiące. My ciebie także wynagrodzimy premią w wysokości miesięcznej pensji. Pupynin! Daj-no teczkę!

Grubas wręczył naczelnikowi teczkę, ten otworzył ją, wyjął pieniądze i wyłożył Fomiczowi czterysta osiemdziesiąt pięć rubli.

— Trzymaj!

Potem uprzejmie wziął Żywego pod rękę.

— A powiedz, ileś przyobiecał za przeholowanie tratw?

— Sto rublów... I jeszcze im litrę wódki postawiłem.

— Ależ z ciebie prawdziwy kupiec! — roześmiał się naczelnik. — Rozpijaszaś roboczy lud? Dobra, niech będzie, zapłacimy i za tę litrówkę... Tylko w przyszłości uważaj, tych kupieckich zapędów nie stosuj. Prokopycz! — zwrócił się znowu do grubasa z teczką. — Daj-no tu rozkład!

Grubas wyjął zteczki arkusz papieru, zaopatrzony w stempla-y znaczek. Naczelnik wręczył arkusz Fomiczowi.

— Według tego wykazu będziesz wydawać budulec kołchozom. Kubaturę obliczać potrafisz?

— A cóż w tym zadziwiającego!

— Ach, ty, zadziwiający, rypający! Widzę, że z ciebie naprawdę zuch! Kto to opowiadał, że rady sobie nie da?!

Fomicz wyzywająco spojrział na grubasa z teczką.

— Ja tylko w tym sensie — wymamrotał grubas — że z magazynierem nie wiadomo co zrobić.

— A co to, on za magazyniera się nie nadaje? Znaczą się, będziesz u nas za magazyniera, tymczasowo, rozumie się. A potem zobaczymy się... Według tego wykazu będziesz wydawać budulec. Naturalnie, za podpisami. Tu powiedziane, ile komu pni się należy. Komu takich, komu innych... Działaj! — Naczelnik uściśnił rękę Fomicza i żartobliwie dał mu kuksańca: — Powodzenia, kupiecka twoja naturo!

Fomicz długi czas studiował wykaz. Ile też komu należy się budulca. W zeszytce wyznaczył każdemu kołchozowi osobną stornicę, a potem po dziesięciokroć wymierzał każdy pień — obliczał kubaturę. Jeszcze na prawniczych kursach Fomicz zaznajomił się z wielce przemyślną nauką, którą nazywał „genometrią”. Opanować całkiem tej „genometrii” nie zdołał, ale wyliczania kubatury budulca drzewnego, określania objętości siana w stogach, czy słomy w stertach — tego i owszem, nauczył się. Ilość pni w tratwach była właśnie taka, jak w wykazie, ale kubatura coś niecoś podwyższona. Oszukał go ten gruby kierownik dokładnie na pięć metrów sześciennych. Ponieważ jednak powiedziane było, że się kołchozom wydaje nie według metrów sześciennych, lecz na ilość pni, czyli na sztuki, Fomicz nie miał powodu do zmartwienia: te

pięć metrów sześciennych rozplynie się, że nawet nikt nie zauważy.

Lada chwila powinny przyjechać ciężarówki z kołchozów, a wtedy Fomicza zaczęła rozchwytywać, od szacunku się nie pozbięra. „Fiedorze Fomiczu, bądź łaskaw!” — „Fiedorze Fomiczu, żeby pniaki były proste!” — A te krzywe to dla kogo?” — surowo powie Fomicz. — Andriuszy na kule, czy jak?” Nie, samym szacunkiem Fomicza nie roztkliwisz, w pracy to człowiek poważny i nie spodziewaj się, żeby ci pofolgował.

Gdy Fomicz najbardziej rozmarzył się na te rzeczowe tematy, ni stąd ni zowąd napatoczył się samochodzikiem Timoszkina. Miał na sobie wyszywaną białą koszulę, płócienne pantofle i słomkowy kapelusz — spacerował wyniośle, niczym gęś, koło pni, po czym zażądał od Fomicza wykazu. Fomicz wiedział, że Timoszkina awansował, został teraz zastępcą Motiakowa. Władza! Fomicz wyjął z kieszeni wojskowego drelichu wykaz i wręczył go Timoszkiniowi. Ten przebiegł po nim żółtymi oczami i powiedział:

— Cudownie! Znaczą się, cały ten budulec masz zdać urzędowo zgodnie z danym dokumentem... Dziś jeszcze.

— W ciągu jednego dnia! — zdziwił się Fomicz. — Tu mam więcej niż trzysta kubicznych metrów. Miesiąca za mało, żeby zabrać.

— To was nie dotyczy. Macie zdać wszystko natychmiast... Komu innemu. My sami wynajmiemy inną stróżę. Zrozumiałeś? Budulec należy do nas.

— Daj papier z powrotem! — Fomicz wyrwał z rąk Timoszkina wykaz, schował do kieszeni i zapiął kieszeń agrafką. — Jak już otrzymacie ode mnie budulec za podpisem, wtedy będzie należeć do was. A póki co, budulec należy do mnie!

— Twój budulec! Widzicie go, jaki tu prywatny element! Przypatrzcie mu się tylko. — Timoszkina pokazywał na Fomicza krótkim grubym palcem i pytał swego szofera: — Widziałeś kiedy takiego czyraka?!

— Kto za budulec będzie płacić? My! — Timoszkina zbliżył się do Fomicza. — A tobie płacić nie mamy życzenia. Zrozumiałeś? Jazda stąd! Masz zdać budulec na jedno poświadczenie.

— Nie zdam!

— Jakże to nie zdasz? Odbierzemy! Z kołchozów będą przyjeżdżać i zabierać budulec według naszego rozporządzenia.

— Próbuje no tylko! U mnie tu w zapasie dwururka... — Fomicz wskazał na opartą o pnie strzelbę. — Niech no który nosa wsadzi, rozłoży na miejscu.

— A wiesz, co dają za rozbój?

— Pod moją opieką jest majątek państwowy. Kto mnie tu postawił, ten mnie zdejmie.

— Przecież myśmy już uzgodnili z naczelnikiem z wodnej elektrowni, durny ty łbie.

— To niemożliwe! — speszył się Fomicz.

— To jazda do telefonu!

Timoszkina wysunął się naprzód, za nim z strzelbą jak do strzału, szedł ponury Fomicz.

— Ty mi po co w plecy celujesz? — odwrócił się Timoszkina. — Kto ja tu jestem? Aresztant czy jak? Idź obok! I armatę weź na ramię.

W klubie obok kabiny telefonicznej siedział na ławce jak na koniu Paszka Woronin i rznął w warcaby z kinomechanikiem ze Swistunowa.

— Siedźcie, siedźcie! — monarszym gestem uspokajał ich Timoszkina.

— Ci, co prawda, nawet nie myśleli o wstawaniu, tylko popatrzeli na niego spode łba.

— Muszę zadzwonić — powiedział Timoszkina.

— A to dzwońcie — Paszka skinął w stronę telefonu i znowu pochylił się nad szachownicą.

— Poczta? Proszę o Tichanowo! Czy to Tichanowo? Tak? Tu mówi Timoszkina. Proszę mnie połączyć z elektrownią. Tak, z naczelnikiem! Bezpośrednio, tak! Czy to towarzysz Koszkina? Tu mówi Timoszkina. Zabieramy budulec. W Prudkach, tak jest, w Prudkach... Zaś Kużkina do kołchozu. Tak, jak było ułożone. Dobrze, ja mu powtórzę... Do widzenia! — Timoszkina powiesił słuchawkę. — No, widzisz, naczelnik się nie sprzeciwił — powiedział do Fomicza i zadowolony niemal zamruczał jak kot. — Masz wydać budulec zgodnie z wykazem i maszeruj pracować do kołchozu.

Przy ostatnich słowach Paszka i kinomechanik podrzucili głowę, jak na komendę i wpatrzyli się w Timoszkina.

Fomiczowi wydała się ta rozmowa telefoniczna podejrzaną: i to, że Timoszkina tak szybko otrzymał połączenie z Razkiducha, i ten bezpośredni telefon do naczelnika... A najważniejsze, że go chciano wypędzić w taki prosty i bezczelny sposób. Cóż w takim razie oznaczał przyjazd naczelnika? Kpiny sobie z niego urządzają, czy jak? I czyżby naczelnik był takim dwulicowym człowiekiem?

— Ano, odknaj na bok! — Fomicz odepchnął Timoszkina i zdjął słuchawkę. — Swistunowo? Niura, tu Kużkina mówi. Razkiduchę mi potra... Żeby z naczelnikiem...

— Wujku Fiedia — odpowiedziała telefonistka — to długo przyjdzie poczekać.

— Masz ci los! Toż dopiero co była Razkiducha!

— Ja nie dawałam... To może Tichanowo.

— Łącz jak potrafisz... Wszystko jedno zaczekam.

Ze słuchawką przy uchu Fomicz długo wsłuchiwał się w monotony, ospały głos telefonistki: „Halo-o-o! Samodurowka, Samodurowka! Halo-o-o! Briechowo!... Halo-o-o! Halo-o-o! Fomiczowi wydawało się, że to na skraju lasu nawołuje senny ptaszek: „Klu-klu-u-u... klu-klu... Briechowo! Klu-klu-u-u...”.

Nareszcie Briechowo odpowiedziało i telefonistka ożywiła się:

— Briechowo! Dajcie Razkiduchę! Co? Z naczelnikiem poproszę!

W słuchawce odezwał się znajomy głos naczelnika z elektrowni wodnej:

— Słucham!

— Tu Kużkina mówi, z Prudków!

— Co tam za sprawy? Z kołchozów przyjechali po budulec?

— Jeszcze nie... Tylko że z rejonowego komitetu wykonawczego informują mnie jakoby wyście razem z nimi zadecydowali niby... — Fomiczowi zaschło w gardle, przełknął ślinę i wreszcie zdołał dokończyć: — Usunąć z pracy.

— Rozmawiałem wczoraj z Motiakowym — powiedział naczelnik po chwili milczenia. — Widzicie, towarzyszu Kużkina... Okazuje się, że wy jesteście kołchoźnikami. A nam nie wolno przyjmować do pracy kołchoźników, i do tego jeszcze bez zgody zarządu. I właśnie Motiakow skarżył się, że ja jego kołchoźników zwabiam na swoją stronę.

— Przecież mnie zwolniono z kołchozu. Posiadam i zaświadczenie i paszport! — krzyknął Fomicz.

Paszka i kinomechanik już dawno przestali grać w warcaby i teraz z natężeniem słuchali rozmowy.

— Mnie zwolnili, rozumiecie, zwolnili! — Fomicz z wszystkich sił trąbił do słuchawki.

— Nie denerwujcie się, towarzyszu Kużkina — odpowiedział nareszcie daleki naczelnik. — Przecież ja nie powiedziałem, że was usuwamy. Tak czy owak, pracujcie nadal, aż do końca. A potem zobaczy się.

— A czy teraz wyście z nikim nie rozmawiali? — Zapytał ostrożnie Fomicz, spoglądając na Timoszkina.

— To znaczy, z kim? Tu na miejscu czy z wami?

— Czy z Tichanowskiego rejonu nikt z wami telefonicznie nie rozmawiał?

— Nie. A co takiego?

— Bo tu koło mnie stoi jeden taki typ. — Fomicz piorunował spojrzeniem Timoszkina. — Szubrawiec w słomkowym kapeluszu. A do tego jeszcze z kierowniczego personelu!

Paszka i mechanik zaczęli już domyślać się w czym sprawa, uśmiechali się wyczekująco, patrząc beczelnie na Timoszkina. Ten zdjął kapelusz i wycierał spocone czoło.

— Więc o co chodzi? — pytał naczelnik Fomicza.

— Powiada, że wyście kazali mnie wypędzić niby. Zaś budulec wydać mu według ogólnego wykazu.

— Co za duby smalone! Nie słuchajcie nikogo. Pracujcie, towarzyszu Kużkin.

— A może wy byście z nim porozmawiali... Stoi tuż przy mnie. Ja mu zaraz oddam słuchawkę... — Fomicz wyciągnął słuchawkę, ale Timoszkina odskoczył od niej jak od płonącej głowni, i w drzwi.

Odprowadzał go wybuch grzmiącego śmiechu Paszki i kinomechanika.

Następnego dnia z samego rana pojeżdżali się z kołchozów, jedni zaprzęgiem, inni ciężarówkami, ustawili się koło fermy całym obozem. Każdy ciągnie do siebie — byle by załadować się jak najprędzej. Wszyscy: — Fomicz i Fomicz! A cóż tam Fomicz? Na czterech nogach, czy jak? I tak już całkowicie się zaplątał...

Najpierw postanowił zwolnić wozy z najbardziej oddalonych kołchozów. Chochłowski już załadował, pozostało tylko obliczyć kubaturę i podpisać papiery, kiedy przybiegła płacząca Awdotia. Fomiczowi aż serce podeszło do gardła:

— Co się stało? Dzieciakom się co przydarzyło?

— Fiedia, chleba nam w sklepie nie dają!

— Jakto nie dają?

Był wtorek, dzień, w którym wydawali chleb, i Fomicz nie rozumiał, dlaczego nie dają.

— Sprzedawca mówi, że rejon zabronił. Motiakow osobiście dzwonił: nie wydawać Kużkinowi chleba... — Awdotia wycierała oczy końcem wzorzystej chusty, związanej pod brodą na węzeł.

— Czymże my tera naszą dzieciarnię nakarmimy? O, Boże!

— Nie rycz! Zobaczem, w czym sprawa — załatwimy...

— Poczkaście-no ździebko z wyjazdem! — powiedział Fomicz do chochłowskich kołchoźników, którzy już zdążyli załadować budulec. — Zara obrócę z powrotem! — I pędem puścił się przez wygon do sklepu.

Przy starej spizarni z cegieł, której tylna ściana odseparowała się od reszty, a z jej szczelin wyrastały cieniutkie, krzywe brzoźki, tłoczyło się jakieś piętnaście osób — przeważnie baby i staruchy — kolejka po chleb. W na pół rozwalonym spichrzu — spadek po popie Wasylu — mieścił się prudkowski sklep.

— Cóż to za nowe wieści na starym miejscu? — zapytał Fomicz, wchodząc do ciemnego magazynu.

— Ja nie winowata — powiedziała sprzedawczyni, Szurka

Kadykowa. — Guzionkow tu był... Powiada, że komitet wykonawczy zabronił sprzedawać tobie chleb... Motiakow. Już ani wiem z jakiej to przyczyny...

— A co tu wiedzieć albo nie? — Babka Marfa gniewnie błysnęła oczkami spod pstrokatej chustki w groszki. — To nasz chleb, kołchoźniczy.

— A i to prawda... Dużo tera amatorów na nasz chleb się zgłasza...

— One tera ni zną, ani sieją... — zahaczało w gromadce.

— Wasz chleb na polu ostał... — zwrócił się Fomicz do ludzi w kolejce. — A ten to Pan Bóg wam posyła, niczym tę mannę niebieską.

— To że my pracujem na ten właśnie chleb...

— A ja co, ulegalki otrząsam? — Fomicz machnął ręką. „Po co ja — pomyślał — z babami się zwałem?”

Pobiegł do klubu prosić, żeby go połączono telefonicznie z Motiakowem.

— Czego chcesz? — spytał ten niezadowolonym tonem, poznaawszy głos Fomicza.

— Dlaczego zabroniono sprzedawać mi chleba?

— Chleb dla kołchoźników przywożą. A wy nie tylko że w kołchozie nie pracujecie, ale nawet nie chcecie pomagać.

— Toż pracuję dla wodnej elektrowni w Razkidusze!

— No, to jedźcie do Razkiduchy po chleb. — Motiakow powiesił słuchawkę.

— Ach, ty psi synu! Czekaj-no... Jeszcze zobaczymy, kto na tym wygra.

Fomicz dzwonił się do naczelnika elektrowni i zameldował mu o zakazie wydawania chleba.

— Nie jestem w stanie wydawać budulca, towarzyszu naczelniku. Pojadę po chleb do Pugasowa.

— Prawidłowo! Jeżeli z nich takie łotry, to nie wydawaj budulca. Odsyłaj z powrotem wszystkie wozy i samochody... Jeszcze jedno... W Pugasowie siedzi korespondent obwodowej gazety. Zajrzyj do niego. Siedzi w redakcji „Życia kołchoźniczego”. A ja do niego zatelefonuję, uprzedzę. A jakby coś nie wyszło, zgłasza się zaraz do mnie.

Do swojej składnicy budulca Fomicz wrócił zły i zdecydowany.

— Rozładowywać wozy! — krzyknął z daleka do chochłowskich kołchoźników.

— Cóż ty, przy swoich zmysłach? Po ciemku żeśmy wyjechali, a przed nocą ledwie dostaniemy się z powrotem... Jakże to — z pustymi rękami?

— A jakbyście tak wstali z pustym kałdunem, cały dzień tu

sterczeli a potem poszli spać także z pustym kałdunem, to jakby to wyglądało?

— A cóż myśmy zawinili? — woźnice i szoferzy otoczyli Fomicza. — Cóż ty nam wojnę wypowiadasz?

— Ze mną zaczęli wojnę bez wypowiedzania — powiedział Fomicz. — Nie ja, zaczynałem, nie moja odpowiedzialność. Jedźcie do Motiakowa! Jak już oni tak, to i my także samo...

— Ty byś chociaż nad nami się zlitował! — prosili chochłowski kołchoźnicy. — Jużesmy się się przecie naładowali...

— A nade mną kto się zlituje? Dzieciaki macie? Przyjdzie czas wieszczuć, one do matki: „Daj chleba!” A ta im odpowie: „Kładźcie się spać bez jedzenia. Ojciec chleba nie przyniósł, nie miał czasu. Przez cały dzień litował się nad chochłowskimi chłopami”. Tak to wychodzi czy nie?

Chochłowski chłop, klnąc zarówno na Fomicza jak na Motiakowa, ale najbardziej na jakąś mityczną władzę, poszli do swoich wozów.

— No, niech ta już będzie! — zatrzymał ich Fomicz. — Dawajcie kartę załodowczą — podpiszę.

Wysoki, przygarbiony chochłowski brygadier, obrośnięty siwą szczecina, niczym posusz liszajem, podał Fomiczowi kartę. Ten podłożył zeszyt pod kartę i podpisał na kolanie.

— Podziękować! — powiedział chochłowski brygadier, chwytając kartę. — Mamy trochę chleba, wzięliśmy ze sobą... Bier dla dzieciaków.

— Cóż znowu! Toż tyła drogi przed nocą! — Fomicz przecząco zakiwał głową i rękami. — Pewnikiem sam chleba najdę. A wy, chłopaki — zwrócił się do szoferów — nie gniewajcie się. Może, nawrócę przed wieczorem. Chcecie — czekajcie.

— Nic takiego. My przecież także nie własne paliwo zużywamy.

Fomicz wręczył strzelbę Awdotii.

— Zastąpisz mnie tu...

— Dokąd, Fiedia? — zapytała Awdotia, przyjmując strzelbę.

— Za siódmą górę! Prawdy pójdę poszukać. — Ale widząc, że twarz się jej wyciągnęła, zdecydował się jednak dać wyjaśnienie: — Do Pugasowa pójdę za chlebem.

— Toż nawet do zmiereczu nie dojdiesz! — jęknęła Awdotia.

— A nuż zaci ludzie podrzucą — powiedział Fomicz, spoglądając na tłoczących się szoferów.

Wreszcie krępy parobczak o wydatnych skułach, w wojskowym drelichu podszedł do Fomicza i położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech-ta będzie, ojciec... Jedźta z nami. Podrzucimy pod same Pugasowo. Niechże dzieciaki głodne nie siedzą.

Awdotia nagle zdarła chustkę z głowy, wsadziła w nią twarz i zaniosła się głuchym płaczem; chude ramiona pod wyblakłą, sto razy praną, ani błękitną, ani szarą bluzką, podnosiły się i opadały spazmatycznie.

— Dość już, matka, wystarczy... — mówił Fomicz, gładząc ją po ramionach. — Już byś się powstydała przy ludziach!

— Ja za-ra... ja już... — mówiła pośpiesznie z poczuciem winy, i znowu łkała. — Najbardziej mi to dopiekło, że nasze własne wsiowe baby popędziły z kolejki...

Za godzinę Fomicz już był w Pugasowie. Przede wszystkim poszedł do magazynu z chlebem, wypełnił bochenkami worek do połowy i dopiero potem poszukał korespondenta.

Spotkał go jeszcze nie stary, ale już siwiejący, zaczynający łysieć i grubieć, ugrzeczniiony mężczyzna.

— Już, już jestem poinformowany — przerwał Fomiczowi, gdy ten rozpoczął swoje opowiadanie. — Zaraz zadzwonię do Motiakowa. Ale mam do was jedną prośbę — udzielcie pomocy kołchozowi.

— Przecież ja jestem na robocie.

— A po robocie, wieczorem.

— Wieczorem odpoczywam, bo w nocy znowu mam zajęcie — budulca muszę pilnować.

— Całkowicie zrozumiacie... Obiecacie jednak, że będziecie pomagać kołchozowi. — Korespondent mówił cały czas z uśmiechem i wyglądało na to, że on sam w tę pomoc Fomicza nie wierzył, lecz mówił o tym dla porządku.

„To u nich — pomyślał Fomicz — w rodzaju umówionej gry. Jak w wojsku: powiesz hasło — idź dokąd chcesz, nie powiesz — nie puszczą”.

— A dlaczego do mnie nikt nie przychodzi, żeby pomóc? — zapytał Fomicz.

Brwi na czole korespondenta poszły do góry, wargi wydeły się, jakby poczuł się nagle obrażonym.

— Dziwne pytanie! Przecież wy nie jesteście kołchozem!

— A dlaczego wszyscy powinni kołchozowi pomagać? Dawniej nikt chłopom nie pomagał. A przecie siali, orali, zbierali — i zawsze wszystko na czas.

— Mówicie nie na temat, towarzyszu... przepraszam, jak się nazywacie, Fiedkin?

— Nie, Kuźkin.

— No, więc tak, towarzyszu Kuźkin, czy zamierzacie pomagać kołchozowi czy nie? — Korespondent spoglądał teraz surowo a na jego twarzy nie było nawet cienia dawnego uśmiechu.

„Od tego — pomyślał Fomicz — to jak od popa — nie odczepisz się! Żeby tylko biedy nie napytać!”

— Dopóki jestem na tej robocie, w żaden sposób nie mogę... Później to ta inaczej będzie... Znaczy, rozejrzę się. A pomóc, czemuż by nie? — dyplomatycznie odpowiedział Fomicz.

— Tak, to rozumiem! — ucieszył się korespondent. — A teraz proszę wyjść na chwilę, będę miał rozmowę telefoniczną.

Fomicz wyszedł z gabinetu, ale drzwi nie domknął, oparł się o futrynę i słuchał.

— Towarzyszu Motiakow, odwołajcie zakaz... Radzę! Tak, tak. W przeciwnym razie dotrże do samego Ławruchina. Ma dzieci... Tak, tak! Sygnał przyszedł z samego terenu. Robotnicza klasa! No, tym niemniej... — dolatywało z gabinetu.

Potem korespondent wyszedł, uściskał dłoń Fomicza i życzył mu szczęśliwego powrotu.

— Możecie jechać... Chleb będziecie otrzymywać.

Jeszcze przed wieczorem Fomicz zdążył przyjechać do Tichanowa i od razu poszedł do gabinetu Motiakowa. Tym razem nawet gniewna sekretarka go nie zatrzymywała. Motiakow stał przy oknie i nie odwrócił się, jakby to nie Fomicz wszedł do gabinetu, tylko mucha wleciała.

— No, to co wy teraz przykażecie? Sprzedadzą mi chleb czy jak? — zapytał Fomicz od proga.

— Będą sprzedawać...

— To wypiszcie papier.. Na słowo w naszym czasie wierzyć nie można.

— Timoszkina przysła... Możecie jechać do domu.

— Z czym ja pojedę? Tam głodne dzieciaki czekają.

— Idźcie na dół, weźcie bochenek z naszego sklepu.

— A cóż ja z jednym bochenkiem narozrabiam? Po kromeczce dzielić?! Nawet podczas leningradzkiej blokady wydzielali więcej na gębę.

— Bierzcie, ile chcecie — wycedził Motiakow, ale i teraz się nie obrócił, tylko ręce, założone za plecy, ścisnęły się w pięści.

— A to już piosenka innego rodzaju — Fomicz nawet uśmiechnął się na pożegnanie. — Dobrej nocy wam życzę...

W sklepiku należącym do rejonowego komitetu znajdowały się trzy kobiety; jedną z nich — w czerwonym, w kształcie cylinderka kapeluszu, w zielonym, z zagranicznej wełny swetrze — była żona Motiakowa. Fomicz od razu ją poznał, ale udał, że nie widzi, i nie patrząc na żonę, jak przedtem Motiakow na niego, zwrócił się do Nastionki Roszczynej, sprzedawczyni:

— Ależ naczelnika, tu macie. Nastionka! Prawdziwa gadzina...

— Co za naczelnik, wujku Fiedia? — Roszczyzna była ze Swistunowa i znała Fomicza.

— Jakże... Motiakow! Daj mu, Panie Boże, żeby sto lat żył, a dwieście na czworakach łąził.

— Co wy mówicie? — przestraszyła się Nastionka. Klientki umilkły, zaś żona Motiakowa — Fomicz dostrzegł z ukosa — spłasowała, zrobiła się czerwiejsza od swego kapelusza.

— Gadziny trzeba, żeby dzieciom jedzenie od gęby odbierać? A ten pasożyt nakazał, żeby moim dzieciom chleba nie wydawali.

Żona Motiakowa wyszła, trzasnąwszy drzwiami, a Nastionka zaczęła machać rękami na Fomicza.

— Wujku Fiedia, przecież to była żona Motiakowa!

— To dobrze, niech ta tera zamelduje swojemu, jakiego naród o nim mniemania.

— Zmilczałbyś lepiej — powiedziała Nastionka — jeszcze i mnie do ciebie przyczepią...

— Ty się nie boja! Powiedziano, że my nic już do stracenia nie mamy...

XIII

Zanim jeszcze zakwitły jabłonie, akurat w sam czas sadzenia ziemniaków, na skład do Fomicza zajrzał Paszka Woronin. Miał na sobie nowe, chromowe butki i białą koszulę z wykładanym kołnierzem. Paszka gryzł ziarnka; po rozczochranej rudej czuprynie, czerwonym nosie i zmętniałych oczach Fomicz od razu poznał, że Paszka sobie podpił. Działo się to pod wieczór, na pniach siedział i grzał się dziadek Fiłat, a oprócz niego Waśka Kociak, który tylko co przypędził stado, i czterech kołchoźników z Michiejewa, co na noc przyjechali z dalekiej zarzecznej okolicy po słupy. Siedzieli, trzepali jęzorami, a już Fomicz był do tego najpierwszy.

Paszka usiadł na końcu pnia i uśmiechnął się:

— Przychodzę Fomiczowi pomagać, bo u niego, pewnikiem, od tej ciężkiej roboty zadek rozboleł...

— I-ech! Ależ ten mu dosypał! — Waśka zarżał, odrzucając głowę do tyłu, niczym żreback.

— A ty, Pasza — odpowiedział Fomicz — widzę, gardziel na właściwy czas przepłukałeś. A mnie pies bardzo nawet potrzebny. Żeby budulec pomagał ochraniać.

Teraz śmieli się także michiejewscy chłopcy i nawet dziadek Fiłat zanosił się drobnym, bulgocącym śmiechem.

„Jakeś już poszedł ze mną się próbować — myślał Fomicz — to się porównamy! Zobaczym, kto kogo!”

— Pies to by ci ino przeszkadzał — powiedział Paszka z kwaśnym uśmiechem. — Samemu wylegiwać się wygodniej.

— E-e, nie! Ja nie jestem sam... Ja tutaj w trzech postaciach: Bóg-Ojciec, Bóg-Syn i Duch Święty.

— To cosik na zagadkę wygląda — powiedział Paszka.

— Niby dlaczego?! Bóg-Ojciec to ja sam, Bóg-Syn to mój starszy pomocnik... Cały we mnie się wdał! A Duch Święty to moja zmyślność, która zawdy górę bierze nad diabelską mocą.

— Nad jaką tam znowu diabelską mocą? — zapytał Paszka.

— A niby nad tobą i nad Guzionkowym.

— I-i-ech! Ten to mu dopiero daje! — Waśka odrzucał do tyłu czerwoną, schlastaną wiatrem twarz.

— A to ci Fomicz! — kołchoźnicy łapali się za brzuchy.

— Takiego łapciem nie przykryjesz!

— I za co tylko takiemu szczekaczowi pieniądze płacą — powiedział Paszka ze złością.

— A i prawda! — podchwycił Fomicz. — Po cóż mi niby pieniądze? Wody mam ile ta chce! Ryb — także samo — patrz, całe jezioro! Powietrze — bezpłatnie! A do tego jeszcze brygadier przychodzi zabawiać za darmo. A czemu by nie zabawić się z władzą? Przypomniało mi się, jak to u nas w kołchozie podwyższali zapłatę za pracę... — Fomicz wyjął kapciuch i z ukosa spoglądał na Paskę, skracając kozią nóżkę.

W oczekiwaniu na nową śmieszna historię, Kociak podał się do przodu, dziadek Fiłat siedział, zgarbiony, objąwszy kolano dłońmi, i nie wiadomo, czy śmiał się bezdźwięcznie, czy po prostu rozdziawił gębę. Michiejewscy kołchoźnicy ciekawie przyglądali się Paszce. Na ich twarzach jak gdyby było wypisane pytanie: „No, co? Jeszcze wytrzymujesz?”

— No, więc, znaczy się, zebrał się w zarządzie cały aktyw. Agronom wstaje i powiada: „Towarzysze, powinniśmy podwyższyć płacę zarobkową naszemu przewodniczącemu. Tak czy owak aleśmy plan dostawy zboża wykonali z nadwyżką. A kto najwięcej się starał? On! My bez przewodniczącego jak te ślepy i łatwo mogliśmy zbłądzić. A w nim mamy przywódcę!” „Prawidłowo! — powiedział buchalter. — Jestem za tym, żeby przewodniczącemu dorzucić jeszcze jeden tysiączek. Zarządzam głosowanie: kto przeciw?” Nikt? Dobra. Wtedy wstał przewodniczący i mówi: „Towarzysze, przecież nie ja jeden się starałem. Przed wszystkimi należałoby wyróżnić także agronoma. Toż on łanów doglądał. Jakby nie agronom, to by pola trawą pozarastały. Zgoda? No, to głosujmy. Kto przeciw? Nikt... Bardzo dobrze!” „Ależ, towarzysze — wstaje buchalter. — Przecież myśmy wykonali plan również w dostawach mleka. Zootechnik też zasługuje, żeby mu pensję podwyższyć. Jakby nie on, to by krowy

niedożone łążyły”. Dobra! Podwyższyli także i zootechnikowi. „A co z buchalterem — podnosi się zootechnik. — Przecież on u nas rachunki prowadzi... Debet czy nie debet, a on piórkiem grzebie. A kto nam pensje wypłaca? Buchalter! Jakby nie on, to byśmy pieniędzy nie otrzymywali. Trzeba podwyższyć także buchalterowi”. Dobra, podwyższyli. „A brygadier? — powiedział agronom. — „Kto kołchoźników organizuje do pracy? Brygadier! Jakby nie brygadier, to by nikt na robotę nie wyszedł. Trza podwyższyć i brygadierowi...” Dobrze, podwyższyli. „Towarzysze — powiada przewodniczący — mojego szofera także nie należy krzywdzić. Jak on zacznie źle wozić mnie samochodem, to planu nie wykonamy. Szoferowi też trzeba podwyższyć”. Podwyższyli. „A ja co? — powiada hodowca bydła. — Ja pracuję na rozrodczym punkcie. Jakby nie moja robota, to by i cieląt nie było. Skąd byście wtedy mleko wzięli?” Wszyscy powiadają: „Prawidłowo. Jakże się to stało, żeśmy o hodowcy zapomnieli? Jemu także trzeba pensję podwyższyć”. „A ja? — powiedziała Matriona. „A tobie za co?” „Jakto za co? Przecież ja pracuję, gnój wywożę”. — „To pracuj dalej! Tylko ładuj dziennie dwadzieścia wozów gnoju, a nie trzy. Tedy dostaniesz pud zboża i dziesięć rublów. Więcej niż inni... To po co ci pensja?” Dobra, Matriona poszła gnój wywozić. Jeden wóz, drugi... Przy trzecim wozie koń wrył się kopytami. „Wiśta!” Stoi. „Wi-i-śta!” Ani rusz. Wzięła bata i jak mą przygrzeje z boku! Koń z miejsca zwał się na drugi bok. To ci dopiero wożenie gnoju! Poszła do stajen, powiada: „Dajcie mi do zaprzęgu tego oto mocnego konia!” „Tego nie można — odpowiada jej koniuch. — Ten koń przynależy brygadierowi Paszce!” Wiosna się zbliża, a gnoju jeszcze na pola nie wywieźli. „Znowu przez całą zimę głupich udawali! — przeklina przewodniczący. — Czekajcie, już ja was nauczę!” Telefonuje, żeby mu przysłali buldozer z Meteesu... Przeszedł buldozer zabrał cały gnój z fermy i razem z nim wszystkie pieniądze Matriony. „Widzisz — powiada przewodniczący do Matriony — kany twój zarobek uciekł? Trzeba było lepiej pracować!” Dopieroż Matriona z tego nieszczęścia wypięła samogonu... Rankiem trza do pracy, a ona z pieca nie zlaży... No więc przychodzi po nią brygadier...”

— Dość! — krzyknął Paszka i podniósł się. — Nie przyszedłem tu, żeby twoich plugawych przemówień przeciw kołchozom słuchać, ino przyszedłem ci powiedzieć... przekazać ci rozkaz przewodniczącego — jutro w twoim sadzie kołchoz będzie się proso!

— Jakże to tak? — Fomicz także się podniósł. — To ja w moim własnym sadzie już nie jestem gospodarzem?

— Byłeś! Łońskiego roku wydalono ciebie z kołchozu na

zebraniu i pozbawili działki przyzagrodowej. To ja ciebie na ten temat uprzedzam. To jest decyzja zarządu kołchozu, zrozumiałeś?! Działka już do ciebie nie należy... Tak to jest! — Na zakończenie Paszka roześmiał się Fomiczowi wprost w twarz. — No, i co, nie cieszysz się? Zabawiaj teraz swoich koleżków...

I poszedł tak jak stał.

— Proszę, mamy opowieść z przypowieścią! — powiedział Fomicz, drapiąc się w głowę. — Cóż ja tu teraz porobię? Jak myślisz, dziadku Fiłat, odbiorą moją działkę?

— Oni wszystko mogą. Widziałeś — u Mitki Gubanowa zabrali...

Gubanow pracował przy statkach, działkę mu odcieśli aż po sam ganek domu, to on po cichutku zaorał ziemię na Łuniewskiej wyspie. Ale wyspa należy do żeglarskiego przedsiębiorstwa. Nikt takiego Fomicza tam nie puści...

— Toż ja tera też jestem klasa robotnicza. Piętnaście stówek mi wyznaczono. Znajdę na to prawo. Do samego sądu pójdę...

— E-e... Fiedka! Zanim sąd i sprawa, to oni się uweznią i proso w twoim sadzie zasieją — powiedział Fiłat. — Jakbyś tak przed nimi ziemniaki zasadził, to by inna była sprawa.

— A jak ziemię zorać? Babę zaprzęgnę czy jak? Do nich tera o konia pytać, ani dostąpić!

Chłopi z Michiejewa, dotychczas zachowujący milczenie, popatrzyli jeden na drugiego, i zgrzybiały staruszek, prawie tak wiekowy jak dziadek Fiłat, w czarnej marynareczce, spod której wylażała poła starej, zniszczonej koszuli, powiedział do Fomicza:

— Jak ziemię zorać? Gołąbku, ty mój! To tu mamy cztery konie. Za jedną noc zaorzemy i posadzimy... Jeno sochę przytaskaj.

— A i prawda, Fiedka! — podchwycił dziadek Fiłat. — Bier u mnie sochę i zaiwanaj. W sam raz fason podtrzymasz.

— U tej twojej sochy — powiedział Fomicz — to już pewnością narogi przegniły...

— Szczun! — dziadek Fiłat podrzucił bródkę do góry. — A ja niby jak grunt gotuję pod sadzonki?

Rzeczywiście, socha była mocna na dziwo. „To ci dziad gospodarny — dziwił się Fomicz, oglądając gospodarstwo Fiłata. — Zdałoby się, ledwie nogami powłóczy, a dach dobrze kryty, bierwiona chałupy dobrze smołą przetkane... I nawet kurka w sionce gdacze...”

Z pomocą miechiejewskiego starucha Fomicz przytaszczył do siebie sochę, zaprzęgli do niej konia... Dopieroż poszła robota! Orali na zmianę — jeden koń zmęczył się, zaprzęgali drugiego. A potem wylażała cała dzieciarnia Fomicza, z gospodynią na czele,

i do jedenastej wieczorem — ciemno już było — zasadzili wszystkie ziemniaki.

— To rzeczywiście po stachanowsku! — powiedział Fomicz, ocierając pot z czoła podłosem koszuli. — Znaczą się robota na wspólnych zasadach. Jazda na odpoczynek.

Awdotia poszła do sąsiadki, matki Andriusza, przyniosła dwie butelki samogonu; wystawiła garnek z kartoflami na stół, michiejewscy chłopcy cieniutko nakrajali słoniny... I zaraz zrobiło się wesoło na sercu. Na początek Fomicz coś nieco chlusnął samogonem na talerzyk i podpalił — wysoki, błękitnawy płomień zaczął szamotać się nad talerzykiem.

— Pali się, niczym nafta! — uroczyście oznajmił Fomicz.

— Tu już na uczciwość pracowali...

Staruch z Michiejewa powąchał butelkę.

— A tak jakby i naprawdę naftą pachniało.

— Co znowu! Samogon cukrowy. Andriusza przywozi cukier z rejonu.

Najmłodszy syn, Sańka, wystawił głowę znad pieca i, patrząc na migający na talerzyku, niebieskawy płomień, nagle zaśpiewał czastuszkę:

*By spaliła się do kropli,
samogonkę z cukru pędzim:
z kilogramu litr wypada —
i zabrakło cukru wszędzie..*

Michiejewscy chłopcy roześmiali się. Staruszek odkrajał kromeczkę praśnego placka, położył na niej kawałeczek słoniny i podał.

— Jedz, synku, jedz...

— Mamo, daj i nam! — jednocześnie z pieca ukazały się jeszcze trzy głowy.

— A ja wam zara mątwką po łbie! — krzyknęła Awdotia od stołu.

Łagodny staruszek pokrajał cały placek na kromki i wręczył dzieciakom.

— Jedzta... jedzta... My jemy, a oni co? Czyż to my nie ludzie? Powiedziano w piśmie: dzieci to kwiaty życia naszego.

— Nie — powiedziała Awdotia, wycierając szklanki. — W takim życiu to i z dzieci żadnej radości. Niechby ta ich i w ogóle nie było.

— Nie trzeba tak mówić — zaprzeczył staruszek. — Jakie by tam życie nie było, zawsze przemija — czy dobre, czy złe. Najważniejsza rzecz — co człowiek po sobie zostawi... Albowiem powiedziano w piśmie: niegodna to rzecz, iżby człowiek żył

w samotności. Umrze — i nawet nie ma nikogo, kto by go wspomniał ku pamięci.

— Dzisiaj to nawet nie ma gdzie pamięć wspominać — powiedziała Awdotia. — Cerkiew rozwalili, a Pan Bóg, widać, poszedł precz od nas.

— Och, nie należy tak mówić! — staruszek podniósł palec do góry. — Albowiem powiedziano: Bóg mieszka w nas samych. Albowiem powiedziano: w naszej boleści nasz Bóg.

— Te boleści — powiedział Fomicz, nalewając samogonki do szklanek — różne ano bywają. Kocur na piecu boleje i pies pod płótem boleje także samo. Jeżeli Bóg to boleść, dlaczegoż on w wydzielaniu boleści taki niejednakowy?

— To już jak co komu jest przeznaczone — powiedział staruszek z namaszczaniem. — Każde boże stworzenie swoje radości posiada. Także samo i człowiek. Napisano: nie zajrzyj drugiemu! W samym sobie szukaj fundamentu radości i błogosławieństwa.

— Myśmy już do tego dożyli — upierała się Awdotia przy swoim — że co na nas, to przy nas.. Szukaj, nie szukaj... Kto tu nam w czymkolwiek pomoże!...

— Matka, niewłaściwy wzięłaś kierunek! To do mnie było powiedziane: jak już człowiek wiarę utracił, to mu i sam Bóg nie pomoże. — Fomicz zwrócił się do staruszka. — Właściwie was zrozumiałem?

— Istna prawda! Albowiem w piśmie powiedziano: nie masz większego grzechu ponad smutek zrodzony z rozpacz.

— Ojciec Sergiej — powiedział trochę niepewnie jeden z michiejewskich chłopów, którego nazywali Iwanem Pawłowiczem. — Dość już będzie, nie kazujcie tyle.

Chłop był mniej więcej jednolatkiem Fomicza, tak samo czarniawy, wysuszony, z pomarszczoną szyją.

— Czas by coś zjeść! A i kto pije, też nie grzeszy. — Iwan Pawłowicz skinął w kierunku samogonu. — Żeby ino nie wyparowało.

Cała reszta michiejewców byli to całkiem młodziutkie parobczaki, pewnie jeszcze wojska nie odsłużyli.

— No, to jazda! — Fomicz podniósł szklankę.

Trącili się szklankami. Pili powoli, siorbali między wargami, jakby to był nie samogon, lecz drożdżowy zaczyn, krzywili się tak, że aż oczy im zniknęły między zmarszczkami; aż wreszcie, po wypiciu, hałaśliwie wciągnęli powietrze i wachali chleb.

— Mocna!

— Ta-ak, mo-o-cna...

— Zmiłuj się, Panie Boże!

— Ty co, za popa pracujesz czy jak? — zapytał Fomicz staruszka.

— Za kapłana — skinął wysuszoną głową ojciec Sergiej.

— A to czemu długich włosów nie nosisz?

Ojciec Sergiej miał włosy krótko ostrzyżone, rzadkie i — nie wiadomo — siwe czy wyblakłe.

— On za młodego jeszcze popa u nas chodzi — powiedział Iwan Pawłowicz. — Od niedawna...

— Pop i po budulec przyjechał... — powiedział Fomicz. — Tego to ja jakości nie mogę zrozumieć.

— On u nas w rodzaju jak gdyby nie zatwierzonego — powiedział Iwan Pawłowicz. — Prawdziwy pop swawolić zaczął. Jakoby przed ołtarzem wypił do nieprzytomności. Stare baby zbuntowały się i popędziły go. A nasz ojciec Sergiej pracował jako cieśla. I psalmy w cerkwi śpiewał. No, to go poprosili, wezwali, znaczy się, całą gromadą. I odtąd jest za popa... Tylko że przewodniczący kołchozu z roboty go nie uwalnia. Ty — powiada — jeszcze nie jesteś prawdziwym popem...

— To jakby specjalne zobowiązanie — powiedział jeden z młodych parobków, ośmielony po wypiciu, i parsknął śmiechem. — Coś jakby działalność artystyczna.

— Waśka! — psyknął na niego Iwan Pawłowicz.

— Pracujemy na niwie Bożej w miarę sił naszych... — pokornie zauważył ojciec Sergiej.

Po drugiej szklance Fomicz zdjął bałajkę. Harmonii nie miał od dawna, Awdotia ją sprzedała jeszcze wtedy, kiedy Fomicz siedział w więzieniu, i za te pieniądze wysłała mu dwie paczki.

Fomicz pociągnął po strunach i syknął okiem do Awdotii:

— Ano, Dunia, kajże się podziały nasze siedemnaście lat?! Zacerwieniona, odmłodniała Awdotia podparła się w biodrach, ruszyła ramionami i zaśpiewała pełnym głosem:

*Zagraj, Fiedia, zagraj śmiało,
co się razem przecierpiało!*

Fomicz natychmiast odpowiedział jej przyśpiewką:

*Wspomnij, miła, wspomnij, ścierwo,
jak siem z tobą bawił pierwej!*

Michajewscy chłopci roześmieli się, jak jeden, zaś Iwan Pawłowicz zawołał:

— Rżnił, bracie, kamaryńską!

Fomicz natychmiast przestroił struny, puścił palce w ruch na gryfie. Jedna struna zaczęła cienko i żałośnie wyciągać melodię, coraz to przerywającą się, jak gdyby się potykała.

— Dobrze zaczął! — powiedział Iwan Pawłowicz. — Z daleka...

Wyszedł na środek izby, podniósł palec do góry, zaczął wybijając takt i przytupywać.

— A teraz odrobinę zwawiej! — Przyjemnym, chociaż słabym barytonem zaśpiewał: „A-a-ach, ty su-u-u-kin synu, kama-aryński chłopie...” — Zwawiej! — znowu krzyknął, szybko pochylił się, uderzając dłońmi po kolanach i przytupując coraz szybciej.

— I-ech-ma! — Fomicz targał struny coraz dźwięczniej, zaczął trząść się jakoś śmiesznie, rzucać głową, przyśpiewując w największym pośpiechu:

*A tyn chłop ulicą naszą bieży,
ady, bieży, bieży i zawraca,
coraz drgawki nim targają...*

Fomicz przyśpieszył rytm jeszcze bardziej i przeszedł na melodię „pańskiego” tańca.

— Upy-up! Upy-up! — podkrzykiwał Iwan Pawłowicz, podskakując i klepiąc dłońmi po cholewach butów, potem przysiadł i bez wysiłku, lekkim skokiem sunął po izbie z przeraźliwym gwizdem.

— Ach, tiuch tiach-tiu, techcie, samowarek mój pod dziegiem — podśpiewywał Fomicz i wiercił się na ławce, sam gotów puścić się w tany.

— U-uf ty! — powiedział Iwan Pawłowicz, wyprostował się i, konwulsyjnie chwytając powietrze, ciężko rzucił się na ławkę.

— O tak! Niech znają z kim mają do czynienia!

— Ale Pawłycz! — mówiła Awdotia. — Ależ zwawy! Wy z moim to jak dwa buty z tej samej pary.

A później cichutko, żeby za domem nie było słyhać, śpiewali chórem:

*Za wysokim, więziennym gdzieś murem
długo konał młodzieńki skazaniec.
Na pierś głowę skłoniwszy ponuro,
wciąż odmawiał modlitwy nad ranem...*

Ojciec Siergiej ciągnął melodię cieniutkim, drżącym tenorkiem, odrzuciwszy głowę do tyłu, a w jego jasnych, jak szklane paciorki, oczkach błyszcząły łzy...

XIV

Następnego dnia Paszka Woronin zameldował przewodniczącemu:

— Kużkin samowolnie posadził ziemniaki na swojej działce.

— A kto mu ziemię zorał?

— Obcych wynajął. Powiadają, że spoił i oszukaństwem ich podszedł.

— No, to on teraz będzie u mnie ziemię żreć — powiedział Guzionkow. — Już ja go nauczę, jak trza sowieckie prawo szanować.

Natychmiast zatelefonował do Motiakowa, rozpowiedział, jak to Fiedor Kużkin samowolnie zajął działkową ziemię i posadził na niej ziemniaki. „I jeszcze hulankę z tego powodu urządź...” Motiakow rozkazał spisać akt, wezwać agenta z zarządu wiejskiego gospodarstwa i dostaw, podpisać i skierować akt do prokuratury.

— Sądzić go będziem! Pokazowa sprawa... Wybijemy ciągutki, żeby z kołchozu uciekać. Rrraz i na zawsze!

A gdy minął jeszcze jeden dzień, z prokuratury przyszło wezwanie — umyślny z wiejskiej rady przyniósł je i dał Żywemu do podpisania. Papier zapraszał go w uprzejmej formie przybyć do prokuratury w Tichanowie, przy czym informowano go, że w razie niestawiennictwa, „wyżej wymieniony obywatel zostanie dostarczony przez organy milicji”.

„Wyżej wymieniony obywatel” stawił się, naturalnie, sam. Najpierw wstąpił do RIK-u, do przewodniczącego. Ale Motiakow odmówił rozmowy, posłał go do Timoszkin.

— A-a... Towarzysz Kużkin! Powitać, powitać... Czym mogę służyć? — Timoszkin siedział za stołem, wyglądał dobroduszenie i życzliwie, a jego okrągłe, żółte oczy promieniały niczym świeżo wyczyszczone mosiężne guziki.

— Nie po to przychodzę, żeby prosić od was usługi — powiedział posepnie Fomicz. — Tylko bardzo ciekawie byłoby się dowiedzieć, czy w naszym kraju przestrzega się prawa czy też nie?

— W naszym kraju, towarzyszu Kużkin, prawa zostały napisane dla pracującego ludu, a nie dla darmozjadów. A znowuj takich, co prawa naruszają, przyzywa do porządku sowiecka prokuratura.

— To dla mnie jest nawet i bardzo zrozumiałe. Tylko że poproszę o wyjaśnienie — jakież to jest takie prawo, żeby robotnikowi odbierać jego ogród?

— Jakiemu tam znowuj robotnikowi?

— Na ten przykład, mnie!

— A to ci sprytnie wykręcił! Patrzenie-no, jaki tu element się znalazł! — Timoszkin robił taką minę, jak gdyby zwracał się do kogoś trzeciego o wyrażenie uznania, chociaż w gabinecie, oprócz niego i Fomicza, nie było nikogo. — Nikt wam, towarzyszu Kużkin, ogrodu w charakterze robotnika nie przyznawał. I takim

sposobem odbierać go wam nie ma nijakiej możebności. Okoliczności są całkiem insze: to wyście samowolnie przywłaszczyli sobie kołchoźniczą ziemię jako ogród. I za to się was pociągnęło do kryminalnej odpowiedzialności.

— Prawo mi przyznaje jako robotnikowi piętnaście setnych morgi. A moja działka ma raptem czternaście. Czegoż wy jeszcze chcecie?

— A tego, towarzyszu Kuźkin, że u nas w Prudkach, państwowej ziemi nie posiadamy. Tu wszystka ziemia należy do kołchozu. Więc w Prudkach żadnym sposobem przyznać wam ziemi pod ogród nie możemy.

— Jakże to was mam wyrozumieć? — Fomicz patrzył na Timoszkina, całkiem ogłupiały.

— Ziemię na takie cele to my posiadamy tylko koło Gordiejewa. Tylko tam możemy wam przyznać ogród. Chceta — to bierzta.

— Cóż-to, wy se kpiny stroicie? — podniósł się wzburzony Fomicz. — Od Prudków do Gordiejewa dwadzieścia pięć kilometrów! Cóż to ja — fruwać mam do mego ogrodu?!

— Nie chceta — nie bierzta. — Timoszkina nie stracił spokoju ani na chwilę. — Zaś prudkowski ogród musicie oddać.

— Ogród jest mój! — Fomicz poszedł ku drzewom. — I nikomu go nie oddam.

— Sądownie odbierzemy... A ciebie posadzimy — powiedział z nim w ślad, nie podwyższając głosu, Timoszkina.

W prokuraturze przywitał Fomicza młodszy jurysta, Fatiejew — w białym kitlu, z gwiazdkami na epoletach, czarne włosy gładko przyczesane z przedziałkiem, nawet połyskliwe — spryskane wodą kolońską... Przebiegł wzrokiem po wezwaniu i powiedział wesoło:

— Właśnie na was czekałem! Proszę do gabinetu!

Młodszy jurysta wprowadził Fomicza do gabinetu, na które go białych drzwiach widniała tabliczka z napisem „Śledczy”, posadził na kanapie i przyglądał mu się z uśmiechem cały czas, jak gdyby bardziej pożądanego gościa, jak Fomicz, nie było dla niego na całym białym świecie.

„Niczym na bliny mnie zaprosił — myślał Fomicz, patrząc na świeże, rozpromienione oblicze śledczego. — Tylko czym on mnie tu ugości? To dopiero pytanie...”

Młodszy jurysta uważał samego siebie za człowieka dobrze wychowanego; przez długi czas pracował w politycznym oddziale MTS-u, obecnie studiował w instytucie pedagogicznym, na kursach korespondencyjnych... Mimo swych czterdziestu lat, był jeszcze ciągle szczupły i sprężysty, grywał na harmonii i na przedstawieniach twórczości amatorskiej śpiewał czastuszki własnego ukła-

du. Kiedyś nawet występował w stolicy okręgu. Fatiejew uważał, że najważniejszą cechą prawnika jest uprzejme zachowanie się.

— Odważny z was człowiek, towarzyszu Kuźkin — młodszy jurysta uśmiechał się coraz radośniej. — Po prostu jestem wami zachwycony...

— A jakiż tu niby powód zachwyty? Ubrany jestem jak gdyby zwyczajnie, na cudaka nie wyglądam. — Fomicz spojrział na swoją mocno sfatygowaną, poplamioną marynarczynę, na czarną kosworotkę. — Nic tu śmieszego, zdaje się, nie ma...

— Ach, nie, wyście mnie nie zrozumieli! — zawołał Fatiejew. — Ani mi w głowie prześmiewanie... Po prostu chciałem zauważyć, jak to starczyło u was śmiałości, żeby przywłaszczać sobie ziemię, należącą do kłochozu. Na udry żeście poszli z kolektywem... Sam jeden przeciw całej wsi! Ot co!

— A cóż to, na pięści ze wsią się bijam, czy jak? I niczego sobie nie przywłaszczałem. Ogród jest mój.

— Ogród należy do kołchozu... wyście go przywłaszczyli i teraz uważacie za swoją własność — wesoło podpowiadał młodszy jurysta.

— Jak to przywłaszczyłem? Tę ziemię jeszcze mój dziad orał. A rodzice drzewa owocowe zasadzili. Toż ja sam wyciąłem w nim jabłonie. Zaraz po wojnie przeorałem... pod ziemniaki.

— Wielce interesujące macie mniemania! Znaczy się, uważacie, że ziemię u nas dziedziczy się w spadku? A powiedzcie — rewolucja w naszym kraju odbyła się, czy nie?

— Odbyła się.

— A właśnie, towarzyszu Kuźkin. Rewolucja zniosła w naszym kraju prawo do osobistego posiadania ziemi. Wy to doskonale rozumiecie, tylko wolicie zabawić się w swoistą ciuciubabkę. Nie wyjdzie, towarzyszu Kuźkin! Ja sam lubię zabawić się, ale tylko w wolnym czasie po pracy.

— To o co wy mnie oskarżacie?

— Jesteście oskarżeni o samowolne przywłaszczenie sobie ziemi należącej do kłochozu. Kołchoźnicze zebranie odebrało wam prawo korzystania z ogrodu... Kiedy was usunięto z kołchozu. Wiedzieliście o tym?

— Nie. Nie było mnie na kołchoźniczym zebraniu.

— W jaki sposób potraficie udowodnić to zeznanie?

— A cóż to, na takim zebraniu wszyscy karby zostawiają na ścianie, czy jak? Jakby karby zostawiali, to bym powiedział: mojego karbu tam nie ma!

— Są zeznania świadków, żeście byli obecni. Czy znani są wam następujący obywatele? — Fatiejew wyjął paperek z teczki i przeczyta: — Nazarkin Matwiej Korniejewicz, księgowy

kołchozu; zastępca przewodniczącego Stiepuszkin, brygadier Woronin — wszyscy oni zeznali, żeście byli obecni na zebraniu.

— Jeżeli oni zeznali, to niech biorą na siebie odpowiedzialność.

— Bardzo ciekawie rozumiecie, towarzyszu Kużkin! To znaczy, że nie wy jesteście winni przywłaszczenia sobie kołchoźniczej ziemi, tylko kierownictwo kołchozu?

— A jeżeli wszyscy oni łżą, to co?

— A czy brygadier Woronin was uprzedzał? — nagle zapytał Fatiejew.

— Brygadier nie ma takiego prawa, żeby zabierać mój ogród — odpowiedział Fomicz po chwili zastanowienia.

— Otóż to. Kto kłamie — wyjaśni ludowy sąd. U nas wszystko idzie naukowo. Wy mi odpowiedźcie na jeszcze jedno pytanie: skądście wzięli konia do zorania ziemi pod ziemniaki?

— Przyjechali po budulec porządni ludzie i pomogli mi — zorali ogród.

— Czyście ich uprzedzili, żeście sobie ogród przywłaszczyli samowolnie? Z którego kołchozu ci ludzie?

Fomiczowi nagle zrobiło się markotnie aż do nudności, milczał i znudzonym wzrokiem wpatrywał się w okno, nie widząc śledczego; wdzierający się przez otwarty lufcik wiaterek lekko poruszał płóciennymi firankami, na parapecie widniały w doniczkach, okręconych białym papierem, jaskrawo czerwone kwiaty, z kształtu podobne do baziak. „Ciekawe, kto te kwiatki podlewa? — ni stąd ni zowąd pomyślał Fomicz. — Może właśnie ten farmazon z marymonckiej mąki?”

— Czy zdajecie sobie sprawę, żeście zrobili z tych ludzi współpracowników waszego przestępstwa? — głos śledczego dochodził skądś z boku. — Czy też po prostu ich oszukaliście? Z jakiego są kołchozu?

„Ciekawe, kto mnie będzie sędzić? Stary sędzia czy młody?”

— rozmyślał o swoich sprawach Fomicz.

— Towarzyszu Kużkin, słyszycie mnie?

— Ja i sam nie wiem z jakiego kołchozu. — oprzytomniał wreszcie Fomicz. — Nie pytałem.

— W takim razie wasza wina znacznie się zwiększa. Proszę zaczekać!

Śledczy wyjął z zielonego plastikowego futerału okulary i długo pisał, z wyteżeniem ściągając czarne brwi nad kością nosową. Potem nagle zapytał:

— Wasze nazwisko?

— Przecie je znacie.

— Proszę odpowiadać na pytania!

Więc Fomicz odpowiadał: nazwisko, imię, jakie imię ojca,

rok urodzenia, wieś, w której mieszka... Wreszcie śledczy rzucił swoje: „Proszę zaczekać!” — zamknął szufladę i wyszedł, zabierając ze sobą dwa zapisane arkusze.

Za przepierzenia z desek wyraźnie dochodził jego głos; „Akt oskarżenia...” Fomicz wstrząsnął się, zaczął przysłuchiwać się. Śledczy czytał monotonicznie, powtarzając zwroty specjalnie ważne. Wtórząc jego głosowi i zachłystując się od pośpiechu, ostro trzeszczała maszyna do pisania: „... w sprawie Kużkina Fiedora Fomicza, z artykułu 90 Kodeksu Karnego RSFSR...”

Następnie śledczy dyktował dane dotyczące Kużkina, gdzie mieszka i co robił w przeszłości. Fomicz źle słyszał tę część i ciągle zastanawiał się: „Kto mnie będzie sędzić — młody sędzia czy stary?...”

„... lekceważąc sobie ustalone postępowanie przekazywania ziemi w użytkowanie, uważając przyzagrodową działkę za swoje dziedzictwo — dyktował śledczy — Kużkin przywłaszczył sobie samowolnie wyżej wymienioną powierzchnię...”

„Ponadto Kużkin przy pomocy oszukaństwa i bez zezwolenia kierownictwa kołchozu, wystarał się o konie kołchoźnicze dla zorania ogrodu, i nie wydał swoich współpracowników...”

„Jak już stary sędzia Karpuszkina — myślał Fomicz — weźmie mnie w obroty, tedy nieszczęście. Dla niego źrebiec czy kobyła — wszystko za jedno: podali komendę — znaczy się, masz usiąść. A jeżeli młody będzie sędzić, to może, jakoś się wyłabudam. Ten młody całkiem niedawno ze szkoły. Możebne, jeszcze mu nie całkiem prawa ze łba wywietrzały...”

„... Postawiony w toku postępowania śledczego w charakterze oskarżonego w powyższej sprawie, Kużkin nie przyznał się do winy według oskarżenia i niczego istotnego na swoje usprawiedliwienie nie zeznał. Jego twierdzenie, jakoby postanowienie na ogólnym zebraniu kołchoźników nie było mu znane, nie znalazło potwierdzenia w materiałach sprawy...”

Fatiejew wrócił z takim samym przyjaznym uśmiechem, jakby zaraz, po podpisaniu tych wszystkich papierków, mieli we dwoje udać się do knajpy i wychylić po kielichu.

Fomicz uważnie przeczytał zarówno protokół z zeznań, jak i akt oskarżenia.

„... na podstawie art. 21 Prawa o postępowaniu sądowym w ZSSR powyższa sprawa podlega rozpatrzeniu przed sądem ludowym rejonu Tichanowskiego...”

Potem widniał podpis: „p.o. prokuratora, młodszy jurysta, A. Fatiejew”.

— Będziecie sądzeni tu na miejscu, w Prudkach. Na sesji wyjazdnej — uprzejmie poinformował Fatiejew.

— A to dobra! — uśmiechnął się Fomicz. — Nie będę drałować po raz drugi tyła drogi. Pięknie dziękuję, że chociaż pod tym względem uszanowali.

— Tylko że ja jeszcze nie wiem, jak z wami postępować. Zwolnić do rozprawy, czy przytrzymać — młodszy jurysta patrzył na Fomicza z widocznym zatroskaniem.

— Choćbyście posadzili, i tak z tej waszej sprawy wyjdzie żałobna msza za piętnaście groszy.

— Cóż tam znowu za żałobna msza?

— Jest taka przypowieść. Pewien pop wypił za dużo. Rankiem łba unieść nie może, a tu starucha przychodzi: „Ojczulku, odpraw żałobną mszę!” „Różne bywają msze — odpowiada pop z pieca. — Za pięć rubli, za rubla i za piętnaście groszy. Tylko że każda jedna do chrzanu!”

— Coś mglista przypowieść...

— Na sądzie się przejaśni... No, to jak, mam iść sam, czy każecie odprowadzić?

— Niech już tam będzie. Wybierzemy najprostszy środek prewencyjny. Proszę, podpiszcie zobowiązanie o niewydalaniu się. — Fatiejew podsunął Fomiczowi paperek.

Zywy wyczytał, że sprawa odbędzie się w dniu dziewiątym czerwca i że zobowiązuje się nie wyjeżdżać nigdzie z miejsca zamieszkania. Potem złożył podpis.

— A kto będzie mnie sądzić? Karpuszkina?

— Nie wiem. — Fatiejew wziął zobowiązanie. — Jesteście wolni w określonych powyżej granicach.

(Dokończenie nastąpi)

B. MOŻAJEW

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

„Wielka Trójka” w polskim zwierciadle

Każdą książkę opisującą dzieje drugiej wojny światowej zdoła nieodmiennie fotografia wielkiej trójki. Stalin w marszałkowskim mundurze i w czapce, Churchill w mundurze *commodore* R.A.F. również w czapce i pośrodku Roosevelt w staroświeckiej czarnej pelerynie z obnażoną siwą głową.

To byli zwycięzcy, którzy wyobrażali sobie, że powołując do życia ONZ — zabezpieczą pokój tak krwawo okupiony. Rada Bezpieczeństwa stanowiła dyrektoriat wielkiej trójki, ponieważ ani Francja ani Chiny nie posiadały wówczas statusu mocarstwowego.

Anglia przestała być imperium brytyjskim — nie stała się jednak mocarstwem europejskim. Do wielkiej przemiany przygotowane były ludy kolonialne lecz nie Anglicy.

Na horyzoncie pojawiło się nowe mocarstwo: Chiny. Status mocarstwowy Chin opiera się nie na bombie atomowej lecz na zjednoczeniu. Chiny stają się światowym mocarstwem wówczas gdy posiadają rząd, który potrafi pod swą władzę i sztandarem zjednoczyć 750 milionów obywateli Królestwa Środka.

Nowa wielka trójka stanowi jeszcze bardziej osobliwą konfigurację niż pierwsza wersja trójki powojennej. Zarówno Ameryka jak i Sowiety są w złych stosunkach z Chinami. Nie oznacza to jednak, że stosunki sowiecko-amerykańskie uległy poprawie czy zacieśnieniu.

Tak Pekin jak i Moskwa należą do obozu „antyimperialistycznego” — nie tworzą jednak solidarnego, jednolitego frontu. Chińczycy oskarżają Sowiety o paktowanie z Amerykanami — Rosjanie natomiast twierdzą, że antysowiecka kampania Pekinu ma na celu przygotowanie gruntu do bezpośrednich rozmów chińsko-amerykańskich.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Rosjanie i Chińczycy oskarżają się wzajemnie o kocietowanie Ameryki. Za tymi oskarżeniami kryje się świadomość, że porozumienie dwóch członków trójki przechylałoby szalę. Gdyby Chiny porozumiały się ze Stanami Zjednoczonymi — pozycja Rosji uległaby znacznemu osłabieniu. I odwrotnie, gdyby Sowiety porozumiały się z Waszyngtonem

— Rosja i Ameryka reprezentując 98 procent światowego potencjału atomowego stanowiłyby kombinację nie do zwalczania.

W przeciwieństwie do Chin i do Rosji — Ameryka jest jedynym członkiem trójki bez jakichkolwiek pretensji terytorialnych. Amerykanie nie zamierzają zabierać ziemi ani Rosjanom ani Chińczykom. I odwrotnie, ani Chińczycy ani Rosjanie nie zgłaszają pretensji terytorialnych pod adresem Amerykanów. To jest punkt ważny, który, być może, okaże się istotny.

Amerykanie i Rosjanie mają jedną cechę wspólną, a mianowicie — tak dla jednych, jak i dla drugich Chiny stanowią czołowe zagadnienie. Amerykanie chcieliby przeciwstawić się wpływom Chin w Azji — Rosjanie natomiast pragnęliby wyłączyć Chińczyków z międzynarodowego ruchu komunistycznego i doprowadzić do upadku obecnego kierownictwa chińskiej partii komunistycznej.

Chiny z jednej strony wpłynęły na oziębienie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — z drugiej strony zwięzły pole konfliktu rosyjsko-amerykańskiego do kwestii wietnamskiej, która w gruncie rzeczy jest kwestią chińską. W sumie należy stwierdzić, że tak Amerykanie jak i Rosjanie walczą nie tyle przeciwko Chinom ile o Chiny.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że Rosja ma większe szanse wyrównania stosunków z Chinami niż Ameryka. Mao nie jest wieczny, a jego następcy mogą podjąć próbę złagodzenia sporu ideologicznego. Komunizm uległ policentryzacji i jeżeli Jugosłowianie mają prawo do własnego modelu komunistycznego — analogiczny przywilej przysługuje również i Chińczykom.

Różnice dotyczą jednak nie tylko ideologii lecz przede wszystkim postawy politycznej. Rosja Sowiecka jest mocarstwem konserwatywnym i zainteresowana jest w zachowaniu *status quo* a nie w jego rewizji. I to jest zrozumiałe ponieważ rewizja *status quo* w Azji czy w Europie mogłaby dojść do skutku tylko kosztem Sowietów.

Wydaje się, że w Chinach dynamika ideologii jest niewspółmiernie większa niż w Sowietach i Chińczycy skłonni są w pewnych sprawach poświęcić racje pragmatyczne dla motywów ideologicznych.

Nigdzie na świecie komunizm nie uległ takiemu unarodowieniu jak w Chinach. Mao jest nie tylko teoretykiem chińskiego marksizmu lecz również wcieleniem wielko-chińskiego nacjonalizmu. Mao nie jest ani Gomułka ani Ulbrichtem. Zjednoczył Chiny, oczyścił je z obcych wpływów, przywrócił im niepodległość i status mocarstwowy.

Rewolucyjność Chin jest nowym wyrazem poczucia historycznej misji Królestwa Środka, którego mieszkańcy uważali od tysiącleci, że posiadają nie tylko najstarszą lecz jedyną cywilizację ludzką, godną tego miana. O ile Ulbricht jest w znacznie większym stopniu postacią imperialnej historii rosyjskiej niż niemieckiej — o tyle Mao-Tse jest w całości bohaterem historii chińskiej.

Należy owe znane fakty podkreślić, ponieważ Polacy na Zachodzie, tumanieni od lat propagandą, skłonni są wszystkich komunistów sprowadzać do wspólnego mianownika. W oparciu o powyższą zasadę jeden z emigracyjnych „publicystów” jeszcze w ubiegłym roku usiłował nas przekonać, że spór pomiędzy Moskwą a Pekinem jest ukartowanym komunistycznym manewrem, mającym na celu „uśpienie czujności Zachodu”.

Stosunki chińsko-rosyjskie — podobnie jak stosunki polsko-rosyjskie można w pełni zrozumieć tylko w perspektywie historycznej. Tym bardziej, że wszyscy znawcy przedmiotu podkreślają, że nie ma drugiego narodu o większym poczuciu historycznym niż Chińczycy.

Opracowując „chińską” część niniejszego artykułu korzystałem z licznych źródeł — z których najważniejsze przytaczam w przypisku.

Licząca dwa tysiące lat cywilizacja chińska jest najstarszą na kuli ziemskiej cywilizacją i kulturą o nieprzerwanej ciągłości. Ani najazdy ani obce religie czy ideologie — nie uczyniły wyłomu w tym pochodzie dziejowym. Religie, ideologie, filozofie — wszystko rozplywało się w morzu chińskim. Kultura chińska absorbowała obce wpływy i elementy nadając im rdzennie chiński charakter. W oparciu o tego typu historię i tradycję Chińczycy utrwalili w sobie przekonanie, że kulturalnie górują nad wszystkimi innymi narodami a ponieważ nikt nie jest im równy — nikt nie może być partnerem Chin. Chińczycy wzbierali się przyznać status suwerenny jakiemukolwiek innemu państwu — ponieważ oznaczałoby to zrównanie państwa barbarzyńskiego z Chinami. Z tej przyczyny nie zawierali układów i sojuszów, ponieważ nie mieli równego sobie partnera.

Niemal do końca XVII wieku cudzoziemcy, ba, nawet wysłannicy papieża musieli wykonywać lenniczą ceremonię tzw. „Kow-Tow”. Owa ceremonia polegała na tym, że wysłannik cudzoziemski musiał trzy razy przykniekać i dziewięć razy upadać na twarz przed tronem cesarza. Ceremonia „Kow-Tow” pouczała każdego obcego wysłannika na jakich warunkach możliwy jest kontakt z Królestwem Środka. Barbarzyńcy mogli być lennikami lub wasalami cesarza — nigdy jego partnerami.

W latach 1650-tych doszło do krwawych walk rosyjsko-chińskich w Mandżurii. W roku 1670 przybył do Pekinu poseł rosyjski, który jako pierwszy cudzoziemiec w dziejach odmówił wykonania ceremonii „Kow-Tow” i ani nie przykneknął, ani nie upadł na twarz przed cesarzem.

W roku 1689 Chiny podpisały w Nerczynsku układ z Rosją, który zapewnił Królestwu Środka względny spokój, stanowił jednak wyłom w chińskiej tradycji.

W roku 1731 Chińczycy wysłali pierwszą w swojej historii misję dyplomatyczną do Petersburga. Celem misji było wytargować od Rosji neutralność w wojnie chińsko-mongolskiej.

W wieku XIX doszło do częściowego rozbioru Chin. Rosja zagarnęła w sumie obszary o łącznej powierzchni 600.000 mil kwa-

dratowych. Gdy w roku 1911 upadło cesarstwo chińskie, Rosja skorzystała na tym najwięcej jako główne mocarstwo rozbiorowe.

Analogie pomiędzy polsko-rosyjską historią a chińsko-rosyjską historią są zdumiewające. To są dzieje o identycznym motywie: złego, zaborczego sąsiada.

Można przyjąć pogląd, że cesarstwo chińskie było anachronizmem skazanym na upadek. Polska przedrozbiorowa była również w wielu dziedzinach anachronizmem. W obu wypadkach imperializm rosyjski odegrał decydującą rolę przyczyniając się właśnie tak do upadku pierwszej Rzeczypospolitej jak i cesarstwa chińskiego. Zarówno w stosunku do Polski jak i Chin Rosja była głównym zaborcą. W roku 1900 (powstanie Bokserów) zarówno w Warszawie jak i w Pekinie „porządek” wprowadzały wojska rosyjskie.

Nikt w ciągu 2000 lat nie upokorzył Chińczyków tak jak Rosjanie. I nikt nie jest bardziej znienawidzony w Chinach jak Rosjanie. Polacy ponosili klęski w walkach z Rosją — poszczycić się jednak mogą również wspaniałymi zwycięstwami. Chińczycy nie mają niczego czym mogliby łagodzić swój kompleks klęski.

Zatarg chińsko-rosyjski nie jest ideologicznym sporem między dwoma kacykami komunistycznymi. To jest dramat historyczny o kilkusetletniej żywej tradycji. Wydawałoby się, że Polacy byli niejako predysponowani, by dojrzeć przed innymi istotę tego sporu. Jednak dla zbyt wielu z nas (i zbyt długo) propagandą zastępowała zarówno historię jak i trzeźwe rozeznanie.

Pierwsi, którzy w pełni rozeznali istotę zagadnienia byli Amerykanie. Oficjalnie konflikt chińsko-rosyjski datuje się od września 1960 r., tzn. od daty masowej ewakuacji techników rosyjskich z Chin.

Jednak już w roku 1936 — na trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej — Mao Tse-tung oświadczył dziennikarzowi amerykańskiemu Edgar'owi Snow, że jego celem jest odzyskanie wszystkich ziem utraconych przez Chiny. W dwa lata później, na plenum K.C. Chińskiej partii komunistycznej, Mao sformułował po raz pierwszy zasady chińskiego marksizmu. Powiedział wówczas m.in.: „marksizm nie istnieje jako pojęcie abstrakcyjne. Istnieje tylko marksizm konkretny wyrażony w narodowej formie. Oznacza to przeistoczenie marksizmu w myśl chińską, której każda manifestacja nosić musi chiński charakter”.

Trzeba pamiętać, że powyższe słowa zostały wypowiedziane w 1938 r. kiedy żaden przywódca komunistyczny na świecie nie śmiał odstąpić na milimetr od linii stalinowskiej.

Stalin zostanie kiedyś „odbrązowiony” i w Chinach. Dziś imię Stalina służy jako karta w rozgrywce Pekinu z Moskwą. Stalin był imperialistą i nie pragnął zjednoczonych Chin. Interesem sowieckim odpowiadałyby znacznie lepiej Chiny podzielone i skłócone. Chińska partia komunistyczna nie ma Stalinowi niczego do zawdzięczenia. Gdy Mao znajdował się na szlaku „Długiego Marszu” (6.000 mil na północny wschód — 1934/35 r.) ambasador sowiecki towarzyszył nacjonalistom, a Moskwa zamykała swoje

konsulaty w miastach zajmowanych przez komunistów. W czasie kampanii przeciw Japończykom Stalin wspomagał Czang Kaj-szeka a Mao Tse-tunga i jego partyzantów przyrównywał do rzodkiewek — czerwonych z wierzchu — białych na wewnątrz.

Po wojnie, w Jałcie, Stalin zabezpieczył sobie zwrot tzw. koncesji chińskich, które carska Rosja utraciła na rzecz Japonii w wyniku przegranej wojny w r. 1904-05. W ten sposób haniebna przegrana carskiej Rosji została zmaszana kosztem Chińczyków.

Najważniejsza — jeżeli chodzi o problemy terytorialne — jest wypowiedź Mao Tse-tunga z dnia 10 lipca 1964. W rozmowie z przywódcą socjalistycznej delegacji japońskiej, która przybyła do Pekinu — Mao udzielił poparcia socjalistom japońskim, którzy domagają się od Sowietów zwrotu wysp Kurylskich. Mao podkreślił wówczas, że „istnieje zbyt wiele terytoriów okupowanych przez Związek Sowiecki”. Dodał również, że „Sowiety zajmują obszar 22 milionów km. kwadratowych mając zaledwie 220 milionów mieszkańców. Japonia zajmuje obszar 370 tysięcy km. kwadr. licząc 100 milionów mieszkańców”.

Mao Tse-tung stwierdził następnie: „zgodnie z układem w Jałcie — Związek Sowiecki pod pretekstem zapewnienia Mongolii niepodległości — zagarnął ten kraj pod swoje panowanie. Mongolia jest terytorialnie znacznie większa niż Wyspy Kurylskie. Gdy w roku 1954 Chruszczow i Bułganin przybyli z wizytą do Chin — podjęliśmy z nimi sprawę Mongolii, lecz oni odmówili dyskusji na ten temat. Sowiety zagarnęły część Rumunii. Moskwa oderwała część Polski wcielając ją do Związku Sowieckiego — i ofiarowała Polsce część Niemiec Wschodnich jako rekompensatę. Przeszło sto lat temu ziemie na wschód od Jeziora Bajkalskiego zagarnęła Rosja i wskutek tego Chabarowsk, Władywostok, Kamczatka i inne okręgi — stały się terytorium sowieckim. Odnośnie tej listy (strat) nie wystawiliśmy jeszcze rachunku”.

Niemieccy rewizjoniści przyjęli cytowaną wypowiedź Mao Tse-tunga z niekłamany entuzjazmem. „Deutsche National und Soldaten Zeitung” z dnia 21 sierpnia 1964 — ogłosił mapę ilustrującą chińskie i niemieckie żądania terytorialne pod adresem Związku Sowieckiego.

Nie jest moim zamiarem w niniejszym artykule przedstawianie skomplikowanej historii stosunków chińsko-rosyjskich — tym bardziej, że na ten temat istnieje dziś obszerna literatura. Chciałem tylko podkreślić i uwypuklić fakt, że konflikt chińsko-rosyjski nie jest sporem partyjnym, choćby nawet w przyszłości doprowadzić miał do formalnego rozłam w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Rozpatrując ów konflikt trzeba zawsze pamiętać, że, po pierwsze — spór bez względu na jego aktualną formę wywodzi się z imperialistycznej polityki Rosji i ma charakter narodowo-terytorialny — i po drugie, że Pekin z Mao Tse czy bez Mao Tse nie będzie nigdy satelitą Moskwy.

Rosjanie nie traktowali Chińczyków jako równorzędnych partnerów. Technicy sowieccy nim zostali odwołani — zachowywali się w Chinach jak wiktoriańscy Anglicy w afrykańskich kolo-

niach. I byli całkowicie izolowani. Ilekroć zjawiała się jakaś misja polska, była „rozrywana” przez Rosjan, którzy w Chinach uważali Polaków za Europejczyków i braci Słowian.

Zawiodła chrystianizacja i zawiodła komunizacja Chin — jeżeli przez skomunizowanie rozumieć przyjęcie moskiewskiego wyznania marksizmu. Nawet gdyby pomiędzy Rosją a Chinami nie było w przeszłości (ani obecnie) żadnych sporów terytorialnych i narosłych wzajemnych nienawiści — nawet wówczas Pekin nie uznałby ideologiczno-politycznej zwierzchności Moskwy. Pekin nie uzna, ani nie podporządkuje się „Rzymowi” — ponieważ w historycznym odczuciu Chińczyków sam jest jedynym „Rzymem” świata.

Choć zabrzmi to dziwnie i egzotycznie — zwłaszcza Sarmatom na emigracji — ośmielam się twierdzić, że nic co chińskie nie może być nam obce, ponieważ wszystko co chińskie dotyczy bezpośrednio Rosji a wszystko co rosyjskie, z kolei, dotyczy nas. Chiny są najpotężniejszym sąsiadem Związku Sowieckiego o najdłuższej granicy lądowej, (około 4,500 km. w linii powietrznej).

Jak winniśmy się ustosunkować do konfliktu rosyjsko-chińskiego? Używam terminu „konflikt” — ponieważ spór w przyszłości może ulec złagodzeniu lecz konflikt terytorialny pozostanie. Przypominać o nim będą dysproporcje w gęstości zaludnienia, zwłaszcza pomiędzy Syberią a granicznymi prowincjami chińskimi.

Australijscy żołnierze walczą w Wietnamie w konkretnej sprawie. Australia z 12 milionami mieszkańców jest pustym kontynentem *vis-à-vis* 750 milionowych, przeludnionych Chin.

Wedle cyfr ogłoszonych przez waszyngtońskie „Population Reference Bureau”, ludność świata osiągnęła w połowie 1965 r. cyfrę 3.308 milionów. Azjaci stanowią ponad połowę ludności globu. 100 milionów ludzi znajduje się „na linii głodu”. Większość głodujących tworzą Azjaci.

Ludność Chin oceniana w chwili obecnej na 750 milionów wzrasta o 2% rocznie. Dochód na głowę mieszkańca nie przekracza 100 dolarów rocznie. Japoński znawca Chin, prof. Shigeru Ishikawa, ocenia że w najbliższych dekadach żywność stanowić będzie główny problem Chin. W Królestwie Środka łatwiej jest produkować ludzi niż ryż. W latach 1954-59 Chińczycy importowali 20.000 ton zboża — obecnie importują już 5 milionów ton rocznie.

Na Syberii sytuacja kształtuje się wręcz odwrotnie: jest żywność — nie ma ludzi. Robotników przerzuca się samolotami z jednego kołchozu do drugiego, ponieważ nigdzie nie ma pełnej obsady. Zarówno Van der Post jak i korespondenci amerykańscy, którzy ostatnio zwiedzali Syberię — podkreślają, że główną przyczyną załamania się planu rozbudowy jest brak poczucia bezpieczeństwa. Mimo ułatwień, podwójnych płac i tp. — ludzie nie chcą się osiedlać, bo nie czują się bezpieczni. Gdy pionierzy amerykańscy parli na zachód nie mieli przeciwko sobie 750 milionów Indian. Van der Post pisze, że każda rozmowa na Syberii

— czy to z kołchoźnikiem, czy z członkiem Akademii Nauk kończy się zawsze westchnieniem: „Ach, gdybyśmy mieli więcej ludzi”. Za owym westchnieniem kryje się lęk i niepewność, których nikt nawet nie stara się ukryć.

Rozbudowa i zabezpieczenie Syberii wymagałyby: zmiany systemu, kapitału i ludzi. Gdyby w czasokresie najbliższych 20 lat w Rosji dokonały się zmiany ustrojowe, umożliwiające wyprostowanie stosunków polsko-rosyjskich — wówczas otwarłyby się możliwości nowego rozwiązania problemu syberyjskiego.

Rozbudowa Syberii na wielką nowoczesną skalę przekracza rosyjskie możliwości. W pewnym sensie łatwiej jest o kapitał niż o ludzi. Polska, w przeciwieństwie do Rosji, ma stały nadmiar ludzi. Obecnie w PRL istnieje około 300 tysięcy bezrobotnych. Co najmniej drugie tyle stanowi bezrobocie ukryte (zatrudnia się 5 osób tam, gdzie wystarczyłoby zatrudnić dwie osoby).

Emigracja zarobkowa jest stałym problemem w Polsce. Gdyby w przyszłości warunki polityczne na to pozwoliły — byłoby celowe poprzez emigrację zarobkową odbudować polski stan posiadania na Syberii. Amerykańscy rzeczoznawcy zgodni są w poglądzie, że Syberia jest potencjalnym El Dorado — posiada bowiem niewyczerpane bogactwa naturalne i oczekuje tylko kolonizatorów. Rosjanie nie zatamują naporu mas chińskich, jeżeli nie rozbudują i nie zaludnią tych olbrzymich przestrzeni.

Sowieccy biurokraci w rozmowach z zagranicznymi korespondentami lubią przyrównywać Syberię do amerykańskiego „dzikiego zachodu”, który stał się sukcesem i legendą. Jeżeli Syberia miałaby w przyszłości stać się również sukcesem i legendą — trzeba by na jej obszarze zastosować metody amerykańskie.

Ludność kołchoźnicza nie zapuszcza korzeni. Kolonizatorom na Syberii trzeba by ziemię nadać na własność. Wówczas większość osadników pozostałaby na ziemi z własnej woli, osiedliła się, pobudowała i zapuściła korzenie na zawsze.

Podwójne płace, premie, niskie podatki i td. — podkreślają tylko charakter tymczasowości pobytu na Syberii, jako miejsca dorobku a nie osiedlenia. Każdy student moskiewskiego czy leningradzkiego uniwersytetu, jeżeli przepracuje wakacje letnie na Syberii otrzymuje specjalną metalową odznakę „Budowniczego Dziewiczych Obszarów”. Po trzech miesiącach młody człowiek wraca spokojnie do Moskwy i zdobytą odznaką może legitymować się do końca życia, że spełnił swój obowiązek w stosunku do zagrożonej Syberii. Tak wyglądają klasycznie biurokratyczne metody budowania „legendy” syberyjskiej.

Dziś nikt nie pamięta jaką rolę odegrali Polacy na Syberii w XIX i w początkach XX wieku. Na carską Syberię patrzmy oczami Grottingera a na współczesną Syberię oczami polskich łągierników. A przecież wkład polskich naukowców, inżynierów, pionierów — był bardzo poważny. W Polsce nikt nie pamięta i, co gorsze, nikt nie chce pamiętać o naszych dokonaniach na Syberii. Kto pamięta o Grąbczewskim, którego pamiętniki — całkowicie wyczerpane — winny być wydane w językach polskim i

rosyjskim. Kto pamięta o pracach badawczych Sieroszewskiego (między innymi o Jakutach), które wyróżnione były przez Cesarzskie Towarzystwo Geograficzne. Polacy byli pionierami cywilizacji na Syberii lecz ich rola i dorobek nie doczekały się obiektywnego historycznego opracowania. Turyści z Polski Ludowej, jak D. Horodyński, w reportażach z Syberii przemilczają wstydliwie „polonica”. Jeszcze dziś więcej na ten temat można się dowiedzieć z Rodziewiczówny niż z płodów Putramenta czy Horodyńskiego.

To jest również jeden z klasycznych przykładów gomułkowskiego zakłamywania stosunków polsko-rosyjskich. Teraz, kiedy zagadnienie Syberii staje się jednym z czołowych zadań polityki rosyjskiej — byłby czas przypomnieć Rosjanom nie kubitki i łagry — lecz pozytywny wielostronny wkład tysięcy Polaków w rozbudowę Syberii.

Rosjanie w przyszłości będą potrzebowali kapitałów amerykańskich i wschodnio-europejskich inżynierów, techników i osadników. Tajemnicą sukcesu „dzikiego zachodu” był ciągły napływ nowych emigrantów zza oceanu. Ameryka dysponowała szybko narastającym rezerwuarem sił ludzkich. Niewyczerpanym rezerwuarem sił ludzkich dysponują Chińczycy lecz nie Rosjanie. Bez pomocy z zewnątrz — a w szczególności bez udziału Polski i wschodniej Europy — kwestia syberyjska jest nie do rozwiązania.

Czytelnik zauważy może w tym miejscu, że to wszystko nas nie obchodzi. Znajdą się i tacy Czytelnicy, którzy pomyślą, że utrata Syberii — względnie jej części — osłabiłaby Rosję, a każde osłabienie Rosji z naszego punktu widzenia jest korzystne.

Analizę tych zagadnień musimy zacząć od stwierdzenia, że nie leży w polskim interesie ani porozumienie rosyjsko-niemieckie ani porozumienie rosyjsko-chińskie. Można przyjąć za pewnik, że tak porozumienie Rosji z Niemcami jak i porozumienie Rosji z Chinami — gdyby doszło do skutku — nie wróżyłoby niczego dobrego dla Europy wschodniej.

Mao Tse-tung popiera stanowisko Niemiec sugerując przywrócenie w Europie środkowo-wschodniej sytuacji terytorialnej sprzed 1939 r. Na marginesie warto podkreślić, że Kazimierz Mijał, przywódca podziemnej komunistycznej partii Polski, najwidoczniej nie zna wypowiedzi swego wysokiego protektora w Pekinie. W manifestacie, wydanym przez „Kulturę” (*Schizmy*, Seria „Dokumenty”, Biblioteka „Kultury”, Tom CXXXVI), Mijał zarzuca Gomułce, że ze swym przyjacielem Chruszczowem gotów był prehandlować NRD i polskie ziemie zachodnie. Mijał bije na alarm i przywdziewa zbroję obrońcy Ziemi Odzyskanych. W rzeczywistości żaden pro-chiński komunista nie może bronić granicy na Odrze i Nysie — ponieważ wielki Mao Tse jest zdania, że Wrocław należy się Niemcom a Lwów i Wilno należą się Polsce.

W polskim interesie nie leży sojusz rosyjsko-chiński, lecz przeciwnie wyrównanie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Pe-

kinem. Skłonny jestem przypuszczać, że na dalszą metę polityka Chin pójdzie po tej linii. Oczywiście to są odległe perspektywy. Trzeba pamiętać, że pomiędzy Chinami a Ameryką nie ma sporów terytorialnych ani ideologicznych. Rosjanie Chińczyków nie nawiądują, natomiast Amerykanie odnoszą się do Chińczyków jako do narodu z uznaniem i z wielką sympatią. Przeciwnością ustrojowa nie niesie z sobą ryzyka upakarzających ideologicznych kompromisów. Kierownictwo chińskiej partii komunistycznej, jeżeli kiedyś zechce porozumieć się z Waszyngtonem — nie będzie musiało niczego odwoływać ani przeprowadzać samokrytyki. Przedmiotem negocjacji będzie problem określenia sfer wpływów w Azji a nie ideologia. Porozumienie w tej sprawie otworzyłoby możliwości amerykańskiej pomocy gospodarczej — co dla Chin w danej sytuacji może mieć wręcz kapitalne znaczenie.

Porozumienie z Rosją byłoby niewspółmiernie trudniejsze. Obecne kierownictwo partii komunistycznej w Chinach musiałyby odejść. Nowe kierownictwo musiałyby odciąć się od linii Mao Tse-tunga, przeprowadzić pokorną samokrytykę i uznać ideologiczny prymat Moskwy. Rosjanie pogodzili się z policentryzmem, tzn. z różnymi drogami do socjalizmu — pod warunkiem, że żadna z tych dróg nie jest antysowiecka. W ocenie Moskwy „socjalizm” (komunizm) z definicji marksistowskoleninowskiej nie może być antysowiecki. Innymi słowy nie można być komunistą i równocześnie domagać się kawałka Syberii czy zwrotu wysp Kurylskich. Kwestionowanie „świętości” (określenie „Prawdy”) granic Związku Sowieckiego jest oczywiście szczytem reakcyjności i moralnego upadku.

Z powyższych przyczyn wyrównanie stosunków chińsko-amerykańskich w dalszej przyszłości wydaje się bardziej prawdopodobne niż sowiecko-chińska *entente cordiale*.

Wyrównanie stosunków z Pekinem leży również w żywotnym interesie Ameryki. Amerykański komandor Mathew C. Perry w roku 1853 „otworzył” porty japońskie Shimoda i Hakodate i zawarł traktat gwarantujący przywileje handlowe i morskie dla Ameryki. Czynne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Azji datuje się od 100 lat i Chińczycy muszą się z tym pogodzić. Bez względu na to jak i kiedy zakończy się wojna w Wietnamie — Amerykanie z Azji nie wyjdą.

Chińczycy wcześniej czy później nie unikną wyboru: Moskwa czy Waszyngton? Swą obecną polityką Pekin doprowadził nie tylko do izolacji Chin. W Azji obserwujemy anty-chińską blokadę sowiecko-amerykańską. Z punktu widzenia Pekinu nie jest istotne, że broń sowiecka w Wietnamie użyta jest przeciw Amerykanom. Istotny jest fakt, że pomoc sowiecka udzielana Hanoi odbywa się kosztem likwidacji wpływów chińskich. Artyleria dostarczana przez Sowietów strzela do Amerykanów, lecz politycznie wymierzona jest przeciwko Chinom.

Linia prosta łącząca Irkuck z Hanoi przecina Chiny dokładnie na połowę. Gdyby Rosjanie umocnili swe wpływy w Wietnamie trzymaliby Chiny w kleszczach od północy i południa.

Jeden z licznych paradoksów wojny wietnamskiej polega na tym, że Amerykanie pośrednio ułatwiają Rosjanom umacnianie wpływów sowieckich w Azji — co na pewno nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Waszyngton miałby wybierać pomiędzy Wietnamem pro-chińskim czy pro-sowieckim — należałoby wybrać Wietnam pro-chiński, ponieważ Pekin jest słabszym konkurentem.

Amerykanie winni przyjąć, że ich „koegzystencyjnym” partnerem w Azji są Chiny. Zastępowanie wpływów chińskich sowieckimi — prowadziłoby do katastrofy. Oddalałoby bowiem porozumienie z Pekinem w nieskończoność, przekształcając równocześnie Sowiety w coraz potężniejszego i coraz trudniejszego partnera. Porozumienie z Chinami w Azji w dalszej perspektywie jest nieodzownym warunkiem zmiękczenia polityki Rosji w stosunku do Europy.

Ideałem Moskwy byłoby wykorzystanie konfliktu amerykańsko-chińskiego w celu ugruntowania przewagi wpływów sowieckich w Azji. Oczywiście z punktu widzenia rosyjskiego byłoby najkorzystniej by likwidacja Chin jako mocarstwa azjatyckiego — dokonana została rękami (i na koszt) Amerykanów. Lecz wówczas w Waszyngtonie przekonano by się bardzo szybko, że Rosja jako partner azjatycki jest niepomierne trudniejsza i groźniejsza niż Chiny.

Jak zaznaczyłem na wstępie tego artykułu — walka toczy się nie tyle przeciwko Chinom ile o Chiny. Gdyby jednak w trakcie powyższego procesu doszło do konfliktu zbrojnego i klęski Chin — cały zysk przypadłby Rosjanom a nie Amerykanom. Bo choć Stany Zjednoczone od 100 lat są zaangażowane w Azji nie są *de facto* mocarstwem azjatyckim i nie mają 4.500 kilometrów wspólnej granicy z Chinami. Amerykanie mogą pobić Chińczyków, lecz nie mogą być w stosunku do nich zaborcą. Natomiast Rosja Sowiecka czeka tylko okazji by oderwać od Chin następne 600 tysięcy mil kwadratowych. Gdyby Amerykanie tej okazji dostarczyli — Rosjanie z pewnością wykorzystaliby ową koniunkturę w pełni.

W interesie Stanów Zjednoczonych i całego tzw. wolnego świata leży, by Amerykanie nie pobili Chińczyków lecz porozumieli się z nimi choćby za cenę ofiar. Polskie i wschodnio-europejskie interesy w tej sprawie są całkowicie zbieżne z amerykańskimi.

Juliusz MIEROSZEWSKI

1. *Territorial Claims in the Sino-Soviet Conflict* — Dennis J. Doolin, Stanford University, 1965.
2. *The Dragon versus the Kremlin* — Geoffrey Stern, „The Listener”, September 29th, 1966.
3. *Twentieth Century China* — O. E. Clubb, Columbia University Press, 1964.
4. *Peking and Moscow* — Klaus Mehnert, G. P. Putnam's Sons, New York.
5. *Journey into Russia* — L. Van der Post, The Hogarth Press, London.
6. *The Sino-Soviet Dispute* — G. F. Hudson, R. Lowenthal, R. MacFarquhar, — Frederick A. Praeger, New York.

Zwrócić na adres: INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte, (France)

Zamawiam abonament KULTURY od

- roczny: we Francji F. 50; zagranicą: \$ USA 12 (£. 4.00.00; \$ can. 13, lub równowartość);
- na 6 miesięcy: we Francji F. 26; zagranicą \$ USA 7 (£. 2.02.00; \$ can. 8, lub równowartość).

Nazwisko:

Adres:

Załączam czek na sumę

Podpis:

Przekazuję pocztą sumę

Zmiany adresu prosimy nadsyłać przed końcem każdego miesiąca.

KULTURA

Szkice

Opowiadania

Opinie

Archiwum polityczne

Sprawy krajowe

Najnowsza historia Polski

Kronika angielska

KROPKA NAD „I”

Reżym uczył dziesiątą rocznicę „Października” usunięciem z partii Leszka Kołakowskiego. Ostatnia kropka nad ostatnim „i” została postawiona.

Ilekróć dyskutowałem sprawy krajowe z sympatykami i semi-sympatykami gomułkizmu — tylekróć nieodmiennie jako ostateczny argument padało nazwisko Kołakowskiego. Świetny pisarz i filozof, odważny, nie pokorny, z własnym zdaniem — a przecież członek partii. Partia ma nie tylko Putramentów lecz i Kołakowskich. Miał trudności, ograniczone nakłady książek — to wszystko prawda, lecz był partyjny i dostarczał argumentu swoją obecnością.

Odpowiadałem wówczas moim rozmówcom, że Kołakowski jest najwybitniejszym intelektualistą swojego pokolenia i partia nigdy się go nie pozbędzie — bo któż z ubożuchnego serwisu wyrzuca na śmietnik cenne naczynie?

Wiem od ludzi z Kraju, że nikt nie ma wśród młodych takiej pozycji jak Kołakowski. Dla reżymu usunięcie z partii Kołakowskiego jest ciosem, który wytłumaczyć można tylko wewnętrznym sabotażem. Komuś w KC zależy na ostatecznym skompromitowaniu Gomułki w kołach inteligentnych a przede wszystkim wśród młodych.

Leszek Kołakowski nie wystąpiłby z partii, ponieważ nie wszystkich pociąga obóz rozczarowanych ex-komunistów. Usunięcie z partii takich ludzi jak Kuroń, Modzelewski czy Kołakowski — przesuwają odpowiedzialność na partię co posiada swoją wymowę.

W moim przekonaniu stało się dobrze. Bo nawet gdyby Kołakowskiego zmuszono do milczenia — swoim milczeniem i nieobecnością świadczyć będzie wymownie przeciwko totalizmowi.

Policentryzm jeżeli ma stanowić postęp — nie może oznaczać różnorodnych totalizmów — tylko wyrazić się musi pluralizmem na wewnątrz, a więc udemokratycznieniem ustrojów komunistycznych.

„Na to byśmy się mogli połączyć musimy się wprawdzie podzielić” — powiedział kiedyś Lenin. Usunięcie z partii Kołakowskiego a przed nim Kuroń, Modzelewskiego i innych — stanowi fragment dokonywanego się zasadniczego podziału.

WSTĘP DO DYSKUSJI

Wychowałem się i wzrosłem w epoce kultu narodowej literatury. Wspomniały tytuł „pisarz polski” kojarzył się w owych czasach z nazwiskami wielkich w narodzie: Prus, Sienkiewicz, Żeromski, a później Wierzyński, Tuwim, Lechoń.

Gdy Jalu Kurek — mój ówczesny kolega redakcyjny otrzymał nagrodę młodych za powieść „Grypa Szaleje w Naprawie” — w rozmowie z starym

Ludwikiem Szczepańskim zaryzykowałem uwagę, że Jalu zapowiada się na wielkiego pisarza. Szczepański, b. redaktor krakowskiego „Życia” — uśmiechnął się i powiedział: „jeszcze ani nie wielki ani nie pisarz”. Szczepański bardzo ceniał Jalu lecz tytułu pisarza nie przyznawano w owych latach po tomiku poezji czy po pierwszej powieści.

Jerzy Putrament w swojej biografii „Pół wieku — zagranicą” opisuje z rozbrajającą szczerością jak to się stało, że on, nie znając żadnego obcego języka i nie mając po temu żadnych kwalifikacji został kolejno posłem i ambasadorem. Redagując w trudnych warunkach w Krakowie jakieś obskurne pisemko — Putrament w czasie jednej ze służbowych wizyt w stolicy zauważył, że wysyła się masowo na placówki dyplomatyczne ludzi, którzy mają jeszcze mniej po temu kwalifikacji niż on. Wówczas stuknął się w czoło i pomyślał: „jeżeli taki dureń jak X może być dyplomata — to dlaczego nie ja?”

Na zasadzie identycznej taryfy ulgowej powołano do życia Związek Pisarzy na Obczyźnie. Pisarzy z prawdziwego zdarzenia była garstka. Przyjęto więc nieopatrznie marksistowski pogląd, że ilość przemienia się w jakość. Ci nieliczni, którzy mieli w tej sprawie pewne wątpliwości — rozmawiali podobnie jak Putrament: „jeżeli członkiem Związku Pisarzy jest taki grafoman jak X — to dlaczego nie ja?”

Na emigracji działa również taryfa ulgowa oparta na ograniczonej konkurencji. Weźmy przykład z zakresu mojej specjalności. Publicystów piszących stale jest zaledwie kilku. W rezultacie wszyscy są uważani za „wybitnych”, ponieważ nie mają żadnej konkurencji. Gdyby któregoś dnia emigracyjnych publicystów przewieziono samolotem do wolnej Warszawy — utracilibyśmy natychmiast taryfę ulgową a wraz z nią status wybitności. Okazałoby się, że polskich publicystów nie jest kilku lecz około pół setki. Okazałoby się również, że wybitność zdobyta na emigracji wymaga w większości wypadków „nostryfikacji”.

Podobnie jak większość „ciał” emigracyjnych, Związek Pisarzy jest całkowicie nie reprezentatywny. Najwybitniejsi pisarze na emigracji jak Miłosz czy Gombrowicz do Związku nie należą. W oparciu o indeks nazwisk w drugim tomie „Literatury Polskiej na Obczyźnie” — sporządzić można spis obejmujący około 60 nazwisk autorów, którzy piszą i publikują poza ramami Zw. Pisarzy. Wśród owych 60-ciu nie brak wybitnych piór, których tutaj nie wymieniam z braku miejsca.

W roku 1956 spędziłem popołudnie z grupą pisarzy krajowych którzy przybyli do Londynu. W tym samym okresie odbył się słynny obiad Związku Pisarzy, na który zjawił się niespodziewanie jeden z literatów krajowych. Przewodniczący, Tymon Terlecki, nie tylko nie powitał gościa z kraju lecz nie chciał nikogo dopuścić do głosu. Wreszcie pod sam koniec tej haniebnej imprezy Wit Tarnawski wstał i w kilku serdecznych słowach powitał pisarza krajowego.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że Zw. Pisarzy jest instytucją „zimnowojenną” — nie na skutek zasiłku, którego nie otrzymywał — lecz z własnej woli i pilności. Przekonałem się również, że mimo sloganu, który głosi, że polska literatura jest jedna i niepodzielna — znaczny procent pisarzy emigracyjnych drży na myśl utraty taryfy ulgowej, ponieważ owej taryfie wszystko zawdzięcza.

Od czasu do czasu z wolnej Kanady otrzymuję tomiki poezji wydane

nakładem: „Stowarzyszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka”. Owych poetów nie przesładuje Bezpieka tylko grafomania. Nie należy tych rzeczy mylić, tym bardziej, że Moczar i jego agenci interesują się na emigracji ludźmi utalentowanymi a nie grafomanami.

W gruncie rzeczy sprawa jest niezmiernie prosta. Mur berliński potrzebny jest tym, którzy się boją. Dla tych, którzy się boją — mur nie jest nigdy dość wysoki.

Bardzo wielu członków Zw. Pisarzy nie boi się Bezpieki (która nie wie o ich istnieniu), lecz boi się czegoś całkiem innego. Gdyby polska literatura stała się nagle jedna i niepodzielna — panowie o których mówimy nie mieliby żadnej szansy należenia do polskiej literatury. Mur à la Ulbricht, który przecina polską literaturę jest podstawowym warunkiem ich istnienia.

Do Związku Pisarzy dziś jeszcze należą bardzo wybitni pisarze — wystarczy choćby wymienić Kukiela, Wierzyńskiego, Danilewiczową, Tadeusza Nowakowskiego. Niemniej ci wybitni stanowią mniejszość, ponad której głową zawiązała się „sojusz” pomiędzy „niezłomnymi” a przeciętniakami. Ów osobliwy sojusz postawił sobie za cel podwyższenie „muru” Ulbrichta — wszystko w imię obrony przed ofensywą Moczara. Fakt, że ów mur odcina od Polski skuteczniej niż od Moczara, koalicji „niezłomnych” i przeciętniaków nie martwi — ponieważ ów mur zabezpiecza naszą prawdziwą ojczyznę tzn. Polskę na Obczyźnie z własną literaturą, władzami i orderami.

Tego typu polityka jest sprzeczna z podstawowymi założeniami emigracji politycznej, której głównym celem jest bezpośrednie oddziaływanie na Kraj. Nie możemy emigracji przekształcać w drugie „wschodnie Niemcy” odcięte murem zakazów od kraju i narodu.

„Kultura” od samego początku podchodzi zupełnie inaczej do tych spraw. Uważamy, że nie można domagać się wolności słowa w Polsce — jeżeli na emigracji uprawia się „McCarthyizm”. Nie można zwalczać polityki paszportowej reżymu — jeżeli samemu uprawia się „politykę paszportową”. Nie można zarzucać braku tolerancji innym — jeżeli samemu ciężko grzeszy się na tym polu.

„Kultura” inaczej podchodzi do tych spraw — bo nie my boimy się Moczara. Czego dokonała koalicja „niezłomnych” i przeciętniaków — poza gęganiami na alarm i przybieraniem pozy obrońców Alkazaru?

Ostatni kryzys w Związku Pisarzy, który doprowadził do pośpiesznej zmiany statutu został wywołany faktem, że poeta emigracyjny — chcąc odwiedzić chorą matkę w kraju wziął paszport konsularny. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że nie należy brać paszportów konsularnych. Lecz istnieją sytuacje wyjątkowe. Oczywiście tego typu sytuacje wyjątkowe nie mogą przydarzyć się „obrońcom Alkazaru” — ponieważ panowie ci (w większości) od bardzo dawna mają paszporty brytyjskie. W takiej sytuacji może znaleźć się tylko emigrant, który przez 20 lat nie miał możliwości złożenia przysięgi i przyjęcia obcego obywatelstwa.

Wyrobienie paszportu brytyjskiego trwa kilka a czasem kilkanaście miesięcy. Paszport konsularny można otrzymać natychmiast. Lecz podkreślam jeszcze raz: emigrant nie powinien brać paszportu konsularnego a sytuacje wyjątkowe winny dosłownie stanowić wyjątek potwierdzający regułę. Byłoby jednak krzywdzące dyskwalifikowanie pisarza emigracyjnego tylko dlatego, że ze względów stanowiących „siłę wyższą” raz jeden skorzystał z paszportu konsularnego.

Na Zachodzie jest sporo księży katolickich i zakonników polskich na paszportach PRL. Są wśród nich ludzie, którzy nie są emigrantami i nie identyfikują się z naszymi celami. Bliższy jest im politycznie krakowski „Tygodnik Powszechny” niż paryska „Kultura” czy londyńskie „Wiadomości”. Są jednak również wśród nich ludzie, którzy w słowie, w piśmie i w czynie solidaryzują się w pełni z emigracją polityczną. Czy przed tymi księżmi i zakonnikami należy zamykać drzwi instytucji emigracyjnych tylko dlatego, że nie mają paszportu brytyjskiego czy amerykańskiego?

Natomiast poeta emigracyjny, który odwiedza kraj oficjalnie jako „delegat polonijny” a następnie zamieszcza sprawozdanie ze swej podróży w reżymowym piśmie wydawanym w Anglii — na pewno nie jest emigran-tem politycznym choćby należał do trzystu emigracyjnych instytucji.

Na tych przykładach chciałem wykazać, że nie jest rzeczą możliwą po 20 latach kwalifikowanie emigrantów w oparciu o kryteria formalnoprawne. W każdym poszczególnym wypadku decyduje treść a nie dokument. Jeżeli polski lekarz mieszkający w Anglii odwiedza prywatnie swą rodzinę w Polsce — nie ma w tym nic zdrożnego. Jeżeli jednak polscy dziennikarze zamieszkali w Londynie biorą udział w Kongresie Kultury organizowanym w Warszawie przez PZPR wyłączają się automatycznie ze społeczności emigracyjnej.

Problem polega na tym, że ludzie pióra w obecnym konflikcie nie mogą być neutralni. Instytucje emigracyjne — jak Związek Pisarzy mają prawo domagać się od swych członków zdecydowanego zaangażowania. Nie mają jednak prawa ustanawiać recepty na zaangażowanie. Instytucje emigracyjne nie mają również prawa głosić, że istnieje tylko jedna forma zaangażowania zgodna z politycznym credo emigracyjnego establishmentu.

Identyfikowanie zaangażowania z polityką „Zamku” czy „Rady Trzech” — prowadzi do takich absurdów jak określenie paryskiej „Kultury” na łamach londyńskich „Wiadomości”... „sukursantem propagandy sowieckiej”.

W powyższym zacytowanym absurdzie jest pewna metoda. Większość naszych instytucji i „mężów stanu” nie jest zainteresowana w walce z komunizmem tylko w rozgrywkach emigracyjnych. Z tego punktu widzenia nie jest istotne, że „Kultura” jest zaangażowana — istotne jest tylko, że „Kultura” krytycznie ocenia establishment i dlatego należy ją zwalczać.

To są problemy, których Związek Pisarzy nie umiał rozwiązać.

Fakt, że około 60 pisarzy — w tym najwybitniejsi pisarze emigracyjni — nie należy do Związku dowodzi dobitnie, że instytucja ta, o dużych zasługach w przeszłości nie sprostала swojemu zadaniu.

„Kultura” reprezentuje pogląd, że pisarz emigracyjny nie powinien siedzieć na dwóch stołkach. Najlepiej gdy siedzi na jednym stołku i to na swoim własnym.

SCHIZOFRENIA

Organy ziomkowskie postępują się często śmieszoną argumentacją. „Der Schlesier” przyrównał niedawno Śląsk do Gibraltaru. Anglii w „hiszpańskim” Gibraltarze, to przejaw imperialistycznej polityki kolonialnej. Polacy na Śląsku to również klasyczny przykład polityki kolonialnej.

Czytając tego typu wypowiedzi przyjmujemy za pewnik, że hołdować

im może tylko skrajnie nastrojona, bezkrytyczna mniejszość. Wielu publicystów na emigracji wyraża często pogląd, że Niemcy w gruncie rzeczy pogodzili się w większości z granicą na Odrze i Nysie. Uznanie tej granicy sprzeciwia się tylko rząd w Bonn.

Jak ta sprawa przedstawia się naprawdę? Wydaje mi się, że miarodajni w tej sprawie mogą być tylko sami Niemcy.

W październiku br. ukazał się specjalny numer „Survey” p.n. „Germany: today and tomorrow”. W cytowanym numerze na uwagę zasługuje artykuł pt. „Beyond the Oder-Neisse — a Critique of Bonn's Ostpolitik”. Autor Ekkehart Krippendorff jest profesorem nauk politycznych na wolnym uniwersytecie w Berlinie. Krippendorff jest Niemcem i specjalistą w dziedzinie nauk politycznych — należy więc przyjąć, że zna swój przedmiot i reprezentuje naukowy obiektywizm.

Zacytujmy tytułem wstępu następujący fragment z artykułu „Beyond the Oder-Neisse”: „... Grupy młodzieży (niemieckiej) podróżowały po Polsce. Tymi i podobnymi sposobami ustalono pewne kontakty, które w ramach niemieckiej opinii publicznej dotyczącej wschodniej Europy — przyczyniły się do powstania małego obozu ludzi poinformowanych, nie uprzedzonych, liberalnie myślących. Lecz im owocniejsze wydawały się w tej dziedzinie wysiłki organizacji studenckich, kilku dziennikarzy i duchownych — tym bardziej okazało się oczywiste, że sukces na tym polu ogranicza się do nielicznej mniejszości niezdolnej do wywierania wpływu na oficjalną politykę Bonn”.

Krippendorff pisze, że w sprawie granicy na Odrze i Nysie partie polityczne i „przytaczająca większość przedstawicieli zorganizowanej opinii publicznej” podtrzymują tezę, że Niemcy prawnie istnieją w granicach z 1937 roku.

Znane memorandum Rady Ewangelickich Kościołów „zostało ostro odrzucone przez prasę”. „Żadna z uznanych partii” — cytuję dosłownie — „ani żaden z wybitniejszych polityków nie wystąpił w obronie memorandum. Kilku dziennikarzom i profesorom, którzy pośpieszyli się ze swym poparciem — podpalono domy, pomimo ochrony policyjnej, której im udzieleno”.

Osobiście bardzo chciałbym uwierzyć, że rewizjonizm jest tylko nacjonalistycznym wyskokiem ziomkowskiej propagandy à la „Der Schlesier”. Niestety, obiektywny materiał dowodowy i świadectwa rzeczoznawców niemieckich każą przyjąć pogląd, że choć nie wszyscy Niemcy przyrównują Śląsk do Gibraltaru — przytaczająca większość w sprawie granicy na Odrze i Nysie jest przeciwko nam.

Wschodnia polityka Bonn — według prof. Krippendorffa — opiera się na dwóch założeniach. Niemcy zachodnie stają się ekonomicznie coraz potężniejsze a Bundeswehr staje się coraz bardziej niezależna. Bundeswehr już dawno przestała być instrumentem czysto obronnym. Jej potencjał, zwłaszcza lotniczy — posiada również znaczenie ofensywne. W miarę postępującego rozkładu zachodniego systemu obronnego — pozycja Bundeswehr stale wzrasta.

Drugim założeniem Ostpolitik jest policentryzm. Politycy w Bonn sądzą, że stopniowe usamodzielnianie się państw satelickich umożliwi z czasem wygrywanie jednych państw wschodnio-europejskich przeciwko drugim. Tego typu manewrowanie, przy zastosowaniu selektywnej pomocy gospodarczej,

pozwołoby wyizolować Polskę i uczynić ją skłonnniejszą do kompromisu w sprawie granic.

Prof. Krippendorff słusznie podkreśla, że powyższe plany stanowią kontynuację klasycznej niemieckiej polityki siły.

Socjaliści niemieccy dyskutowali w ubiegłym roku „Plan Marshalla” dla Europy wschodniej. Ów plan polegałby, między innymi, na wykupieniu od Polski ziem zachodnich. Polska otrzymałaby znaczne sumy pieniężne, urządzenia techniczne, długofalową pomoc gospodarczą i td.

Politycy niemieccy liczą również na rozdźwięk polsko-rosyjski. Niemieckie rozumowanie idzie po następujących liniach. Polacy zdają sobie sprawę, że ostateczne uznanie granicy zachodniej zależy bezpośrednio od zjednoczenia Niemiec. Tylko rząd zjednoczonych Niemiec — według tej tezy — byłby uprawniony do zatwierdzenia ewentualnych zmian terytorialnych. Rosjanie nie życzą sobie zjednoczenia Niemiec, istnieje więc sprzeczność (w ocenie Bonn) pomiędzy polskim a rosyjskim podejściem do problemu zjednoczenia.

Podirymując pretensje terytorialne do polskich ziem zachodnich utrwała się stan niepewności na tym obszarze. Ów kryzys na dalszą metę — wnoszą Niemcy — niejako rikoszetem zaważyć musi na stosunkach polsko-rosyjskich.

Obecną Ostpolitik zrozumieć można tylko w kontekście historycznym. W oderwaniu od tła historycznego plany odzyskania polskich ziem zachodnich „na drodze pokojowej” — wydać się muszą naiwną propagandą, obliczoną na „pokrępienie serc” (oczywiście niemieckich).

Przed kilku laty ukazała się w Monachium książka niemieckiego historyka Martina Broszta pt. „200 Jahre Deutsche Polenpolitik”. W książce Broszta można znaleźć zdumiewające podobieństwa i analogie historyczne, które dają wiele do myślenia. Niemieccy mężowie stanu 40 lat temu przemawiali i, co gorsze, myśleli — identycznie jak dziś.

Stresemann przemawiając w Reichstagu w dniu 18 maja 1925 r. powiedział m.in. „Niemcy nie mają ani chęci ani możliwości dokonania rewizji swych granicy wschodnich na drodze siły”.

Równocześnie, zarówno Stresemann jak i cały niemiecki aparat dyplomatyczno-propagandowy podkreślał przy każdej okazji, że granica wschodnia została Niemcom narzucona siłą przy pogwałceniu „prawa do samostanowienia”.

Krippendorff komentując powyższe analogie historyczne zauważa, że podstawą dzisiejszej Ostpolitik jest równie nierealistyczna ocena sytuacji jak w latach 1925-26.

W tym punkcie trudno mi się zgodzić z doskonałym artykułem prof. Krippendorffa. Niemcy w roku 1926 i Niemcy w roku 1966 — mówiąc o „środkach pokojowych” wiedzieli i wiedzą doskonale, że sprawa polskiej granicy zachodniej dla Polaków, bez względu na ich poglądy polityczne — nie jest elementem przetargowym. W kilka lat po Stresemannie przyszedł Hitler i niemieckie żądania terytorialne pod adresem Polski zdetonowały drugą wojnę światową. Niebezpieczeństwo nie leży — jak sądzi Krippendorff — w nierealnej ocenie sytuacji — ani w analogii do lat 1925-26. Źródłem niebezpieczeństwa jest niemiecka schizofrenia. Niemcy jedną połową swej duszy i umysłu potępiają zbrodnie Hitlera, obozy koncentracyjne, masakrę narodu żydowskiego i tp. Równocześnie, drugą połową swej jaźni uważają Hitlera za męża stanu, który dążył do zaspokojenia słusznych żądań

terytorialnych narodu niemieckiego. W konsekwencji potępienie Hitlera nie jest całkowite — nie obejmuje bowiem istotnych fragmentów jego zaborczej polityki. Hitler domagał się Gdańska, a dziś, anty-hitlerowski rząd w Bonn również domaga się Gdańska.

Owa schizofrenia uniemożliwia Niemcom zrozumienie historycznego sensu ich własnej klęski. Historyczny sens owej klęski polega na tym, że 1000-letnia Ostpolitik runęła w gruzy a Niemcy zostali odepchnięci na punkt startu. Na wschodzie Europy zaszły olbrzymie zmiany. Komunizm nie może przystąpić do faktu, że kraje słowiańskie z Rosją na czele — wydołyły się z epoki rolniczej i stały się państwami i narodami przemysłowymi. Ostpolitik w sensie ekspansji terytorialnej jest dziś przeżytkiem i anachronizmem. Na niemiecką ekspansję terytorialną na wschodzie Europy w XX wieku nie ma już po prostu miejsca i warunków. Niemcy również ostatecznie i definitywnie utracili Wrocław jak Polacy utracili Smoleńsk. Jeszcze 100 lat temu Polacy mówili o Polsce w granicach sprzed pierwszego rozbioru. Obawiam się, że upłynie około pół stulecia nim Niemcy zdadzą sobie wreszcie sprawę, że Hitler za aprobatą narodu niemieckiego postawił 10 wieków niemieckiej polityki wschodniej na jedną kartę — i przegrał. Są klęski nieodwracalne — do takich klęsk należały Waterloo i Stalingrad.

MODELE I ANALOGIE

Każdemu z nas od dziecka powtarzają: nie rób tego, nie rób tamtego. Nie leniuchuj, nie bądź łakomy, nie bądź roztrzepany — a później — nie kradnij, nie cudzołóż, nie zabijaj. Nic więc dziwnego, że przez doświadczenie rozumiemy na ogół sumę popełnionych błędów, sumę przekroczonych zakazów.

Doświadczenie historyczne ma również w przeważającej mierze charakter negatywny. Uczymy się na błędach popełnionych w przeszłości. Innymi słowy trzeba znać błędy popełnione w przeszłości, by móc zrozumieć błędy popełniane w teraźniejszości.

Gdzie leży klucz do rozszyfrowania polityki Roosevelta w stosunku do Stalina? W Kronice angielskiej, w numerze lipiec/sierpień zacytowałem z książki Aleksandra Kiereńskiego wypowiedź Harry Hopkinsa, z której wynika, że ówczesny prezydent Ameryki uważał się za największego znawcę Stalina na świecie. Skutki owego „znawstwa”, zwłaszcza dla Polski — były raczej oplakane.

Komu jednak przyszłoby do głowy winić starego „tygrysa” Georges Clemenceau za Jałtę?

A. Schlesinger, jr. sądzi, że obsesyjny stosunek Stanów Zjednoczonych do ONZ jest bezpośrednim następstwem faktu, że Ameryka nie przystąpiła do Ligi Narodów — co w opinii wielu Amerykanów — stanowiło jedną z przyczyn wiodących do wybuchu drugiej wojny światowej.

Prof. E. R. May jest zdania, że źródła ustępliwości Ameryki w stosunku do Sowietów w Jałcie szukać należy w błędach polityki amerykańskiej popełnionych w odniesieniu do Francji Clemenceau. Prof. May pisze: „Roosevelt był gotów dojrzeć (zrozumieć) punkt widzenia Stalina w przeciwieństwie do Wilsona, który nie rozumiał punktu widzenia Clemenceau. Prezydent był zdania, że Rosjanie — w granicach możliwości — winni mieć

gwarancję, których żądają — ponieważ nie należy wtlaczać Rosji w ponurą pozycję Francji Poincaré”.

Schlesinger podpisuje się pod interpretacją prof. May'a i dodaje od siebie: Roosevelt wnioskował, że Rosja Sowiecka żyjąc w ustawicznym zagrożeniu — cenić będzie przede wszystkim bezpieczeństwo — podobnie jak Francja w sytuacji sprzed ćwierć wieku.

Jaki morał należy wyciągnąć z powyżej cytowanych przykładów?

W moim przekonaniu naóg myślenia analogiami historycznymi przyniósł więcej szkód niż korzyści — bo w gruncie rzeczy nie ma prawdziwych analogii historycznych. Roosevelt pragnąc uniknąć błędów Wilsona w stosunku do Clemenceau — popełnił w stosunku do Stalina błąd znacznie większy niż Wilson w odniesieniu do Francji. Analogia historyczna — zresztą wręcz fałszywa — spaczyła rozeznanie Roosevelta. W sumie, wypada stwierdzić, że na ogół ci, którzy w oparciu o analogie historyczne chcą uniknąć dawnych błędów — w rezultacie do starych błędów dodają nowe błędy.

Nie ma analogii w dosłownym tego słowa znaczeniu — ponieważ każda nowa sytuacja historyczna jest w znacznie większej mierze różna (niż podobna) w zestawieniu z poprzednią analogiczną sytuacją. Ponieważ instynktownie dążymy do schematyzmu i katalogowania — uderzają nas przede wszystkim podobieństwa (a nie różnice) bo podobieństwa umożliwiają budowę „modelu”.

„Modelarstwo” historyczne nie jest bynajmniej specjalnością marksistów. I nie tylko marksistowskie „modele” powodowały katastrofy.

NORWID

Kongres Kultury w Warszawie uchwalił sprowadzenie zwłok Norwida do Polski. Natomiast nikt nie uchwalił zbiorowego wydania dzieł poety.

Miriam „odkrył” Norwida i w znacznej mierze zabezpieczył — a J. W. Gomułicki przygotowuje od lat zbiorowe wydanie jego pism.

Sprowadzenie zwłok jest imprezą kosztowną i bezcelową. Norwid spoczywa w zbiorowym grobie więc cała operacja może mieć tylko symboliczny charakter. Czy nie lepiej byłoby kości norwidowskie pozostawić w spokoju a pieniądze przeznaczone na ekshumację obrócić na zbiorowe wydanie jego dzieł?

TAJNY AGENT

Galeria sławnych osobistości związanych w przeszłości z carską „Ochraną” powiększyła się zyskując nową gwiazdę w osobie Józefa Stalina.

Amerykański historyk, dyplomata i sowietolog George Kennan po latach mozolnych poszukiwań zdobył dowody stwierdzające, że Stalin był agentem „Ochrany”. W roku 1906 Stalin, z paszportem dostarczonym przez policję, z ramienia „Ochrany” wziął udział w kongresie partyjnym w Sztokholmie.

Prasa amerykańska doniosła, że Kennan w najbliższym czasie ogłosi książkę w której przedstawi w pełni wyniki swych badań w tej sprawie.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Do Starego Przyjaciela

Prosisz mnie bym napisał Ci co myślę „odnośnie” procesu Siniawskiego i Daniela. „Oдноśnie” — rzadko używam tego określenia i jeśli go teraz stosuję to pod wpływem akademika Winogradowa, przewodniczącego Komisji Ekspertów na tym zdumiewającym procesie.

No, żarty na bok. Treść procesu, przebieg postępowania sądowego, wyrok — to wszystko co sam wiesz z gazet, nie daje podstaw do żartów.

Dziwisz się, że w audycjach zagranicznych za słabo komentowano ten proces, choć niewątpliwie poruszył on cały świat głębiej, szerzej, boleśniej, odpowiedzialniej, niż w okresie okrzykniętej sprawy Pasternaka. To zrozumiałe, bezsensowny wypadek z laureatem Nobla w rzeczywistości nie naruszył zasad społeczeństwa sowieckiego. Ten element moralnego terroru, który był w sprawie Pasternaka (o mało co nie napisałem: procesie Pasternaka) tu przemienił się w terror fizyczny. Rozprawa z pisarzami była jak najbardziej realną, bynajmniej nie alegoryczną czy retoryczną, figurą. Przepraszam, że używam określeń z zakresu literaturoznawstwa ale to jest w tonie i w atmosferze procesu.

Proces Siniawskiego, pierwszy jawny proces polityczny w ustroju sowieckim, kiedy to oskarżeni od początku do końca, od wstępnego śledztwa do ostatniego słowa, nie uważali się za winnych i przyjęli wyrok jak normalni ludzie. Oskarżeni mają po czterdzieści lat — optymalny wariant wieku oskarżonego w procesie politycznym. Pierwszy proces w ciągu przeszło czterdziestu lat. Nic dziwnego, że uwaga całego świata była nań zwrócona. Od czasów sprawy pravicowych eserów, legendarnych już dziś bohaterów rewolucyjnej Rosji, jest to pierwszy polityczny (tego ro-

dzaju) proces. Tylko prawicowi eserzy wychodzili z sali sądowej, nie wzbudzając współczucia, pogardy, przerażenia, zdumienia...

I Ty i ja pamiętamy bezgranicznie obrzydliwe „kajania się”, „dowody”, „spowiedzi” bohaterów procesów lat trzydziestych, procesów tajemniczych, których sama technika jest nieujawniona społeczeństwu. A przecież to nie groteska, nie naukowa fantastyka. Tajemnica, którą wszyscy znają, której państwo nie chce ujawnić w kolejnym, kajającym się oświadczeniu. Bowiem deklaracje skruchy składane są nie tylko przez jednostki, ale również na szczeblu państwa. XX i XXII Zjazdy partii były takimi pokajaniem się, wymuszonymi co prawda, ale niemniej pokajaniem.

Przysłowiowych „przyznań się” w tym procesie nie ma. To pierwszy proces bez tej zbrodniczej „specyfiki”, którą oddychał w okresie stalinowskim nie tylko każdy sąd, ale każda instytucja, każde zbiorowe mieszkanie. Gdyby to było dwadzieścia lat temu, Siniawskiego i Daniela zastrzeliliby w pierwszej lepszej piwnicy KGB, albo byliby poddani śledczemu „konwojerowi”, gdzie śledczy zmieniają się, a oskarżony stoi wiele godzin, wiele dni, dopóki jego wola nie zostanie złamana, psychika zduszona. Albo zastosowaliby serum niszczące wolę, jak w strasznych jawnych procesach lat trzydziestych. Albo jeśli nie przygotowują jawnego procesu to zabijają wprost na korytarzu... I więzanka karnych paragrafów byłaby zupełnie inna: 58 paragraf, zdrada ojczyzny, szkodnictwo, terror, sabotaż.

Dlaczego tych właśnie paragrafów „nie przyszywają” w tym nowym procesie? Nie, jednak jest postęp, czasy się zmieniają. Należy przy tym pamiętać, że Siniawski i Daniel napisali pierwsze utwory w 1956 roku, zaraz po XX Zjeździe Partii. Siniawski i Daniel uwierzyli prawdzie, która dopiero co była powiedziana. Uwierzyli i zaczęli ją umacniać, gdyż z płaszczyzny XX i XXII Zjazdów partii opowiadania Siniawskiego i Daniela nie mogą być potępione nawet z punktu widzenia „socjalistycznego realizmu” (co doskonale zrozumieli Aragon i szereg zachodnich komunistów).

Należy pamiętać, że Siniawski i Daniel pierwsi podejmują walkę po 50 prawie latach milczenia. Ich przykład jest wielki, ich bohaterstwo niewątpliwe. Siniawski i Daniel wyłamali się z ohydnej tradycji „pokajań” i „przyznawań się”. Jak potrafili to zrobić? Jak — nie wiedząc o poparciu Zachodu dla ich sprawy potrafili w najlepszy sposób przebrnąć przez proces?

Przypomnę Ci początek procesu. Po ogłoszeniu składu sądu i innych formalności z wyjątkiem nazwisk ekspertów, których z niewiadomych powodów nigdzie nie podano, jak gdyby eksperci zrobili coś haniebnego, wstydliwego, złego, zgodziwszy się brać udział w podobnym „sądzie” i prosili, by zataić ich na-

zwiska, tak jak trzyma się w tajemnicy nazwiska łapsów i donosicieli — tego rodzaju prawne precedensy z całą pewnością istniały — obrona postawiła wniosek aby włączyć do sprawy oświadczenia historyka literatury W. W. Iwanowa, pisarza K. G. Paustowskiego i L. Z. Kopielewa. I Iwanow i Paustowski i Kopielew opracowali literacką analizę utworów Terca-Siniawskiego i Arzaka-Daniela. Zauważmy tu, że Iwanow, lingwista o światowym nazwisku, to ten sam człowiek który prosił sąd by pozwolono mu wziąć udział w procesie w charakterze obrońcy. Przecież są społeczni oskarżyciele — nawet dwóch (Z. Kiedryna i A. Wasiliew — bardziej poważnych figur nie znaleziono w literackim świecie). W myśl prawa obrońcą może być każdy. Jak widzimy na przykładzie procesów chuliganów, złodziei, mętów — tam mogą stawać obrońcy społeczni.

Sąd odrzucił prośbę Iwanowa.

Sąd odmówił dołączenia do sprawy oświadczeń W. W. Iwanowa, K. G. Paustowskiego i L. Z. Kopielewa.

Atmosfera zaczęła się zagęszczać.

Obrona zwróciła się do Sądu z wnioskiem, by rozpocząć postępowanie od przesłuchania Siniawskiego, licząc że Siniawski potrafi nadać ton procesowi.

Sąd odrzucił wniosek obrony.

Proces się zaczął.

Sąd się jednak omylił. W osobie Daniela Sąd natknął się na człowieka bardzo doświadczonego i przeświadczonego w swej słuszności.

Daniel zaczął od odwołania jednego ze swych zeznań, złożonych we wstępnym śledztwie. Daniel powiedział wtedy, że wręczył swoją powieść Siniawskiemu a obecnie przypomniał sobie — było to przecież wiele lat temu — że powieść przekazał w mieszkaniu Siniawskiego, ale nie w jego obecności.

Niech żyje sprawiedliwość. I proces się rozpoczął.

Siniawski i Daniel potrafili utrzymać proces w granicach literaturoznawstwa, w gąszczu groteski i naukowej fantastyki, nie przyznając się do końca do antysowieckiej działalności, domagając się szacunku dla wolności twórczej, dla wolności sumienia. Na tym polega zasadniczość tego procesu. Siniawski i Daniel zachowywali się odważnie, twardo a jednocześnie bardzo ostrożnie, mówiąc zdania bardzo przemyślane i nie pozwalając aby zaplątano ich w sieci zarzucane nie tyle przez prokuratora, a przez Przewodniczącego Sądu. A przecież nie było nic prostszego jak przygotować i wygłosić polityczną mowę, że już od dziecka nie nawidził, występuję jak wojownik, odkryty, zdemaskowany, umieram (wariant: proszę ojczyzną władzę o przebaczenie).

Byłoby to bardzo proste a jednocześnie najbardziej szkodliwe. Taka pozycja byłaby zwycięstwem prokuratora i sądu. Kraj powróciłby do sytuacji nie do wytrzymania kiedy to autorowi znanego wierszyka o „bożym ptaszku” należałby się obóz koncentracyjny jako szkodliwemu pasożytowi. Za „ptaszka bożego” zaczęliby sądzić, dopatrując się w nim aluzji do ustroju państwa, i licząc się z tekstem „bożego ptaszka” jedynie jako z retoryczną, wrogą poezją.

Siniawski i Daniel nie wpadli w tę pułapkę.

W rzeczywistości dlaczego antysowieccy są Siniawski i Daniel a nie prokurator, który odpowiadając na pytanie Siniawskiego ogłosił że nie wydrukowałby w kraju utworów oskarżonych. Kto tu wyrządza większą szkodę Rosji?

Siniawski i Daniel nie przyznawali się do działalności antysowieckiej. Tego by brakowało. Takie utwory mogą przynieść tylko korzyść.

Pomyśl, stary towarzyszu. W odwadze Siniawskiego i Daniela, w ich szlachetności, w ich zwycięstwie, jest kropla Twojej i mojej krwi, naszych cierpień, naszej walki z upokorzeniami, kłamstwem, z mordercami i zdrajcami wszystkich maści. Bo co to jest oszczerstwo? Ty i ja, obaj znamy stalinowskie czasy, obozy zagłady, niebываłe, ponadhitlerowskiej skali, Oświęcim bez pieców, gdzie zginęły miliony ludzi. Znamy rozkład, krwawy rozkład władzy która, pokajawszy się, do tej pory nie chce powiedzieć prawdy, choćby o sprawie Kirowa. Do kiedy! Czy może być w prawdzie przeszłości naszego życia granica, linia poza którą zaczyna się oszczerstwo?

Twierdząc, że takiej granicy nie ma, twierdząc, że nie można zastosować do stalinowskiego okresu pojęcia oszczerstwa. Umysł ludzki nie jest w stanie wyobrazić sobie tych zbrodni, które się dokonywało.

Lepiej więc, aby sąd trzymał się ram czysto literackiej dyskusji, jak to zaproponował Siniawski. Sądowi będzie wygodniej prowadzić rozmowy o słowie, o słowie autorskim, o grotesce, o naukowej fantastyce. Po prostu wygodniej.

Osobiście nie jestem zwolennikiem satyry i satyrycznych kierunków w literaturze, choć uznaję ich znaczenie, rolę, możliwości. Wydaje mi się, że nam, Tobie i mnie, doświadczenie całkowicie uniemożliwia posługiwanie się groteską czy fantastyką. No, ale ani Siniawski ani Daniel nie widzieli tych rzek krwi, które my widzieliśmy. Oni obaj, ma się rozumieć, mogą korzystać z formy groteski i fantastyki.

Czyż opowiadanie Arzaka-Daniela „Mówi Moskwa”, z jego wyjątkowo udanym gogolowskim tematem „Dnia jawnych zabójstw” nie mogłoby być postawione na płaszczyźnie ściśle rea-

listycznej obok stenogramów XXII Zjazdu, razem z tym co tam opowiedziano, To już nie „dzień jawnych zabójstw”, a „dwadzieścia lat jawnych zabójstw”.

Nie, lepiej już trzymać się ram czysto literackiej dyskusji. Jednak przewodniczący Sądu, L. Smirnow, najwyższy funkcjonariusz sądowy Związku Sowieckiego (z tego jednego można ocenić jaką pozycję obronną zajęły władze już od początku procesu) wolał wybrać drugi wariant: osądzić za kontrewolucyjną agitację i propagandę, i „pójść na całego”, na ile tylko pozwalał zastosowany paragraf: Siniawski — 7 lat, Daniel — 5 lat.

Dlaczego ten proces został zaszczycony udziałem przewodniczącego Najwyższego Sądu?

Przede wszystkim dla symulowania demokracji. Ponadto Smirnow miał dać przykład podejścia do tego rodzaju spraw w przyszłości, dać „wzorzec”, by nie powtórzyły się błędy Sawieljewej, sądzącej Brodskiego w Leningradzie. Jesliby na sprawie Siniawskiego była Sawieljewa, ona by już zahukała podsądnych: nie pozwoliłaby im powiedzieć ani słowa. Smirnow był odkomenderowany, by symulować demokrację, chwyt tej samej kategorii co nieoczekiwany wyskok Tarsisa, który przed samym procesem przepłynął kanał La Manche.

Rachunek na unik Tarsisa zawiódł: niech on osądzi Siniawskiego. A przy tym paranoik, beztalencie.

Nawiasem mówiąc argumentacja przy pomocy zaświadczenia Zakładu Psychoneurologicznego wobec Tarsisa czy Jesienina-Wolpina nieprzekonywująca, jeśli przypomnieć sobie Czaadajewa.

Trzeba było Tarsisowi odebrać obywatelstwo na podstawie tej samej ustawy z 1938 r., która wprowadziła karę śmierci dla krewnych osób skazanych z paragrafu „zdrady ojczyzny”. Ustawa była uchwalona w chwili, gdy z wojennego okrętu (zdaje się „Sowiecka Ukraina”) w Kłajpedzie zszedł na ląd marynarz. Rzeki krwi przelano po uchwaleniu tej ustawy.

Wybacz mi dygresję o Tarsisie. Wracam do Siniawskiego.

Ten proces, prowadzony, jak zapewnia prasa, „z zachowaniem wszystkich proceduralnych norm”, w rzeczywistości był jaskrawym naruszeniem tychże norm. Jeśli dla wytłumaczenia bezlitosnego wyroku „Prawda” (22 lutego) musi nawiązywać do wypowiedzi Lenina z początków rewolucji, to to już jest fałszerstwem. Zmienia się cały świat, nie ulegają zmianie jedynie dogmaty sowieckiego prawa, obliczone kiedyś na krótki okres czasu.

Smirnow prowadził proces jako symulację demokracji nie tylko dla Zachodu. Dla wszystkich jego licznych pomocników, na całym ogromnym terytorium Związku Sowieckiego, proces był szkolnym zadaniem, szkolnym seminarium, praktycznym zajęciem przy zdawaniu egzaminów dla niższych funkcjonariuszy wymiaru

sprawiedliwości. Tematem egzaminu było: jak udawać demokrację. No, ale konieczność symulacji jest też charakterystyczna: okazała się koniecznością.

Siniawski i Daniel zostali skazani jedynie za fakt, iż są pisarzami. Za nic innego. Nie wolno bowiem skazywać za oszczerstwo czy antysowiecką propagandę człowieka, który widział czasy stalinowskie i je opisywał.

Niemniej klasycznie brzmiało oskarżenie Siniawskiego (wygłoszone z naciskiem przez Kiedryną i przeniesione ze szpalt gazety na salę sądową) o antysemityzm. Ni mniej ni więcej. No, zapach tego oskarżenia był tak nieprzyjemny, że Smirnow dał polecenie by nie włączano go do protokołu. Motyw dobrze znany. W tym czasie kiedy stale wybijano stalinowski cytat z 30-tych lat o antysemityzmie jako najgorszej formie nacjonalizmu, służusy Stalina mordowali Michoelsa. I jeszcze jedno: śledztwo w tym procesie wywołało nie tylko głuchy ale i jawny protest — niebawem od 1927 roku zjawisko: demonstrację przy pomniku Puszkina, 5 grudnia 1965 r., w której brali udział studenci i wykładowcy.

Słowem Sąd nie dał odpowiedzi co do winy Siniawskiego i Daniela. Przyznanie się oskarżonych jest zbyt ważnym elementem w sowieckim wymiarze sprawiedliwości. Bez niego jakoś nie plecie się triumfalnych wieńców dla członków sądu, prokuratora czy społecznych oskarżycieli.

Przeciwnie — to Siniawski i Daniel wypisali swe nazwiska złotymi zgłoskami w dziele walki o wolność sumienia, wolność tworzenia, za wolność jednostki. Wpisali na wieczne czasy.

A propos złotych liter. Społeczny oskarżyciel patetycznie przypomniał 73 pisarzy, którzy zginęli na wojnie, na froncie, których nazwiska wyryte są na marmurowej tablicy w Domu Literatów. W imieniu poległych oskarżał on Siniawskiego i Daniela.

Gdyby na tym procesie pozwolono wystąpić społecznemu obrońcy ten mógłby bronić Siniawskiego i Daniela w imieniu pisarzy zamęczonych, zabitych, rozstrzelanych, zmarłych z głodu i chłodu w stalinowskich obozach zagłady. To — Pilniak, Gumilew, Mandelsztam, Babel, Woronskij, Tabidze, Jaszwiłi — setki nazwisk zamkniętych w tym ponurym martyrologu. Te trupy, te ofiary czasu, które mogłyby okryć sławą literaturę każdego kraju, podnoszą głos w obronie Siniawskiego i Daniela!

W myśl uchwały XXII Zjazdu Partii wszystkim ofiarom stalinowskiego terroru obiecano pośmiertną rehabilitację i napis na obelisku. Gdzie ten obelisk? Gdzie marmurowa tablica w Domu Pisarza, na której złotymi literami byłyby wyryte nazwiska tych, którzy zginęli w okresie stalinowskim. Tych nazwisk jest trzy-czterokrotnie więcej niż na marmurowej tablicy, o której wspominał społeczny oskarżyciel.

Wniosek. Sprawa Sinawskiego i Daniela to pierwszy sowiecki jawny proces polityczny, w którym oskarżeni z 58 paragrafu nie przyznali się do winy.

Siniawski i Daniel trzymali się dobrze i widocznie ta osławiona farmakologia, przy której pomocy przygotowywano procesy lat trzydziestych a także osławiony „konwejer” i stójka, które odgrywały tak wybitną rolę w praktyce jurystycznej, tu nie były stosowane. Siniawski i Daniel nie ukrywali swego autorstwa, oni tylko odrzucali i rozbijali oskarżenia nie dotyczące literackiej treści sprawy. Ani „serum prawdy” ani „konwejer” nie były stosowane w tym procesie. I od razu stało się jasne, że w Związku sowieckim są ludzie, którzy mogą bronić swej prawdy i odważnie przyjąć niesprawiedliwy wyrok. Zarówno wola jak i psychika tych ludzi nie jest zdławiona.

Tu sędzono pisarzy, i swój pisarski tytuł Siniawski i Daniel obronili z honorem.

I jeszcze jeden ważny szczegół ujawnił ten proces. Siniawski i Daniel nikogo nie wplątywali, nie wciągali swych znajomych w kołowrót śledztwa. Brak nieludzkich metod poniżania ludzkiej psychiki sprawił, że byli oni zdolni do walki i że zwyciężyli.

Jeszcze kilka uwag. Pierwszy z obecnych (tę godność tak nazywano w klasycznej literaturze) — L. Smirnow odważnie przebił się przez gąszcz literaturoznawstwa. Udało mu się uzupełnić swoje wykształcenie szeregiem specjalnych terminów, wzbogacić swój bagaż pojęciami: poglądy autora, słowa bohatera powieści, kanonami groteski, satyry. Mogło się zdawać że L. Smirnow powinien być zrozumieć, że literatura nie jest taką prostą sprawą, że nawet literaturoznawstwo nie jest proste a termin romantyzm znacznie się różni od teorii sądowych dowodów. Dlaczego do budowy kanału wzywa się inżyniera, a w sprawach literackich nie potrzebne są specjalne studia, żadna kwalifikowana ekspertyza? Dlaczego o powieści może sądzić — i nie tylko sądzić ale i osądzić — każdy człowiek, w dosłownym, fizycznym tego słowa znaczeniu, a do budowy kanału to nie wystarcza. Dlaczego? Eksperci literaccy, na czele z akademikiem Winogradowem, byli potrzebni Smirnowowi jedynie dlatego, by ustalić, że Siniawski to Terc, a Daniel to Arzak. Ustalić formalnie to, czego żaden z oskarżonych nie wypierał się. Nawiasem mówiąc z jakiego powodu ta anonimowość? Skład sądu jest znany. Nazwiska oskarżycieli społecznych również są znane, jedynie nazwiska ekspertów zostały zatajone przed opinią. Cóż za dziewicza skromność, tak nie na miejscu! Może ekspertom było wstyd brać udział w tej sądowej komedii i zastrzegli sobie anonimowość? Anonimowość współudziału. Na wszelki wypadek oto nazwiska ekspertów: akademik Winogradow — przewodniczący, Prochorow,

Dymyszyc, Kostomarow i inni. W aktach sprawy obciążające świadectwa: S. Wiecztomowa, A. Barto, B. Suczkowa, akademika Judina.

L. Smirnow nie wykorzystał jednej znakomitej okazji — mógł zwalić wszystko na ekspertów i zachować swoje dobre nazwisko w opinii międzynarodowej organizacji prawników, która obecnie wyklina swego wice-przewodniczącego za sądową kompromitację. A przecież wystarczyłoby tylko żeby sąd postawił ekspertom następujące pytania: 1) Czy forma groteski może zawierać w sobie oszczerstwo państwa (przykłady jawnych procesów sądowych), 2) Czy rodzaj naukowej fantastyki może zawierać oszczerstwo ustroju państwowego (przykłady jawnych procesów sądowych).

Otrzymawszy od ekspertów odpowiedzi na te pytania sąd zrzuciłby z siebie moralną odpowiedzialność, a akademik Winogradow z pomocnikami musiałby niewolniczo wziąć na siebie całe odium społeczeństwa w wypadku odpowiedzi twierdzącej, albo odpowiedzieć negatywnie i podeprzeć postępowanie Siniawskiego i Daniela.

L. Smirnow uznał, że obie odpowiedzi będą niewygodne. Już samo zwrócenie się do ekspertyzy literackiej byłoby zwycięstwem Siniawskiego, a więc nie postawił tych pytań anonimowym ekspertom. A możliwe również, że przewodniczącemu sądu nawet nie przyszło do głowy, by wykorzystać w ten sposób ekspertyzę.

„Prawda” pisze z oburzeniem, że prasa zachodnia porównywała Siniawskiego i Daniela z Dostojewskim i Gogolem. To nie zachodnia prasa, ale sowiecki literaturoznawca Zoja Kiedryna w artykule ogłoszonym w „Literaturnoj Gaziecie”, jeszcze przed procesem, analizując „Lubimowa” Siniawskiego i „Mówi Moskwa” Daniela, stwierdziła, że to jest sam rodzaj pisarstwa, lecz że mimo wszystko Siniawski i Daniel nie umywają się do Kafki, Dostojewskiego i Gogola. Taki jest wniosek ze wspomnianego artykułu. Tam też z talentem przedstawia się tematykę „Mówi Moskwa” i czytelnik mimo woli myśli, że jeśli do Gogola Daniel nie dorasta, to jednak niewiele, naprawdę niewiele mu brakuje.

Powodzenie fantastycznej tematyki na całym świecie, specjalnie wzbudza zainteresowanie pracami Siniawskiego i Daniela. Okazuje się jednak, że fantastyką u nas nie należy się posługiwać. Co by było, gdyby Ray Bradbury żył w Związku Sowieckim? i na ile lat zostałby skazany: siedem? pięć? z zesłaniem czy bez?

Każdy pisarz chce być drukowany. Czyż sąd nie może zrozumieć, że możliwość drukowania potrzebna jest pisarzowi jak powietrze.

Ilu już zmarło tych, których nie pozwolono drukować? Gdzie „Doktor Żiwago” Pasternaka? Gdzie Płatonow? Gdzie Bułhakow? Bułhakowa opublikowano zaledwie w połowie, a Płatono-

wa tylko jedną czwartą z tego co napisał. A przecież to są najlepsi pisarze rosyjscy. Normalnie wystarczyłoby umrzeć, żeby coś tam wydrukowano. No, ale Mandelsztamowi i tego los odmówił.

Jak można oskarżać pisarza za to, że chce być drukowany?

A jeśli w tym celu potrzebne są pseudonimy, to niech będą pseudonimy. Nie ma w tym nic gorszego.

Nie, Daniel i Siniawski to nie dwulicowcy, a bojownicy za wolność tworzenia, za wolność słowa. Oskarżenie ich o dwulicowość jest właśnie najczystsza dwulicowością, dwulicowością najgorszego rodzaju. Nikt nie ma prawa nazwać dwulicowym człowiekiem, który siedzi w więzieniu.

W tym procesie, o z góry wiadomym wyniku, jest jedna ciekawa okoliczność: Siniawskiego i Daniela oskarżono tylko z jednego paragrafu kodeksu karnego, to jest za „przechowywanie, przygotowanie, rozpowszechnianie”, za to, co przedtem nazywało się „kontrewolucyjną propagandą”, albo paragrafem 58 p. I. Siniawskiego i Daniela nie oskarżono z p. II (organizacja), chociaż nic nie stało na przeszkodzie, aby znakomicie upiększyć akt oskarżenia.

Anonimowość zwraca uwagę na siebie nie tylko jeśli idzie o skład ekspertów. List Sekretariatu Związku Pisarzy ZSSR, napisany w niegodnym i obrażającym tonie, był wysłany do „Literaturnej Gaziety” bez podania nazwisk sekretarzy tego Związku. Cóż to za kamuflaż? Chciałoby się wiedzieć do kogo ten ton należy. Na wszelki wypadek podaję skład Sekretariatu Związku Pisarzy ZSSR: Fedin, Tichonow, Simonow, Woronkow, Smirnow W., Sobolew, Michałkow, Surkow.

Redakcyjny artykuł „Prawdy” cofa nas do najgorszych czasów stalinizmu. Cały ton tego artykułu, cała argumentacja podparta cytacjami z Lenina, wytartymi już od zbyt częstego używania, to rzeczywiście stalinowskie lata — o Kautskim, o kapitalistycznej demokracji, o demokracji proletariackiej kultury — jednym słowem cała sofistyką, znana nam doskonale przez 40 lat, której praktyczne zastosowanie jest tak żywe w naszej pamięci.

Od sądu nie oczekiwano „liberalnego podejścia”, a jedynie tego, by sąd odszedł od krwawych rozpraw, od stosowania terroru.

Cytat z Gorkiego będzie tu jak najbardziej na miejscu: Gorki zostawił haniebny ślad w historii Rosji lat trzydziestych swoim ludożerczym sloganem: „Jeśli wróg się nie poddaje — należy go zniszczyć”. Morze ludzkiej krwi przelano na ziemi sowieckiej, a Gorki rozgrzeszył masowe zabójstwa.

Spółczeństwo sowieckie po wyroku na Siniawskiego i Daniela znowu jest zagrożone terrorem i prześladowaniami.

Rząd sowiecki zrobił bardzo niewiele dla zbliżenia Wschodu

z Zachodem. Tego rodzaju posunięcia jak proces Siniawskiego i Daniela mogą tylko zniszczyć istniejącą więź.

Wydaje mi się, że jesteśmy chorzy na bardzo starą chorobę, o której tak przekonywująco pisał Piotr Dołgorukij przeszło sto lat temu: „wielu z naszych współczesnych twierdzi: 'nie należy mówić ludziomci prawdy o Rosji, należy ukrywać przed nim rany ojczyzny' — te słowa w naszym przekonaniu są całkowicie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, z osobistą godnością i oświeconym patriotyzmem. Nie mówiąc już o głębokim obrzydzeniu, jakie każde kłamstwo wzbudza w uczciwym i szlachetnym człowieku. Należy posiadać niezmiernie zasoby zarożumiałstwa, aby wyobrazić sobie, że można wszystkich oszukać. Ludzie, którzy chcą ukrywać wrzody są podobni do ciężko chorych, którzy wolą cierpieć, czy nawet umrzeć, niż wezwać na pomoc dobrego lekarza, który by ich wyleczył i przywrócił im nowe siły. Takim lekarzem dla Rosji jest jawność”.

(Przekład z rosyjskiego)

OBYWATEL SOWIECKI STAREGO POKOLENIA

Powyższy list, który otrzymaliśmy z ZSSR z prośbą o wydrukowanie, jest charakterystyczny dla fali oburzenia jakie wywołało w Rosji skazanie Siniawskiego i Daniela.

Wybór listów i deklaracji protestacyjnych wraz z 2-ą częścią Stenogramu z procesu ukaże się w niedługim czasie w „Bibliotece 'Kultury'”.

Przegląd niemiecki

W ostatnich dniach października rb. nastąpił od dawna przewidywany rozłam koalicji rządzącej Niemiecką Republiką Federalną. Czterech ministrów Wolnej Demokracji (FDP) opuściło gabinet Erharda. Powód formalny — opozycja przeciw projektowi załatwienia luki budżetowej podwyżką podatków. Przyczyn faktycznych — długa lista:

- koniunkturalna taktyka małej partii, niepewnej jutra;
- wewnętrzne fermenty Chadeccji, ponoszącej główną odpowiedzialność za powojenne rządy, przy jednoczesnej konsolidacji i unowocześnianiu się Socjalistów;
- osoba starzejącego się Kanclerza, wyraźnie tracącego młodzieńczy wigor, trafiającą ocenę sytuacji, oraz popularność we własnej partii;

— piętrzące się przed rządem trudne decyzje, w które powojenna polityka Niemiec w wielu wypadkach sama się uwikłała;

— stale wzrastająca ilość polityków i naukowców odstępujących od idei jednolitego państwa niemieckiego, a dążących do utrzymania wspólnoty kulturalnej wszystkich Niemców. Poza tym kilka pomniejszych przyczyn.

Frona Wolnych Demokratów wytworzyła w Bonn sytuację polityczną o pięciu dających się przewidzieć rozwiązaniach: 1) Dalsze urzędowanie Erharda mimo braku większości parlamentarnej. 2) Powrót do koalicji z Wolnymi Demokratami. 3) Utworzenie tzw. wielkiej koalicji Chadeków z Socjalistami. 4) Koalicja Socjalistów z Wolnymi Demokratami. 5) Rozwiązanie obecnego Bundestagu i nowe wybory.

Pierwsze z tych rozwiązań, zgodnie z konstytucją, mogłoby teoretycznie trwać do końca obecnej legislatury, czyli do września 1969 r. W praktyce prowadziłyby ono do rozkładu Chadeccji, czemu nie zdołałyby zapobiec nawet tak wytrwały polityki i taktyk jak minister Seebomh, podobno poważnie przewidywany w takim wypadku na stanowisko wice-Kanclerza.

Drugie i trzecie rozwiązanie przy kanclerstwie prof. Erharda jest wyłącznie teoretyczną spekulacją, a przy innym chadeckim kanclerzu — mało prawdopodobną możliwością. Rozwiązanie czwarte, współrzędy Socjalistów z Wolnymi Demokratami, są trudne do ułożenia, ale nie niemożliwe. Wybory do parlamentu krajowego w Hesji, w których Socjaliści wzmocnili swój stan posiadania, a FDP straciła ok 2% głosów (poprzednio 11, obecnie 10 mandatów), a Chadeccja ponad 2% głosów (poprzednio 28, obecnie 26 mandatów) mogą skłonić Wolnych Demokratów do nawiązania za wszelką cenę współpracy z Socjalistami.

Piętemu rozwiązaniu sprzeciwiać się będą wszelkimi sposobami wszystkie ugrupowania Chadeccji, gdyż, według zgodnej na ogół opinii, rozpisane obecnie nowe wybory przyniosłyby im niechybną klęskę. Dlatego wyznaczone na 20 listopada wybory krajowe w Bawarii będą miały decydujący wpływ na dalszy przebieg kryzysu rządowego i dlatego też nie należy spodziewać się politycznych zmian w Bonn przed ustaleniem wyników wyborów w Bawarii.

Wybory do parlamentów krajowych mają dla przemian politycznych w Bonn pierwszorzędne znaczenie. Obecny kryzys rządowy — pomijając głębsze jego przyczyny — rozpoczął się właściwie wiosną rb. po wyborach parlamentu najliczniejszego i najbogatszego kraju federalnego, Północnej Nadrenii-Westfalii (Zagłębie Ruhry, Kolonia i Bonn, stolica w Duesseldorfie). Socjaliści powiększyli tam swe wpływy do 99 mandatów (ogólna ilość 200). Na razie rządzi w Duesseldorfie koalicja Chadeków z FDP, posiadająca łącznie 101 mandatów. Ale po rozłamie w Bonn przejęcie przez Socjalistów rządów w Westfalii wydaje się nieuniknione w niedalekiej przyszłości. Będzie to miało poważny wpływ na układ sił w Radzie Federalnej.

Tu krótka dygresja: Rada Federalna (Bundesrat) jest odpowiednikiem senatu. Artykuł 50 konstytucji głosi: „Przez Radę Federalną poszczególne kraje współdziałają w prawodawstwie i rządach Federacji”. Każdy kraj posiada w Radzie co najmniej trzy głosy; kraje o ludności powyżej dwóch milionów mają cztery głosy, a kraje o ludności powyżej sześciu milionów (Westfalia) — pięć głosów.

Wybory w Hesji z 6. 11. 66, nie powodując istotnych zmian lokalnych,

ujawniły jednak kilka symptomów, które nie mogą pozostać bez wpływu na ogólną politykę Niemiec:

— Spadek głosów oddanych na Chadecję i Wolnych demokratów jest wyraźną dezaprobatą rządu i polityki w Bonn.

— Głośna w pięćdziesiątych latach partia uchodźców i wysiedleńców, blok GDB/BHE, nie uzyskała ani jednego mandatu. Miała ich sześć. Hesja była ostatnim krajem federalnym, gdzie GDB/BHE miał posłów w parlamencie. Po wczorajszych wyborach należy uznać historię tej partii jako ostatecznie skończoną.

— Skrajni nacjonałiści, osławiona Nationaldemokratische Partei Deutschlands (NPD) zdobyła 7,9% głosów i wprowadzi ośmiu posłów do parlamentu heskiego. Nie zmienia to w niczym polityki rządu Hesji, kierowanej od piętnastu lat przez wytrawnego polityka i gospodarza, jakim jest premier Georg August Zinn. Ale sukces groźnego dla Niemiec nowotworu NPD jest dla polityków w Bonn bardzo wymownym ostrzeżeniem.

Sukces ten wzmacnia zainteresowanie wyborami w Bawarii, wyznaczonymi na 20 listopada rb. W Bawarii NPD również samodzielnie staje do wyborów. Tu NPD natknęła się na nieprzewidzianą przeszkodę. Zaledwie na trzy tygodnie przed wyborami czołowy kandydat na posła ustąpił z partii, motywując to nadmiarem wpływów dawnych nazistów w tej partii. Incydent nie rokujący sukcesu. Ale sukces w Hesji może zniwelować tę przeszkodę.

Wybory w Bawarii — niezależnie od zagadki NPD — zdecydują zapewne o dalszych losach kryzysu rządowego w Bonn. Tu od czterech lat rządzi absolutna większość Chadecji, która w Bawarii, tradycyjnie hołdującej wszelkim przejawom odrębności, nazywa się Christlich-Soziale Union (CSU) w przeciwieństwie do nazwy Christlich-Demokratische Union (CDU) stosowanej we wszystkich pozostałych krajach federalnych.

Socjaliści w Bawarii mają jednak bardzo duże wpływy, zapewniające im co najmniej 40% głosów. Poza tym są oni dość pewni swych wyborców, czego nie można powiedzieć o CSU, ani o Wolnych Demokratach. Ponieważ o mandaty ubiega się jeszcze lokalna, o przedwojennej tradycji „Bayern Partei” i zagadkowe NPD, wynik wyborów jest jeszcze bardziej zagadkowy.

Na rozwiązanie tej zagadki czekają w Bonn politycy wszystkich partii i przed jej wyjaśnieniem nie należy się spodziewać poważniejszych zmian w kryzysowej sytuacji. Ale i po wyborach w Bawarii, niezależnie od ich wyniku, wątpliwe jest, aby obecny układ sił w Bundestagu i wcale nie jednolite szeregi Chadecji, zdołały wyłonić rząd posiadający *długotrwałe* poparcie większości parlamentarnej.

Poza tym nie utarł się jeszcze w Bonn zwyczaj traktowania opozycji jako alternatywy istniejącego rządu. Brak takiej tradycji poważnie komplikuje i przedłuża obecną niejasną sytuację.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 7 listopada 1966.

Wolna Trybuna

Chiny współczesne

Pierwszego października 1966 roku Chiny obchodziły siedemnastą rocznicę rządów komunistycznych. Po raz drugi w historii rocznica ta ma dla komunistów coś złowróżebnego: także w ZSSR po siedemnastu latach władzy bolszewików rozpoczęła się w roku 1934 okres wielkich czystek. Z pewnymi jednak różnicami: przede wszystkim w roku 1934 Stalin zlikwidował już byłą wszelką zorganizowaną opozycję, pravicową czy lewicową, i zaczął fizycznie tępić swych rzeczywistych lub urojonych oponentów; w Chinach opozycje pravicowe i lewicowe są silne, zwarte, gotowe do walki i nawet według oficjalnych oświadczeń nie wiadomo kto ostatecznie zwycięży. Inna różnica: w roku 1934 Stalin rozpoczął fizyczną likwidację przeciwników; w Chinach — poza odosobnionymi wypadkami — nie morduje się opozycjonistów. Być może dojdzie i do tego, ale obecnie odbywa się jedynie „mycie mózgow” a nie likwidacja myślących mózgow.

Obie różnice można by uważać za przypadkowe: w Moskwie, w latach terroru stalinowskiego walka o sukcesję po Leninie była już od dawna rozstrzygnięta, a Stalin mocno stał na czele partii; natomiast w Pekinie, Lenin chiński — to jest Mao — w 17 lat po zdobyciu władzy żyje i (choć już nie ma sił fizycznych aby przemawiać publicznie) jest w stanie narzucić na swego następcę tego, kogo uważa za swego wiernego kontynuatora. W tym sensie „testament Lenina” w Chinach nie jest świstkiem papieru, którego dyspozycje co do następstwa zależą od dobrej woli następców, mogących uznać je lub odrzucić (jak to uczynił Stalin i jego współpracownicy), lecz jest istotnym narzędziem rozpoczętej już walki o następstwo.

Negatywnie wpływa na nią konieczność proklamowania każdej linii politycznej, jaką wybiorą następcy Mao, jako *dogma*

Autor artykułu, Luciano Vasconi, jest socjalistą włoskim i współpracownikiem pisma „Avanti”. Jest jednocześnie wybitnym znawcą Chin; jego ciekawy artykuł zamieszczamy jako dyskusyjny.

tycznej kontynuacji maoizmu; zresztą już dziś tę ciągłość narzuca się siłą (kult Mao). Taka „technika” następstwa może uniemożliwić na długie lata wszelkie próby odnowienia komunizmu w Chinach i mieć nie mniej fatalne skutki niż występowanie Stalina w roli wyłącznego interpretatora leninizmu (mimo że stalinizm był jego negacją). Może jednak nastąpić również coś zupełnie odmiennego i pozytywnego, a wtedy choroba kultu jednostki, nawiedzająca Chiny w obecnych końcowych latach życia i rządów Mao, mogłaby wywołać zbawczą reakcję znacznie wcześniej niż w ZSSR.

Aby wyjaśnić tę hipotezę, zwracam uwagę na inną zasadniczą różnicę między eksperymentem sowieckim a chińskim: przeobrażając leninizm w dogmat religijny Stalin zaskoczył zarówno prymitywne społeczeństwo sowieckie jak świadomą opozycję wewnątrz-partijną. Stalin narzucił opozycji przejście do defensywy, to jest do wykazywania swojej „wierności” „dogmatom” Lenina a „zdradzania” tych „dogmatów” przez Stalina (narzucenie takie właśnie płaszczyny walki było możliwe na skutek kulturalnej niedojrzałości nie tylko mas sowieckich, ale także elity partyjnej, mimo że istniały grupy i jednostki, które przetrwały kulturę Zachodu i oczekiwały od Rewolucji realizacji dążeń wolnościowych oddziedziczonych po Wielkiej Rewolucji Francuskiej i Komunie Paryskiej). Ta niedojrzałość zarówno bazy gospodarczej jak i nadbudowy kulturalnej w ZSSR sprzyjała powstaniu i rozwojowi dogmatyzmu oraz uznaniu go za podstawę rządu i ustroju sowieckiego; zresztą pierwsze — tragiczne w skutkach — ograniczenia wolności w imię ocalenia zagrożonej rewolucji (zakaz istnienia stronnictw i zakaz swobodnej konfrontacji poglądów wewnątrz bolszewickiej monopartii) wprowadzone na X Zjeździe, Lenin uznał za wyjątkowe i prowizoryczne. Wreszcie, niedojrzałość kulturalna społeczeństwa sowieckiego sprawiła, że Stalin mógł przez blisko 30 lat narzucać kult swej osoby i przeobrazić idealną Republikę Rad (w którą mimo wszystko zawsze wierzył Lenin) kolejno w dyktaturę partii, aparatu, policji, coraz bardziej zamkniętych klik, a wreszcie w osobistą tyranie.

W Chinach dzieje się coś podobnego, ale jednocześnie odmiennego: poziom kulturalny setek milionów chłopów chińskich jest może jeszcze niższy niż chłopów rosyjskich w pierwszych latach po Rewolucji, kraj jest jeszcze bardziej niedorozwinięty gospodarczo i oddala się coraz szybciej od kultury zachodniej i wolnościowych ideałów wczesnego marksizmu; z drugiej jednak strony ideały równościowe komunizmu chińskiego są znacznie głębsze niż w ZSSR, gdyż wykształciła je przeszło dwudziestoletnia wojna domowa. Ideały te prowadzą do nieuniknionych starć mas z aparatem biurokratycznym, co tworzy stan ciągłego napięcia i oporu mas przeciw przywilejom dominującej kasty średnich funkcjonariuszy, uniemożliwiający powstanie biurokracji typu stalinowskiego i wszechwładzy aparatu. W Chinach nie ma miejsca na kastę biurokratów pośredniczących między najwyższymi przywódcami a masami, ani na dyktaturę aparatu. Istnieje dyktatura bezpo-

średnia, dyktatura wodza bez udziału w niej aparatu. Powstał w ten sposób specyficznie chiński ustrój „demokracji-dyktatury” (w Chinach mówi się po prostu o „demokratycznej dyktaturze”). Opiera się ona na „aklamacji” wodza przez całe społeczeństwo. Wreszcie w Chinach, w przeciwieństwie do ZSSR, nie ma masowej korupcji, nie ma przywilejów czy podziałów kastowych, a komunizm chiński ma coś z zakonno-żołnierskiej ascezy, której Zachód nie rozumie i którą błędnie tłumaczy jako wyraz fanatyzmu lub utopii. Walki wewnątrz zespołu przywódców toczą się jawnie na placach publicznych a nie tylko w gmachach ministerstw i siedzib partyjnych; masy biorą w nich aktywny udział a ich „rewolucja kulturalna”, chociaż na pewno nie jest postępek kultury, jest bez wątpienia prawdziwym przewrotem. W Chinach gra o władzę toczy się ciągle *va banque* i nie wydaje się fałszywe ani wykrętne oficjalne stwierdzenie partii, że nie wiadomo kto ostatecznie zwycięży. Z tych przyczyn (a także z powodu ryzyka wojny) kult Mao rozrasta się i — jako symbol jedności państwowej — staje się cementem łączącym naród. Mao nie posługuje się więc, jak kiedyś Stalin, bronią kultu dla zdobycia pełni władzy, bo już posiada ją od dawna. Broń ta służy natomiast jego potencjalnym następcom w rozgrywce o spadek i właśnie ta konieczność doprowadziła kult Mao do obecnej przesady, ale jednocześnie tworzy okoliczności sprzyjające przyzwyczajaniu tego kultu. Jak mówiłem już kontakt między rządzącą elitą partyjną a masami utrzymuje się w Chinach bez pośrednictwa aparatu, drogą powtarzających się co pewien czas inwestytur na ogromnych wiecach. Nadużycie tego irracjonalnego czynnika jako narzędzia walki o władzę (ekscesy i absurdy kultu dogasającego wodza, ogłoszenie nauki Mao za dogmat, zakaz wszelkich oryginalnych poszukiwań intelektualnych i naukowych w społeczeństwie mającym wysokie tradycje kulturalne w miastach i które podniosło pewne działy techniki jak np. badania nuklearne na najwyższy poziom światowy) — ujawnia sprzeczność tego kultu z rzeczywistością. Można mieć nadzieję, że Chińczycy wyzwolą się od niego wcześniej, zanim Lin Piao zdąży przestawić kult jednostki na swoją osobę. Można więc sądzić, że kult żyjącego Mao tworzy jakby odtrutkę, zabezpieczającą społeczeństwo chińskie przed groźbą ubóstwienia Mao po śmierci, jak stało się to z Leninem (przynosząc korzyść jedynie Stalinowi). Można też przewidywać że kult Mao będzie powoli przetwarzał się w entuzjastyczne uwielbienie dla wspomnień o kierowanym przezeń przełomowym okresie narodowego życia, ale nie stanie się elementem budowania władzy przez jego następcę. Jeżeli moje przewidywania sprawdzą się, to Chiny przewyżczą znacznie prędzej niż ZSSR okres fanatyzmu ideologicznego i szybko nastąpi odrodzenie rewizjonizmu chińskiego (zwalczanego dziś zaciekłe i dlatego tak bardzo żywotnego). Rewizjonizm ten zapewne niewiele będzie miał wspólnego z rewizjonizmem sowieckim i krajów demokracji ludowej.

A teraz kilka wyjaśnień osobistych. Jako socjalista staram

się nie przeobrażać dyskusji z Chińczykami w połajankę ideologiczną i unikam ekskomunik, choćby nawet miały one służyć zbożnemu celowi obrony pokojowej koegzystencji. Szczególnie Polacy powinni pamiętać, że taka ekskomunikacja grozi przywróceniem Związkowi Sowieckiemu roli państwa przodującego, a partii sowieckiej roli partii przodującej, ze szkodą dla autonomii wszystkich państw i partii komunistycznych. Jako zachodni socjalista uważam się za przyjaciela zarówno Polski jak Związku Sowieckiego i Chin, i nie poczuwam się do obowiązku wyboru między Moskwą a Pekinem (znam tylko jeden obowiązek: studiowania na serio i bezstronnie wszystkiego co dzieje się na świecie).

„Rewolucja kulturalna” i towarzyszące jej czystki nie są wrazem małostkowych rywalizacji personalnych (kierowniczy zespół chiński posiada wysoką moralność rewolucyjną, dawno zapomnianą w innych zespołach komunistycznych przy władzy) lecz zaciekłych starć między różnymi liniami politycznymi. Choć wszystkie te linie znajdują się skrajnie na lewo w stosunku do reszty ruchu komunistycznego w świecie, to jednak w Pekinie, podobnie jak w innych stolicach komunistycznych, istnieją w partii umiarkowani, centrowcy i ekstremiści. Różnice między nimi — często trudne do uchwycenia z powodu zawiłego stylu i dogmatycznego szyfru obowiązującego w wypowiedziach publicznych (jedynych nam dostępnych) — są jednak nader istotne skoro prowadzą do walki toczonej naprawdę „na śmierć i życie”. Z dyskusji między przedstawicielami szczególniejszych tendencji przebija wyraźna troska o to, aby nie wplątać Chin w wojnę wietnamską. Świadczy o niej m.in. polemika przeciw „zawodowemu wojskowemu”, leżąca zapewne u źródeł obecnego kryzysu (który skomplikował się przez wplątanie innych czynników, jak np. obawy Mao, aby młodzież chińska, nie mająca za sobą szkoły „Długiego Marszu” i rewolucji, nie uległa wpływom rewizjonistycznym).

Najwybitniejszym „zawodowym wojskowym” usuniętym od władzy jest dotychczas Lo Jui-ching, były szef sztabu głównego. Lin Piao mianowany ministrem obrony w 1959 r. zastał go na stanowisku szefa bezpieczeństwa. Lo Jui-ching miał przeprowadzić czystkę w wojsku po usunięciu Peng Teh-huai, poprzedniego ministra obrony który próbował nie dopuścić do zerwania z Moskwą. Kryzys z 1959 r. w wojsku i w partii był głęboki i do dziś dnia nie ujawniono jego kulisów. Peng Teh-huai, jeden z generałów „Długiego Marszu”, wybił się podczas wojny koreańskiej, gdy objął dowództwo nad „ochotnikami” chińskimi i wyparł Amerykanów z nad rzeki Yalu. Przekonał się wtedy, że do prowadzenia nowoczesnej wojny nie wystarcza materiał ludzki i teorii Mao Tse-tunga o partyzantce ludowej — czynnikiem decydującym jest nowoczesna broń. Po zawarciu rozejmu na 38

równoleżniku, Peng Teh-huai mianowany ministrem wojny, zreorganizował wojsko chińskie na wzór sowiecki (wprowadził stopnie, mundury, order, stworzył surowy ustrój hierarchiczny i jego zewnętrzne symbole nieznane ludowej partyzantce Mao, z której wyrosła chińska armia ludowa). Peng Teh-huai twierdził, że Chiny nie mogą zrezygnować z sowieckiej pomocy nuklearnej i muszą wobec tego pójść na kompromis ideologiczny z Moskwą. Peng Teh-huai prawdopodobnie został pokonany nie na plenum K.C., latem 1959 r., gdzie jakoby wygłosił dramatyczną samokrytykę, ale kilka tygodni wcześniej — w czerwcu — gdy Chruszczow wypowiedział układ nuklearny zawarty z Pekinem w październiku 1957 r., zapewniający Chinom dostarczenie jednej bomby atomowej i technicznej pomocy dla skonstruowania własnego *deterrent*.

Kulisy zawarcia tego układu i przyczyny zerwania go przez ZSSR są do dziś dnia otoczone tajemnicą. Sądzi się, że Moskwa (tak przynajmniej twierdzą Chińczycy) domagała się kontroli nad chińskimi siłami nuklearnymi i wojskiem chińskim, tak jakby Chiny były satelitą ZSSR. Było to nie do pogodzenia z narodowymi interesami chińskimi i z ich wielkomocarstwowymi ambicjami. Z drugiej strony, sprzeciw Pekinu wobec pokojowej koegzystencji głoszonej i realizowanej przez Moskwę usprawiedliwiało żądania Chruszczowa. Aby przeciwstawić się temu Chiny postanowiły stworzyć własny potencjał nuklearny. Cel ten osiągnięto 16 października 1964 r., w kilka godzin po komunikacie o upadku Chruszczowa; wtedy to wznosił się z poligonu doświadczalnego w pustyni Sinkiangu pierwszy chiński grzyb atomowy.

Chiny weszły do klubu atomowego, ale ich *deterrent* ma na razie charakter wyłącznie symboliczny w stosunku do gigantycznej potęgi nuklearnej Stanów Zjednoczonych. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych era Kennedy'ego dobiegła końca i strategia pokojowa zmarłego Prezydenta została odrzucona (czego dowodem były pierwsze bombardowania Północnego Wietnamu w sierpniu 1964 r.) a skrajne elementy w Pentagonie zaczęły myśleć o prewencyjnym ataku na chińskie zakłady nuklearne, zanim Pekin posiadał rzeczywisty a nie tylko symboliczny *deterrent*. Ryzyko dla Chin było tym większe, że latem 1964 r. Chruszczow jasno wykazał swoje *desinteressement* w kryzysie azjatyckim i nie chciał dać żadnej gwarancji wojskowej dla północnego Wietnamu, jako zbyt pro-chińskiego. Gdy wydawało się, że nowi przywódcy sowieccy zamierzają zmienić tę politykę (podróż Kosygina do komunistycznych stolic Azji w lutym 1965 r.), Amerykanie — mimo trudności porozumienia się ZSSR z ChRL — podjęli inicjatywę wojskową i właśnie w momencie pobytu Kosygina w Hanoi zaczęli codzienne bombardowanie Wietnamu Północnego. Niezwykle groźna w skutkach decyzja amerykańska była podjęta na zimno, wykorzystując rosnący rozdźwięk chińsko-sowiecki. Niemniej groźna była słabość następców Chruszczowa, którzy nie chcieli osłonić Północnego Wietnamu i Chin nie budzącą wątpliwością gwarancją wojskową, ponieważ oba kraje

nie znajdują się w strefie wpływów ZSSR. Obecnie, na skutek tego błędu, Rosjanie — (o ile nie nastąpi w międzyczasie całkowita zmiana linii politycznej i strategicznej Stanów Zjednoczonych) zanim zgodzą się na rokowania pokojowe, będą musieli zdecydować się — dla „zachowania twarzy” w Azji — na silną interwencję w Wietnamie prowadzącą aż do granic zatargu ze Stanami Zjednoczonymi.

Obraz ten jest istotny dla zrozumienia kryzysu powstałego w kierownictwie chińskim po lecie 1965 r. Wtedy to wspomniany Lo Jui-ching (szef chińskiego sztabu głównego) ogłosił rozprawę wykazującą, że zbrojny konflikt między Chinami a Stanami Zjednoczonymi jest nieunikniony i że konflikt ten rozpoczęty przy użyciu broni konwencjonalnych przemieni się w wojnę atomową. Lo Jui-ching wezwał partię i naród do *realistycznego* przygotowania się do tej wojny. W różny sposób interpretowano znaczenie słowa „realistycznie”. Czy oznaczało ono czasową rezygnację Chin ze starcia zbrojnego i wejście na linię politycznej ostrożności? Czy też wskazywało że Chiny powinny za wszelką cenę powrócić do sojuszu ze Związkiem Sowieckim i uzyskać odeń „parasol atomowy”? A może wręcz przeciwnie, że w ramach sojuszu z Moskwą powinny akceptować wyzwanie amerykańskie i wciągnąć ZSSR w konflikt zbrojny, który przywróciłby rozbitemu obozowi komunistycznemu jedność anty-imperialistyczną? A może Chiny powinny były odpowiedzieć na prowokacje amerykańskie i postawić wszystko na jedną kartę przez użycie swego minimalnego *deterrent* atomowego? Oficjalne dokumenty nie dają na te pytania jasnej odpowiedzi, ale w świetle późniejszych wyjaśnień łatwo można odnaleźć linię przewodnią jaką kierowali się przywódcy chińscy.

We wrześniu 1965 r. ukazała się głośna rozprawa Lin Piao o „wojnie ludowej” (jest to raczej partyzantka; wyjaśnienie to ułatwia zrozumienie istoty politycznego kryzysu chińskiego). Na Zachodzie podkreślano szczególnie jedną z tez Lin Piao: „światowa rewolta wsi przeciw miastom” czyli kolejne rewolucje narodów gospodarczo zacofanych przeciw ośrodkom kapitalizmu oraz okrażenie Stanów Zjednoczonych, jako odpowiedź na coraz większą izolację Chin w świecie. Tezę tę interpretowano jako przejaw desperackiego ekstremizmu i szaleńczej polityki awanturniczej. W rzeczywistości dla każdego kto przemyślał albo choćby tylko przeczytał rozprawę Lin Piao, prawdziwy sens jej był wręcz odwrotny. Chiński minister obrony, który przywrócił w wojsku chińskim dawny partyzancki model Mao (zniesienie stopni, rotacyjny system dowodzenia mający na celu stworzenie uzbrojonej rezerwy zdolnej do prowadzenia raczej długich akcji oporu niż ataku frontalnego), stwierdzał otwarcie, że rewolucji nie można eksportować. Oznaczało to, pisał dalej Lin Piao, że „rewolta wsi” i powstania ludowe to — dalekosiężny plan strategiczny, ale na płaszczyźnie taktycznej każda partyzantka powinna być prowadzona według wzoru chińskiego (ciągle okrażanie nieprzyjaciela oraz wycofywanie się gdy jego siły zaczynają prze-

ważać). W odniesieniu do Wietnamu oznaczało to, że Wietnamczycy powinni walczyć samodzielnie, nie liczyć na sowiecką czy chińską interwencję wojskową („pomoc moralna i materiałowa” — tak, ale żadnej interwencji bezpośredniej). Jedynie pod tym warunkiem, twierdził Lin Piao, rewolucja może maksymalnie wykorzystać siły ludowe i zwyciężyć jako samorodny zryw narodowy; gdy natomiast rewolucja przychodzi jako produkt importowany, naraża się na represje ze strony obcych mocarstw. Na tezie tej opiera się obecna polityka Lin Piao wobec Wietnamu streszczająca się w hasle: „*partyzantka, ale nie wojna między państwami*”. Wiara w „zamrożenie” partyzantki bez przeobrażenia jej w konflikt między-państwowy jest słabym punktem tej teorii. Sama jednak teoria oznacza, że w przeciwieństwie do apokaliptycznych przewidywań Lo Jui-chinga, Lin Piao odrzucił hipotezę o niemożliwości uniknięcia wojny atomowej.

Dlaczego wobec tego Pekin przeciwstawia się rokowaniom w sprawie Wietnamu? Niemałą rolę odgrywa tu dwuznaczność amerykańskich ofert pokojowych i amerykańskiej „ofensywy pokoju”. Nieustępliwość ta wynika jednak przede wszystkim z granic, jakie Lin Piao — opierając się o teorię Mao — nakreśla pomiędzy *strategią* a *taktyką* ruchu rewolucyjnego. Dogmat Mao głosi, że powstanie ludowe jest jedynym środkiem zdobycia władzy, a rewolucja nie może być wprowadzona do jakiegoś kraju drogą frymarczenia nią przez obce mocarstwa. Przekonania te wynikają z założenia, że *strategia* powinna być „zuchwała” („gardzić nieprzyjacielem na płaszczyźnie strategicznej”) ale *taktyka* — „ostrożna” („nie wolno nie doceniać siły wroga na płaszczyźnie taktycznej”). Jest to teoria „papierowego tygrysa” (czyli nieuniknionego rozkładu imperializmu) i „żelaznego tygrysa” (czyli lęku przed siłami atakującego imperializmu zanim rozpocznie się jego rozkład). Teza o nieuniknionym nadejściu ogólnego kryzysu imperializmu jest ukłonem w stronę dogmatyzmu i nauk Stalina, ale na płaszczyźnie praktycznej czy taktycznej miejsce dogmatu zajmuje ostrożny rewizjonizm (przynajmniej jeżeli chodzi o ekstremistyczną tezę o nieuniknionej wojnie; trzeba tu jednak pamiętać, że według Chińczyków nieuniknione są jedynie wojny wyzwolenicze, które osłabiają imperializm a jednocześnie umożliwiają uniknięcie światowej wojny atomowej).

Tak wyglądają wiernie zreferowane poglądy chińskie. Nie podzielał wszystkich ich wniosków ani przesłańek, uważam jednak, że ułatwiają nam zrozumienia tego co dzieje się w Chinach. Neutralizują również niektóre niedoprowadzone do logicznego końca anty-chińskie argumenty polemistów zachodnich a nawet komunistów pro-sowieckich.

Ostrożny (a bynajmniej nie ekstremistyczny) program Lin Piao został powtórzony w sposób bardziej konkretny i zrozumiały przez Czu En-laja wkrótce po przeprowadzeniu trzeciego chińskiego eksperymentu atomowego, tj. po wybuchu pierwszej chińskiej bomby wodorowej (9 maja 1966 r.). Premier chiński w wywia-

dzie udzielonym dziennikarzowi pakistańskiemu na temat „stosunków ze Stanami Zjednoczonymi” powiedział że jego kraj:

1. nie rozpocznie wojny;
2. nie da się do niej sprowokować;
3. będzie nadal udzielał „pomocy moralnej i materiałowej” Wietnamowi w ramach tych ograniczeń i bez interwencji bezpośredniej;

4. gdyby Chiny zostały zaatakowane przez Stany Zjednoczone, odpowiedziałyby „wojną bez granic”, toczoną wyłącznie na lądzie i wykorzystując ludnościową przewagę Chin oraz ogrom ich terytorium, traktowany jako jedyny prawdziwie skuteczny *deterrent* przeciw „powietrznej i morskiej przewadze” przeciwnika.

Wywiad Czu En-laja określa więc jasno jaki to *deterrent* przeciwstawiają Chiny amerykańskiej przewadze „powietrznej i morskiej” (czyli rakietowej i nuklearnej). Z oświadczenia Czu En-laja wynika, że przywódcom chińskim nie przewróciło się w głowie po wyprodukowaniu pierwszej eksperymentalnej bomby wodorowej; że nie przywidują starcia atomowego; że usiłują uniknąć wszelkich bezpośrednich konfliktów z Ameryką i że w wypadku ataku amerykańskiego będą walczyć wykorzystując przewagę w ludziach i walory geograficzne. Wszystko to jest zaprzeczeniem teorii Lo Jui-chinga i świadczy o pełnej synchronizacji poglądów Mao z poglądami Lin Piao (stąd z kolei powstał sojusz między Lin Piao a Czu En-lajem, zresztą nader kruchy).

„Rewolucja kulturalna” byłaby więc rewolucją umiarkowaną? Wydać się to może paradoksem, ale tak jest. Dążenie do umiarkowania a nawet izolacjonizmu logiczne tłumaczy przyczyny upadku czy retrocesji przywódców znanych ze swej nieustępliwości jak Lo Jui-ching czy Peng Chen oraz prawdopodobnie Liu Szao-czi i Teng Hsiao-ping. Wyjaśnia także dlaczego oficjalne dokumenty chińskie mówią nie tylko o „rewizjonizmie prawicowym” ale również o „rewizjonizmie lewicowym”. W Chinach toczy się zaciekle walka przeciw „rewizjonizmowi prawicowemu” intelektualistów, ekonomistów i polityków (choć niektórzy ekonomiści rewizjonistyczni jak Czen Yun, przeciwstawiający się w swoim czasie „wielkiemu skokowi naprzód”, powrócili znowu do wpływów), przeciw „rewizjonizmowi” sowieckiemu, przeciw rzeczywistości lub urojonejmu przejściu niektórych rewolucjonistów na pozycje burżuazyjne, przeciw „odbudowie kapitalizmu” czyli po prostu nawrotowi do zasady opłacalności produkcji. To prawda, ale poza tą „generalną linią anty-rewizjonistyczną” (i anty-sowiecką, wspólną wszystkim przywódcom chińskim z wyjątkiem tych którzy pragnęliby otrzymać od ZSSR gwarancje nuklearne) toczy się niemniej ostra walka przeciw „lewicowemu awanturnictwu” w polityce międzynarodowej i wewnętrznej, przeciw igraniu z ryzykiem wojny i przeciw powtórzeniu błędów „wielkiego skoku naprzód”.

Omówiliśmy już, odrzucone przez partię, poglądy Lo Jui-chinga. O Peng Chen natomiast poza — raczej nieprawdopodobnymi — przypuszczeniami o jego przejściu do rewizjonistów, wiadomo,

że popełnił jeden niewątpliwy błąd „prawicowy”, wystarczający zresztą aby go „wykończyć” politycznie: jest to sprawa Indonezji i dopuszczenie do wymordowania setek tysięcy komunistów indonezyjskich. Nie odpowiada prawdzie rozpowszechniony na Zachodzie pogląd jakoby Pekin podzegał lewicowego pułkownika Untunga do wojskowego zamachu stanu. Generałowie indonezyjscy od dawna przygotowywali zamach *prawicowy*, a indonezyjska partia komunistyczna wielokrotnie przed nim ostrzegała. Peng Chen był ostatnim przywódcą chińskim, który odwiedził Dżakartę (lato 1965 r.). W Pekinie łudzono się jeszcze wtedy politycznymi możliwościami prezydenta Sukarno, dyskutowano o możliwościach „Frontu Narodowego” i nie przewidywano jego załamania się (wierzone nawet w możliwość utworzenia międzynarodowej organizacji konkurencyjnej z ONZ pod przewodnictwem Chin, Indonezji i Pakistanu). W czasie wizyty w Dżakarcie Peng Chen odradzał komunistom indonezyjskim jakąkolwiek akcję powstańczą. Dlatego odzegnali się oni od przewencyjnego zamachu stanu, organizowanego przez lewicowych wojskowych pułkownika Untunga, a kryzys wojskowy, który przeobraził się w skrajnie prawicową rewoltę, nazywali „wewnętrzną sprawą armii”. Indonezyjska partia komunistyczna, liczebnie silna i dobrze zorganizowana, z pewnością proklamowałaby powstanie, gdyby pragnęli go Chińczycy. Jednak Peng Chen nie zrozumiał w czasie pobytu w Dżakarcie sytuacji w Indonezji i partia poszła bez oporu pod rózę. Ten błąd przypomina pomyłkę Stalina i Bucharina, którzy przypatrywali się beczynnemu jak Czang Kai-szek mordował w r. 1924 komunistów chińskich. Zresztą i obecnie partia sowiecka nie ruszyła palcem w obronie mordowanych towarzyszy indonezyjskich, a rząd sowiecki ostatnio zaprosił ministra spraw zagranicznych rządu morderców do Moskwy, i ofiarował pomoc gospodarczą w zamian za ocalenie niedobitków.

Katastrofa indonezyjska wywołała zrozumiałą zamęt w Pekinie i w innych partiach komunistycznych Azji. W Pekinie prawdopodobnie zakwestionowano teorię Lin Piao o „nieinterwencji”. W partiach azjatyckich, protestujących już od dawna przeciw izolacji Wietnamu Północnego, doszło do ostrych krytyk, zarówno wobec polityki Pekinu, jak i Moskwy.

Za głównego zwolennika „nieprzerwanej rewolucji” i „internacjonalizmu proletariackiego” uchodził zawsze prezydent Chin, Liu Szao-czi, uważany aż do sierpnia br. za prawdopodobnego następcę Mao. (Jeszcze w latach dwudziestych związał się on w Moskwie z trockistami i znacznie bardziej niż Lin Piao jest chińskim odpowiednikiem Trockiego). Lu Szao-czi prawdopodobnie zaprotestował przeciw błędowi „prawicowemu” w Indonezji i przeciw analogicznemu „odchyleniu” w Wietnamie, a więc przeciw niemal otwarcie głoszonej zasadzie nieinterwencji w imię „chińskich interesów narodowych”. 22 lipca 1966 po pierwszych bombardowaniach amerykańskich Hanoi i Haipong, Liu Szao-czi na ogromnym wiecu w Pekinie oświadczył, że Chiny poprą „wszelkimi środkami” Wietnam Północny, ponieważ są „rezerwą i arse

nałem" walczących towarzyszy. Była to niemal zapowiedź interwencji chińskiej w Wietnamie, tym groźniejsza że wypowiedziana już w czasie „rewolucji kulturalnej”. Ale w dziesięć dni po tym przemówieniu, zebrało się 1 sierpnia plenum Centralnego Komitetu Partii Chińskiej. Obrady trwały do 12 sierpnia. Dziennik „Czerwony Sztandar” (kierowany przez Chen Po-ta, szefa „rewolucji kulturalnej”) podał, że plenum popełniło w kilku sprawach „wielkie błędy polityczne”, poprawione osobiście przez Mao i Lin Piao. Po tym plenum Liu Szao-czi spadł w sprawozdaniach agencji „Nowe Chiny” z drugiego miejsca po Mao na ósme, a 18 sierpnia na wielkim wiecu Czerwonej Gwardii Lin Piao wystąpił jako oficjalny kandydat na następcę Mao.

Trzeba pamiętać, że od czasu „wielkiego skoku naprzód” aż do sierpniowego plenum Liu Szao-czi razem z Teng Hsiao-ping, sekretarzem KC i kierownikiem aparatu, byli faktycznymi szefami partii. Pozycję tę — i większość w KC — utracili obaj na plenum między 1 a 12 sierpnia. Stało się to w imię „narodowych interesów chińskich”, zapewne w formie kompromisu, ponieważ wprawdzie zaatakowano i zdegradowano Liu Szao-czi, ale jego hasła „pomoc dla Wietnamu za wszelką cenę” użył Lin Piao na obchodach rocznicowych w dniu 1 października. Partia położyła więc jakąś granicę swej polityce nie-interwencji: ustałaby ona na przykład w razie wkroczenia amerykańskich wojsk lądowych do Północnego Wietnamu, lądowania czy też totalnej wojny z powietrza.

Nie wiadomo jaką rolę odegrał Teng Hsiao-ping w tej dramatycznej rozgrywce „o życie lub śmierć” Chin, ani czyim był sojusznikiem. Jednak kontrolowany przezeń aparat partyjny znalazł się pod obstrzałem Czerwonej Gwardii. Rozgrywka nie jest zakończona. Wprawdzie szef Czerwonej Gwardii skierowano teraz przeciwko „głównemu nieprzyjacielowi” to jest prawicowemu rewizjonizmowi, ale uderza on także w aparat i biurokrację partyjną, oskarżane o „nadmierne przywileje”, „mandarynizm” czy „burżuazyjne nawyki”. Rozgrywka ta jest zresztą wyrazem porachunków mas ze średnią biurokracją partyjną w imię ideałów równościowych pierwotnego komunizmu, o czym mówiliśmy na początku.

Obecnie Lin Piao i Czu En-laj zawarli sojusz w sprawie następstwa po Mao oraz obrony „chińskich interesów narodowych” ścierających się coraz częściej z „internacjonalizmem proletariackim” (przypomina to walkę Stalina z Trockim i przeciwstawienie teorii „socjalizmu w jednym kraju” teorii — „permanentnej rewolucji”). Na dłuższą metę jest to sojusz nietrwały, ponieważ Lin Piao reprezentuje elementy autorytatywne reżymu zmilitaryzowanego chociaż nie zbiurokratyzowanego na wzór stalinowski. (Na marginesie można zaznaczyć, że postacią najbardziej przypominającą Stalina jest Teng Hsiao-ping jako szef aparatu i przedstawiciel konserwatywnych dążeń biurokracji partyjnej. Czu En-laj przypomina natomiast Bucharina z drugiego okresu tzw. „umiarkowanej prawicowości”; Lin Piao wreszcie nie jest ani

Stalinem ani Trockim, ale czymś zupełnie nowym, a w tej chwili zwierciadłem Mao Tse-tunga).

Katastrofa indonezyjska doprowadziła do rewizji poglądów na Chiny we wszystkich partiach komunistycznych Dalekiego Wschodu. Komuniści japońscy, północno-koreańscy i północno-wietnamscy przez długi czas stali po stronie Pekinu w jego polemice anty-rewizjonistycznej i anty-sowieckiej, chociaż próbowali prowadzić akcję mediacyjną. Stopniowo partie te przeszły — chociaż z wielu istotnymi zastrzeżeniami i warunkami — na stronę Moskwy, albo raczej przybliżyły się do Moskwy bez wyrzekania się polemiki przeciw prawicowemu rewizjonizmowi. Partia japońska i północno-koreańska otwarcie potępiły nie-interwencję Chin, które dzięki swemu położeniu geograficznemu są jedynym gwarantem komunistów azjatyckich. Potępiły jednak również nie-interwencję ZSSR, jedynego mocarstwa komunistycznego, które ma wystarczający potencjał nuklearny do rywalizacji z Amerykanami. Nie można więc mówić ani o sukcesie Moskwy wśród komunistów Dalekiego Wschodu, ani o przejściu tych partii na pozycję moskiewskie. Raczej należy stwierdzić, że partie te wyciągnęły wnioski z lekcji indonezyjskiej i wietnamskiej. Zaofiarowały one Kremlowi swe poparcie, jeżeli ZSSR udowodni, że naprawdę gwarantuje niepodległość Hanoi (dowodem tym byłyby zobowiązania wojskowe Kremla i wyrzeczenie się chruszczowskiej koncepcji samodzielnych rokowań z imperializmem amerykańskim). Przywódcy sowieccy prawdopodobnie nie mogą odmówić tym żądaniom, gdyż straciliby rolę przywódcy obozu komunistycznego w świecie, tym bardziej że wezwanie rzucone przez Johnsona w Wietnamie skierowane jest nie tylko przeciw Chinom ale i przeciw ZSSR. Jeżeli więc istnieje jakiś stopień eskalacji amerykańskiej, po którego przekroczeniu Chińczycy będą interweniować, istnieje również taki stopień dla ZSSR. Można nawet sobie wyobrazić że odbywa się współzawodnictwo między Pekinem a Moskwą o to, kto pierwszy zacznie walczyć o ocalenie Północnego Wietnamu. Zdaniem piszącego odpowiedzialność za tę sytuację spada bardziej na Amerykanów, niż na Chińczyków czy ZSSR, ponieważ Amerykanie pierwsi interweniowali w domowej wojnie wietnamskiej. Reakcji chińskiej lub sowieckiej na eskalację amerykańską domagają się azjatyckie partie komunistyczne. Powiedzieli to otwarcie komuniści japońscy i północno-koreańscy a także północni Wietnamczycy, polemizując z teoriami Lin Piao o „przedłużonej partyzantce” skoro istnieje już wojna pomiędzy państwami. W szczególności generał Giap i inni przywódcy z Hanoi ogłosili, że chińska koncepcja strategiczno-taktyczna mogła udać się w Chinach dzięki ogromowi ich terytorium i rezerw ludzkich, ale nie nadaje się dla kraju tak małego jak Wietnam.

Jedynym wyjściem dla Moskwy i Pekinu z tej groźnej sytuacji jest nadzieja, że Stany Zjednoczone przestaną zbliżać się do tego punktu granicznego w konflikcie wietnamskim, którego przekroczenie wywołałby automatycznie kontr-eskalację. Ale czy Ame-

rykanie potrafią zatrzymać się we właściwym momencie? Decyzja należy do nich samych i albo w czas wystąpią z nową „ofensywą pokojową” nie będącą równoznaczną z „*pax americana*”, albo konflikt zaostrzy się, ponieważ „internacjonalizm proletariacki” — tak niewygodny dla wszystkich — zacznie odgrywać rolę ze względu na realne a zagrożone interesy mocarstw zainteresowanych (a nie tylko jako wyraz oficjalnie głoszonych ideałów).

Ostatnia wątpliwość dotyczy celów politycznych ewentualnej interwencji chińskiej oraz sowieckiej. Chińczycy uznaliby układy genewskie z 1954 r. o podziale Indochin za nieaktualne (powiedział to wyraźnie Liu Szao-czi 22 lipca 1966 r. i jego oświadczenie nie zostało nigdy zdementowane. Koncepcja tego zwolennika „internacjonalizmu proletariackiego” jest jedyną alternatywą dla linii Lin Piao). Oznacza to, że w razie konfliktu Pekin nie dążyłby już do neutralizacji obu części Wietnamu, ale do narzucenia ustroju komunistycznego całemu, tj. zjednoczonemu Wietnamowi. Taka byłaby cena Chin za wyrzeczenie się zbrojnej interwencji. Jednak Chińczycy ofiarowaliby na pewno Amerykanom jakieś „honorowe” wyjście z konfliktu. Np. komunicację zjednoczonego Wietnamu poprzedziłyby okres przejściowy „frontów ludowych” czy rządów „jedności narodowej”, nawet bez zawarcia przez nie sojuszu wojskowego z Pekinem. Gdyby jednak doszło do wojny chińsko-amerykańskiej „nieugięci”, reprezentujący linię bardziej ekstremistyczną niż Lin Piao (i po jego przyłączeniu się do nich), staliby się na długi czas panami sytuacji wewnątrz Chin. A przynajmniej dopóki wojna toczyłaby się na „neutralnym” terytorium wietnamskim i dopóki wierzone by, że Amerykanie mogą wyrzec się użycia broni nuklearnych. Tego rodzaju kalkulacje odpowiadają przekonaniu Mao, że mocarstwo dysponujące bronią atomową nie będzie miało odwagi użycia bomby termonuklearnej przeciw 700 milionom bezbronnych Chińczyków (jest to tak zwany „optymizm chiński” wobec niebezpieczeństwa nuklearnego). Przeświadczenie to może wywołać błędy w kalkulacjach chińskich przywódców. Musimy jednak stwierdzić, że opiera się ono na przyznaniu że nieprzyjaciel kieruje się w polityce motywami humanitarnymi, choćby tylko na skutek nacisku opinii światowej.

Takie mogłyby być oferty Chin w rokowaniach po rozpoczęciu konfliktu chińsko amerykańskiego. Nie może to nie budzić niepokojów u Amerykanów, znajdujących się na skraju nieobliczalnej awantury, jaką Chiny gotowe byłyby zaryzykować, gdyby zawiodła obecna „roztropność” wykazywana przez Lin Piao.

Interwencja sowiecka natomiast miałaby rozmiary znacznie bardziej ograniczone: wystarczyłby jakiś drobny incydent rosyjsko-amerykański, aby obie strony zasiadły do rokowań, których celem byłby powrót do postanowień genewskich (neutralizacja obu części Wietnamu obojętnie czy nadal rozdzielonych czy też zjednoczonych).

Chińczycy przeciwstawiają się interwencji sowieckiej, twier-

ząc że *taktyka* sowiecka niesie zbyt wielkie ryzyko dla Wietnamu. Powstałby bowiem między dwoma mocarstwami o ogromnym potencjale nuklearnym potencjalny stan wojenny, grożący wprawdzie konfliktem światowym, ale zakończyłby się, jak w kryzysie kubańskim, przyjęciem przez Związek Sowiecki wyrzeczeń i kompromisów kosztem rewolucji wietnamskiej. Wietnamczycy utraciliby w ten sposób zwycięstwo łatwe do osiągnięcia *bez interwencji sowieckiej*.

Taki jest moim zdaniem *obraz* obecnej sytuacji w Wietnamie oraz polityki Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego i Chin. Dogmaty Mao Tse-tunga nie budzą zaufania, ale Waszyngton i Moskwa nie dają lepszych gwarancji. Ameryka porzuciła stworzoną przez Kennedy'ego strategię pokoju i weszła na drogę imperialistyczną. Związek Sowiecki interpretuje koegzystencję pokojową tak, jakby dotyczyła ona wyłącznie stosunków pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem, a Chiny wcale nie istniały. (Są to nieuniknione ograniczenia polityki Chruszczowa). Grozi więc dzisiaj światu powtórzenie awantury kubańskiej, chociaż w obronie sprawy bardziej słusznej. Przyczyną tego jest odmówienie przez ZSSR — gdy był po temu czas — gwarancji dla Hanoi i dla Pekinu pod pretekstem, że nie znajdują się w sferze wpływów sowieckich czy też je kwestionują (Związek Sowiecki udzielił jednak takich gwarancji Egiptowi podczas kryzysu sueskiego, mimo że Nasser tępił komunistów).

W obecnej dramatycznej sytuacji nie czas na potępienia. Zresztą nikt nie jest bez winy, a pokój jest niepodzielny. Koegzystencja pokojowa jest na razie słowem pozbawionym treści i to nie tylko z winy Chińczyków. Kto rozumie to, ten łatwiej może pracować dla sprawy pokoju.

Luciano VASCONI

(Przełożył z włoskiego Wł. Sznarbachowski)

DATA	POLITYKA
16 października 1966	<p>Komunikat wydany po rozmowach Gomułki z Breżniewem oskarża Chiny, że doprowadzając do rozłamu w ruchu komunistycznym „zachęcały do agresywnej akcji imperializm amerykański”.</p> <p>We Włoszech powstała nowa partia komunistyczna prochińska.</p> <p>Stany Zjednoczone zaprosiły Polskę do współpracy w amerykańskim programie satelitów ziemi.</p>
17 października 1966	<p>Do Moskwy przybywają wschodnio-europejscy przywódcy komunistyczni.</p> <p>Europejska Komisja Gospodarcza ONZ stwierdza znaczny wzrost handlu Wschód-Zachód.</p>
18 października 1966	<p>Prezydent Johnson udając się w podróż na Dalek Wschód i do Południowo-Wschodniej Azji oświadczył „pragniemy zgody z Chinami, ale nie za cenę wolność naszych sojuszników”.</p>
19 października 1966	<p>Przywódcy komunistyczni obradujący w Moskwie udali się do Kazachstanu gdzie obserwowali wystrzelenie 2 sztucznych satelitów i sondy księżycowej.</p> <p>Marokańczyk, płk. A. Dimi, jeden z oskarżonych w procesie Ben Barki, oddał się w ręce policji francuskiej</p>
20 października 1966	<p>W Bonn rozpoczęły się rozmowy Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i NRF na temat zagadnień obronnych i obniżenia dewizowych kosztów utrzymania wojsk obcych w Niemczech Zachodnich.</p>
21 października 1966	<p>Komunikat ogłoszony po moskiewskiej konferencji na szczycie nie ujawnia żadnych szczegółów rozmów.</p> <p>Gabinet brytyjski rozpatruje możliwości przystąpienia W. Brytanii do Wspólnego Rynku.</p>
22 października 1966	<p>Przewodniczący Światowej Federacji Węgierskich Bojowników o Wolność, gen. Veresz, apeluje do przywódców zachodnich, by nie ignorowali rozbudowy rosyjskich sił zbrojnych w sercu Europy. 10-tą rocznicę rewolucji Budapeszt obchodził po cichu. Żołnierzom sowieckim cofnięto przepustki.</p>

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
<p>Na frankfurckich targach książki Polska zawarła z Francją porozumienie na wspólną publikację materiałów z międzynarodowego Zjazdu Astronautycznego w Madrycie.</p> <p>W Monachium zmarł 49-letni Wieland Wagner, organizator festiwalu w Bayreuth.</p> <p>Jan Otcenasek (Romeo i Julia w Ciemnościach) został redaktorem naczelnym „Literarni Noviny”. Uważane to jest za próbę przywrócenia kontroli partyjnej nad tendencjami liberalnymi.</p> <p>Radio Bukareszt stwierdza, że za mało ukazuje się tłumaczeń literatury zachodniej. „Gdyby nie pismo Secolul XX nie wiedzilibyśmy o Ionesco czy Kafce”.</p> <p>Festiwal filmu bułgarskiego w Londynie. Prasa zwraca uwagę na film V. Radewa „Król i Generał” pisząc, że okres stalinizmu należy w filmie bułgarskim do przeszłości.</p> <p>Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury zdobyli łącznie urodzony w Polsce pisarz żydowski S. Agnon i urodzona w Niemczech poetka Nelly Sachs.</p> <p>Sekretarz Związku Pisarzy Bułgarskich D. Fuchedziew, wybrany sekretarzem KC partii oświadczył: będziemy mogli spojrzeć na nasze błędy, bez tłumienia głosów krytyki.</p> <p>Do Warszawy powróciła delegacja naukowców polskich, którzy brali udział w dniach nauki i techniki polskiej na Białorusi.</p>	<p>Turecja odniosła zwycięstwo nad Sowietami w piłce nożnej na boisku moskiewskim — po raz pierwszy od 20 lat.</p> <p>Zakończenie obchodów Tysiąclecia Chrześcijaństwa w Polsce — we Wrocławiu. Kardynał Wyszyński potępia w kazaniu rządową politykę ograniczania liczby urodzin.</p> <p>Warszawa potrzebuje 50 nowych kościołów — powiedział Kardynał Wyszyński. Ilość katolików zwiększyła się w stolicy o pół miliona w porównaniu z 1939 rokiem.</p> <p>W Polsce na 1000 mieszkańców jest 66 telewizorów, 145 radioodbiorników, 26 lodówek i 125 pralek — stwierdza radio warszawskie.</p> <p>Uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę śp. gen. Bora-Komorowskiego w Katedrze Westminsterskiej z udziałem przedstawicieli rządu brytyjskiego.</p> <p>W Walii, wskutek obsypania się hałdy węglowej w Aberfan, ponad 130 osób, w tym większość dzieci, poniosła śmierć.</p> <p>Zmarł „Czerwony Dziekan” H. Johnson. George Blake, skazany na 42 lata za szpiegostwo na rzecz Sowietów, zbiegł z więzienia w Londynie.</p>

DATA	POLITYKA
23 październik 1966	<p>Włochy i Sowiety prowadzą tajne rozmowy na temat wspólnej budowy i eksploatacji rurociągu naftowego od Tjumen na Uralu do Triestu, długości 3.200 km.</p> <p>Dziesiąta rocznica powstania Węgierskiego.</p>
24 październik 1966	<p>Sowiety otwierają w Zurichu Bank Handlowy. Jest to 3-ci bank sowiecki na Zachodzie, po Londynie i Paryżu.</p> <p>Napięcie na granicy sowiecko-chińskiej. Radio Praga nadało dyskusję: jak Sowiety zareagowałyby na agresję chińską. Wniosek: użyłyby siły.</p>
25 październik 1966	<p>Stany Zjednoczone gotowe są, wraz z sojusznikami, wycofać w ciągu 6 miesięcy wojska z Wietnamu, jeśli komuniści z Północy wycofają własne wojska i położą kres infiltracji — komunikat wydany w zakończeniu konferencji w Manili.</p>
26 październik 1966	<p>Prezydent Johnson przybywa niespodziewanie z dwu i pół godzinną wizytą do bazy amerykańskiej w Południowym Wietnamie.</p>
27 październik 1966	<p>Upadek koalicji rządowej w NRF wskutek wyjścia z rządu Erharda Wolnych Demokratów.</p> <p>Chiny wystrzelują raketę z głowicą atomową. Jest to czwarta, doświadczalna eksplozja atomowa chińska.</p>
28 październik 1966	<p>Prezydent de Gaulle oświadczył na konferencji prasowej, że nigdy nie był przeciwny, by W. Brytania połączyła swe losy z Europą.</p> <p>7 Plenum KC PZPR poświęcone usprawnieniu zarządzania przedsiębiorstwami przemysłowymi. Główny referat wygłasza B. Jaszczuk.</p>
29 październik 1966	<p>Włoskie partie: socjalistyczna i socjal-demokratyczna połączyły się w zjednoczoną partię socjalistyczną pod przewodnictwem Nenni.</p> <p>Brytyjski sekretarz stanu do spraw europejskich Thomson przybył do Budapesztu, by zorientować się w możliwościach poprawy stosunków.</p>

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
<p>Międzynarodowy Kongres poświęcony walce z rakiem zgromadził około 4.000 specjalistów.</p>	<p>Walne Zebranie Koła Generałów i Pułkowników żąda od członków służby sprawie Polski wolnej, całej i niepodległej i zabrania członkom wyjazdów do Kraju.</p>
<p>Prasa niemiecka zamieszcza pochlebne recenzje o „Rewizorze” Gogola wystawionym w Essen w inscenizacji i reżyserii Dejmk.</p>	<p>W Londynie rozpoczyna działalność Stowarzyszenie Polaków Obywateli Brytyjskich, pod przewodnictwem J. A. Jaxy.</p>
<p>Tegoroczny Festiwal Berliński „Festwochen”, stał pod znakiem „współpracy muzycznej Wschód-Zachód”. Zapowiedziany występ Rostropowicza z zespołem amerykańskim nie doszedł jednak do skutku.</p>	<p>W Polsce ukazała się książka „Quousque tandem Cardinal?” krytykująca w niewybredny sposób kardynała Wyszyńskiego. Wydanie książki zbiegło się z 10 rocznicą zwolnienia Kardynała z więzienia.</p>
<p>Wystawa sztuki polskiej w Chicago jest największą i najpoważniejszą imprezą jaką kiedykolwiek niepodległa Polska zorganizowała na ziemi amerykańskiej — stwierdza Życie Warszawy po rozmowie z organizatorem wystawy prof. Lorentzem.</p>	<p>W Holandii przebywała delegacja ZBOWiDu z gen. F. Skibińskim (b. dowódcą brygady 1 dyw. pancerniej) na czele.</p>
	<p>Izba Lordów obraduje nad sprawą Biblioteki Polskiej w Londynie, której rząd brytyjski zamierza cofnąć subwencję, a zakupione książki rozprzedać po innych bibliotekach. Główne przemówienie wygłasza lord St. Oswald.</p>
	<p>Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zmienia statut, by móc wykluczyć ze Związku „pisarzy, którzy przyjęli lub przyjmą paszport PRL lub innego państwa komunistycznego”.</p>
<p>Pantomina Wrocławska występuje w Wilnie.</p>	<p>W Londynie odbył się Walny Zjazd Związku Dziennikarzy RP.</p>

DATA	POLITYKA
30 październik 1966	Przywódcą komunistyczny Macedonii Krste Crvenkowski wypowiedział się w Belgradzkiej <i>Polityce</i> za dopuszczeniem „lojalnej opozycji”, która broniłaby praw mniejszości w ramach partii.
31 październik 1966	Po przemówieniu wygłoszonym do studentów o zdo- byczach i stratach ostatniego 10-lecia 39-letni prof. L. Kołakowski usunięty został z Partii.
1 listopad 1966	Otwierając Zjazd Albańskiej Partii Komunistycznej Enver Hodża nie wspominał ani słowem o „rewolucji kulturalnej w Chinach. Na Zjazd przybyły m.in. dele- gacje z Rumunii, Północnej Korei i Pół. Wietnamu.
2 listopad 1966	Kancelerz Erhard wyraził gotowość rezygnacji ze sta- nowiska, jeśli taka decyzja rozwiązałaby kryzys rzą- dowy.
3 listopad 1966	Prezydent Johnson podda się w najbliższym czasie dwum operacjom: gardła i woreczka żółciowego. Minister Spraw Zagranicznych Brown prowadzi w Bonn rozmowy na temat możliwości przystąpienia W. Brytanii do Wspólnego Rynku Europejskiego.
4 listopad 1966	Sowiecka <i>Prawda</i> podaje, że w 700 fabrykach, któ- re wprowadziły motym zysku, produkcja wzrosła o 20% w ciągu 9 miesięcy. Nowy system ma być rozszerzony na przemysł lekki i spożywczy w styczniu.
5 listopad 1966	
6 listopad 1966	Niespodziewany sukces neo-nazistowskiej partii NDP w wyborach w Hesji. NDP zdobyła 220 tys. głosów, co stanowi 8% ogółu wyborców. Przedstawiciele dyplomatyczni Chin opuszczają salę w czasie akademii „październikowej” w Moskwie.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Londyński Royal Ballet Company opusz- cza Warszawę po serii występów.	Londyński <i>Sunday Times</i> pisze na mar- ginesie w sprawie Biblioteki Polskiej: „150 tys. Polaków w W. Brytanii utrzy- muje zadziwiająco ścisłe związki. Rząd chciałby przyspieszyć proces integracji”.
Aresztowany w sierpniu br. w Polsce niewidomy pisarz Szymon Szachner został wypuszczony z więzienia i znajduje się pod nadzorem policji. Jego sekretarka i współpracowniczka, Nina Karsow, prze- bywa nadal w więzieniu. Oboje są pod- dawani nieustającym przesłuchaniom. Są oskarżeni o rzekomą próbę przesłania za- granicę pamiętnika Szachnera i różnych materiałów.	W Polsce przebywał prezes concernu „Fiat”, Agnelli, badając możliwości pro- dukcji samochodów Fiat na Żeraniu.
Moskiewski teatr „Sowremiennik” wy- stawił w Leningradzie adaptację bajki Andersena „Nowe Szaty Imperatora”, bę- dącą satyrą na kult jednostki.	Na Zjeździe albańskiej P.K. odczytano pозdrowienia od „Tymczasowego KC Pol- skiej Partii Komunistycznej” (z Mijalem na czele?) stwierdzające, że PZPR jest partią burżuazyjną a PRL prześladowuje re- wolucjonistów.
Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki zdo- bywa prof. A. Kastler z Paryża, a w dzie- dzinie chemii prof. R. Mulliken z Chi- cago.	Polska Agencja Prasowa (PAT) stwier- dza, że Polska „wciąż jest jeszcze okupo- wana i rządzona przez podległych Moskwie komunistów”, a pogłoski o rzekomym za- miarze wyjazdu prezydenta RP A. Zales- kiego do Kraju są nieprawdziwe.
Największa od wielu setek lat kata- strofa powodzi we Włoszech spowodowała zniszczenie wielu bezcennych dzieł sztuki, szczególnie we Florencji.	Londyński „Daily Telegraph” pisze: decyzja wycofania subwencji 11 tys. fun- tów Bibliotece Polskiej zantagonizowała największą i najlepiej zorganizowaną gru- pę narodowościową w W. Brytanii.
	5 dokerów angielskich przeniosło przy pomocy dźwigu na brzeg Polaka, który ukrywał się w luce towarowej statku Ja- rosław Dąbrowski. Polak ubiega się o azyl.

DATA	POLITYKA
9 listopad 1966	Zwrot na prawo w wyborach amerykańskich. Republikańskie zwiększają swój stan posiadania w Kongresie i na stanowiskach gubernatorów stanowych. Do Senatu wchodzi po raz pierwszy od przeszło stu lat Murzyn.
10 listopad 1966	W. Brytania zamierza przystąpić do Wspólnego Rynku — oświadczył w parlamencie premier Wilson. Dr Kiessinger, premier Badenii-Wirtembergii obrany został kandydatem na Kanclerza z ramienia CDU.
11 listopad 1966	
12 listopad 1966	
13 listopad 1966	Mocarstwa Zachodnie sprzeciwiają się propozycji Brandta przyznania prawa głosu w parlamencie w Bonn deputowanemu z Berlina. Brandt wzmocniłby w ten sposób swą pozycję w walce o urząd Kanclerza.
14 listopad 1966	Otwierając Zjazd Bułgarskiej Partii Komunistycznej, pierwszy sekretarz Żiwkow wypowiedział się za zwołaniem międzynarodowej konferencji komunistycznej. Sprzeciwiają się temu m.in. Rumuni i Włosi.
15 listopad 1966	Zachodnio-niemiecka partia socjalistyczna zapowiedziała, że w wypadku dojścia do władzy prowadzić będzie bardziej aktywną politykę na Wschodzie.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Sołżenicyn odsunięty został od współpracy z pismem „Nowy Mir”.	S. Józefczak ustanawia nowy rekord wysokości świata osiągając na dwu-osobowym szybowcu pułap 41.174 stóp, nad Tatrami. Poprzedni amerykański rekord: 34.425 stóp.
	Według doniesień z Warszawy prof. Kołakowski złożył protest przeciwko usunięciu z partii.
	W związku z odczytem Z. Kołakowskiego 14 studentów Uniwersytetu Warszawskiego ma stanąć przed Komisją Dyscyplinarną, 6-u z nich z wnioskiem o relegację.
	Z okazji obchodów Tysiąclecia konsul PRL w Londynie wręczył medale pamiątkowe „zasłużonym działaczom polonijnym”. „Trybuna Ludu” wymienia tylko jedno nazwisko: H. Archutowski.
Wydawany w Pradze miesięcznik literacki „Plamen” drukuje wyjątki powieści Mnacko „Smak Władzy” opisujący nadużycia władzy przez komunistów w latach 50-tych.	Po 26 latach pracy wojskowej Biuro Historyczne w Londynie wystąpiło z wnioskiem odznaczenia 36 oddziałów orderem Virtuti Militari. Dekoracji dokonał gen. W. Anders.
	Według doniesień „Frankfurter Rundschau” delegacja ambasady PRL w Moskwie złożyła w dzień zaduszny wieńce w Katyniu — po raz pierwszy w historii PRL.
Organ partii węgierskiej Nepszabadsag opublikował „Nowe wytyczne polityki kulturalnej” przyznające pierwszeństwo pracom „o wartości ideologicznej”.	

Sprawy i Troski

Jak żyjemy ?

Nasz emigracyjny dorobek literacki, naukowy, publicystyczny, czy artystyczny jeszcze jakoś notujemy, choć nie zawsze i nie-dokładnie; w każdym razie z roczników pism badacz będzie mógł kiedyś zebrać sporo materiałów na ten temat. Z dorobkiem organizacyjnym jest już znacznie gorzej, nieraz po kilku latach nie można już odtworzyć dziejów jakiejś organizacji, czy instytucji, gdyż dane na ten temat są w naszej prasie bardzo ubogie. Wiele innych problemów z naszego życia zanika bez żadnego odnotowania. W ślad za książką Sulika i Czaykowskiego „Polacy w Wielkiej Brytanii”* nie ukazały się inne opracowania o polskiej emigracji w innych krajach. Na temat naszego życia codziennego, przemian w zwyczajach i mentalności i tp. spraw ważnych dla socjologa, nie ma u nas prawie nic, poza nielicznymi wzmiankami czy scenkami w książkach Danuty Mostwin, Czesława Dobka, Janusza Kowalewskiego, Napoleona Sądka, czy niedocenianego *Tylonu* Karola Zbyszewskiego. Poniższy szkic z rodzaju „Socjologia na gorąco” jest próbą podsumowania życia emigracji polskiej w Australii. Dział „Kultury” *Sprawy i troski* — trochę groch z kapustą na różne tematy emigracyjne — jest chyba jedyną rubryką, gdzie podobne sprawy mogły i mogą ujrzeć światło dzienne, gdyż inne pisma na ogół nie mają na nie miejsca.

Australia, jak wiadomo, posiada wysoki standard życiowy, mimo nieuniknionych chwilami pogorszeń sytuacji ekonomicznej, co związane jest zwykle z sytuacją polityczną (wojna w Wietnamie, konanie Wspólnoty Brytyjskiej i tp.). Ale że robocizna jest tu droga, zaś kraj wyrósł z tradycji pionierskich — wszystkie kobiety pracują; nawet żony australijskich lekarzy, adwokatów i ministrów nie posiadają służby domowej, chyba tylko dochodzącą.

Na początku naszej tu emigracji widziało się wiele rowerów, które dziś prawie znikły, wyparte przez samochody, które w tym

rozległym kraju są artykułem pierwszej potrzeby. Przynajmniej 80 procent Polonii Australijskiej posiada auta, niektórzy z nas po dwa: mniejsze dla żony, albo — drugie na niedzielę. Dziś emigrant do hotelu na piwo, albo do sklepu po prowiant, a nawet po gazetę — choćby do sklepu było tylko 200 metrów — jedzie samochodem. Każde polskie nabożeństwo wygląda jak zjazd gwiazdzisty w Monaco.

Polacy mają, jak wiemy, obsesję domów (i własnych i organizacyjnych) ale jeszcze gorszą obsesję stanowi urządzenie własnego domu według własnych tęsknot i własnego poczucia piękna. Niektóre *gadgets*, do których zresztą Polki bardzo powoli się przyzwyczajają, są rodzajem symbolu, *statusu*. Na początku np. nie bardzo wierzono że maszyna do prania może dobrze uprać i tp. Symbolem dla prostych dorobkiewiczów są *blinds* na oknach, okropne kapy na łóżka, importowane z Włoch (na nich i na pierzynach — w tym klimacie — polskie firmy importowe robią majątek). Szczególnie lubują się w nich Polacy pochodzący ze wsi, ze wschodnich kresów przedwojennej Polski. Oczywiście w każdym takim domu, gdzie lepsze meble są nieużywane ale przykryte pokrowcami muszą być figurki, pieski, kotki, aniołki, ptaszki, kaktusy i plastikowe kwiaty. Stoją one głównie na schodach wiodących na piętro; a o ile piętra nie ma, to „dekorują” salony i wszelkiego rodzaju półki. Domy z pięterkiem, popularne są u byłych górników z Westfalii, Francji, oraz wśród ludzi co przeszli przez Anglię i Niemcy. Nieraz po trzeźwemu trudno przejść przez takie zawalone figurkami schody, a co dopiero pod gazem, co Polakom się zdarza często w każdej szerokości geograficznej. Podczas objazdu Australii widziałem setki tysięcy takich figurek. Półek z książkami widzi się za to bardzo mało.

Innym symbolem *statusu* są obrazy, oczywiście okropne bohomy-reprodukcje i landszafty. *Bestseller'*ami (informacja z polskich firm tym artykułem handlujących) są tu „Ostatnia wieczerza”, „Jelenie u wodopoju” oraz nie wiadomo co: św. Cyncylia, czy św. Pornografia, bo choć aureola jest jak należy, to jest i dekolt na 24 osoby. Natomiast nie widzi się tego, co inteligenci uważają za kwintesencję ludowości: chat ze strzechami i wozów z końmi. Ludzie nie chcą tego, to im przypomina o nędzy w starym kraju. Nikt z naszej emigracji — a tak jest i wśród innych narodowości — nikt nie pochodzi z Babich Dołów czy z Kłaja, a każdy z Warszawy, albo ze Lwowa, Coraz częściej — trzeba przyznać — pojawiają się polskie obrazy ze słomy, kasetki i kilimy (Prodimes, albo Cepelia). Poza wódką — tego *bestseller'a* nie nie pobije — książkami i płytami gramofonowymi te wyroby przemysłu rzekomo ludowego dopełniają listy rzeczy, które zaspakajają naszą tęsknotę. Z książek *bestsellere'*em jest nie Biblia, nie Pan Tadeusz, nie Trylogia i nie Wiech, a książka kucharska (Straszewicz kazał się kłaniać!).

W każdej sypialni wisi obraz święty i krzyż, co nawet nie często zdarza się u najgorliwszych dewotek irlandzkich. Ale wy-

ciąganie stąd wniosków, że jesteśmy na wskroś katolicy, byłoby czymś pochopnym. Uważamy z przyzwyczajenia, że kościół to ostoja polskości, więc w niedzielę, nawet żeby to było najgorętsze lato w Kwinslandzie, Polacy suną do kościoła autem, wyniedzielnieni i choć upał, w krawatach, najczęściej w nowych, ale według starej mody szytych dwurzędówkach. Panie, w odróżnieniu od Australijek, nie noszą nakrycia głowy (chyba że nowy kapelus, aby sąsiadki szlag trafił). Oburzało to bardzo Australijczyków, aż się przyzwyczaili. Podobnie nie mogli zrozumieć, że grecko-katolicy księża mogli mieć żony. Ponieważ i klerowi to się nie podobało, powoli większość żonatych księży ukraińskich wraz z popadiami wysłano do Brazylii, a tu przybyli księża kawalerowie.

Kościół dla Polaków to nie zawsze potrzeba religijna, a raczej forma manifestowania wspólnoty, no i rewia mody. Ponadto pogaduszki przed kościołem za kościołem, a po kościele przed kościołem, zastępują tu kluby towarzyskie i takież życie. Koło kościoła można się dowiedzieć komu żona uciekła, kto choruje, kto umarł (charakterystyczne i coraz częstsze nekrologi ukazują się jak wszystko w naszej prowincjonalnej prasie emigracyjnej z dużym opóźnieniem), kto wziął nowy byznes, a kto splajtował, lub jedzie na ryby. Tu można pochwalić się nowym wozem, tu można z ukrywaną przyjemnością zobaczyć że Kksiński zdziaźniał, bo o sobie nie chcemy tego przyjmować do wiadomości. Przed kościołem rozdaje się również wszelkiego rodzaju ulotki i prospekty, ściągają składki członkowskie (bo kiedy indziej nikt się z tym nie kwapi, a tu wstyd, żeby nas znajomi nie obszcekali), bo gdzież można tyle rodactwa naraz spotkać jak nie przed kościołem? Chyba na meczu Polonii, albo na akademii, jako że z urządzania akademii żadne już kataklizmy nas nie wyleczą. Zawsze długie i prawie zawsze źle przygotowane, a jednak cieszą się powodzeniem, bo wypada na nie pójść. Czyli że wśród starszego pokolenia ostoją polskości jest kościół, polska wódka i polska kuchnia. No i te akademie. Kościół podtrzymuje tradycję, bo z ambony można się dowiedzieć o wszystkich akademiach i zabawach, można się dowiedzieć kiedy będą polskie Gorzkie Żale, czy święcenie święconego, czy też procesja naokoło kościoła, jako że tych trzech rzeczy Australijczycy nie znają. Oczywiście w kościele są zbiórki na tace, a zbiorów tych jest więcej niż u Australijczyków, bo miejscowi proboszczowie australijscy za wynajem kościoła każą sobie płacić i niechętnym na ogół okiem patrzą na emigranckie msze i emigranckie duchowieństwo, gdyż woleliby owe datki załapać bezpośrednio na swą tacę. Zaproszenie polskiego księdza do swego domu na obiad po mszy jest ciągle dla wielu ludzi, tzw. prostych, zaszczytem: ludzie potrzebują jakiegoś wywyższenia. Tak samo siedzenie koło księdza na akademii jest olbrzymim honorem, o ile oczywiście polski ksiądz jest na sali i nie pokłócił się z organizacją urządzającą akademię, bo wtedy „spuści” ich z ambony jako komunistów, choćby ufundowali właśnie ołtarz czy witraż z okazji Tysiąclecia. Wpływ księży

na wymienionych już tzw. ludzi prostych jest ogromny. Wzywa się ich z prośbą o radę w wielu sprawach gospodarskich, np. jakim kolorem pomalować dom, albo jakiej marki kupić wóz. Są wypadki że ksiądz jest prezesem klubu sportowego, że sprowadza żony dla swych podopiecznych, że spełnia rolę agenta mieszkaniowego, adwokata, tłumacza i jest tym, który ma „chodzić” i który coś załatwi.

Ksiądz ma autorytet. Czasem go nadużywa, czasem nie umie użyć, czasem miesza się w nieswoje sprawy, ale że wyprawi nas na drugi świat i dostarczy skondensowanej polskości w formie opłatka — więc wiele mu się wybaczają. Tym bardziej że jego praca, wbrew temu co się sądzi i w formie kawałów opowiada — wcale nie jest lekka. Hierarchia australijska oficjalnie pomaga, ale od strony kuchni nie zawsze wszystko tak znowu wygląda różowo. Gdyby tu nie było, teraz czy przedtem, takich księży jak Sojka, Trzeciak, Dziecioł, Chrostowski czy Janus (żeby tylko ich wspomnieć) cała Polonia Australijska wyglądałaby dziś dużo gorzej. Dobry polski ksiądz więcej robi dla polskości niż wszystkie organizacje i Domy Polskie do kupy wzięte. Niestety są i inni, ale tych z miłosierdzia nie wyliczam po nazwisku. Nie było dotąd Zjazdu Rady Naczelnej, ażeby na nim nie wychodziła sprawa jakiegoś zatargu władzy świeckiej z kościelną, ale te sprawy, jak to u nas zawsze, tuszuje się i na łamy prasy nie wychodzą. Oczywiście wina nie zawsze jest po stronie kleru — jak chcą tego zacierzwieni społecznicy, ale też nie jest wyłącznie po stronie społeczników, jak chcą w takich wypadkach zacierzwieni księża. Nasz ogół ma już taką mentalność, że każdą krytykę księdza bierze się za atak na Religię, Boga, Ojczyznę i tp. Księża oczywiście swe owieczki w tym przekonaniu utrzymują. Sam kiedyś w tutejszej gazecie skrytykowałem pewnego księdza (choć na innych polach miał niewątpliwie zasługi) za jego napuszony styl i błędy gramatyczne w tym co pisał. Co to było wtedy, zupełnie *Clochemerle*: różne Dzwonki Niedzielne pisały z ogromnym oburzeniem, że atakuję Boga, że to był brutalny atak na polskiego kapłana, znajomi odwracali się ode mnie na ulicy, a nawet pewna pani nie chciała mi przepisywać powieści, bo ja wyrodek. Widocznie moja śp. Matka miała rację, gdyż przed wyjazdem na wojnę dała mi trzy cenne rady: „Jędrus — mówią w łzach rozstania — dam ci trzy rady: 1) Nie zarywaj się nigdy z księżmi i Żydami, bo nie wygrasz; 2) Nie zadawaj się z kobietami lekkich obyczajów i 3) Nie pij wody po śliwkach”. Istotnie miałem kiedyś okazję stwierdzić, po wypiciu wody po śliwkach, jak rozropnie to były przestrogi.

Żeby już skończyć ze sprawami Kościoła wspomnę jeszcze że Polacy wprowadzili do tego kraju Pasterkę. I że w związku z niedawnym wprowadzeniem liturgii w językach narodowych — to ciągle wstawanie w kościele i siadanie i inny szyk nabożeństwa — zaczynają zanikać śpiewy w kościele; a Polacy tak lubili i lubią śpiewać. Toteż ostatnio coraz częściej na zabawach i balach polskich śpiewa się nad ranem nasz niezawodny, ale

zbyt zawodzący przebój narodowy „Góralu, czy ci nie żal”, czy inne „Czerwone maki”. Bo Polak jak nie pośpiewa w kupie, to smutny i czegoś mu brak.

Drugą ostoją polskości jest polska kuchnia. A że nie ma polskiej kuchni bez takich rzeczy jak chrzan, szczaw i koperek — o jakie tu trudno — więc przy wielu domach jest ogródek, a w nim pieczołowicie hoduje się te warzywa. Zresztą wiele polskich dań przyjmuje się u Australijczyków, choć z początku się na nie krzywili. Głównym posiłkiem dnia jest kolacja, gdy głowa domu, albo też i matka, wracają z pracy. Oczywiście na codzień je się byle co, zależnie od czasu, możliwości dostania pewnych artykułów i umiowań gastronomicznych mamy, bo ona nie tylko gotuje, ale i najczęściej rządzi w domu. Za to w niedziele i święta, a głównie na imieniny i wesela, urządza się po prostu festiwal polskiego żarcia. Wtedy wszystko musi być polskie. Na obiady niedzielne do rodzin zazwyczaj zaprasza się (albo sami się zapraszają) polskich kawalerów i samotnych. Ponieważ na ogół pieczenie ciast zanika, bo albo się nie ma na to czasu, albo pani domu nie bardzo w tym wygimnastykowana, albo też można — szczególnie na Południu — w żydowskich najczęściej cukierniach dostać już coś jadalnego i gotowego; przeto pani, która po domowemu dalej piecze ciasta, jest zazwyczaj osobą bardzo popularną, zwłaszcza na odludziu, czy w mniejszych skupiskach. Sam widziałem jak do pani Wilczyńskiej w Brisbane ciągnęły na *week-end* rzesze pieczeniarki, by opchnąć polskiego pączka, ciastka drożdżowe, lub chrusty. Robiła tego co niedzielę po kilka, lub kilkanaście tuzinów z każdego gatunku, a bractwo to wsuwało, wysiliwszy wprzód inwencję tylko w tym kierunku, by jakoś usprawiedliwić swe przyjście akurat wtedy, gdy te ciastka były. Przy polskich ciastkach najchętniej obrabia się bliźnich. Telewizja daje wprawdzie „kulturalną” (ogłoszenia, westerny i morderstwa) rozrywkę, i choć wszędzie jest tu wybór czterech stacji, czego nawet w Paryżu nie ma, to plotki są najpopularniejszą formą rozrywki. Bo przy oglądaniu telewizji trzeba milczeć, a Polki — mówiąc stylem Wiecha — milczeć *nie lubię*ć.

Na południu Wiktorii jest sporo rydów, maślaków i nawet prawdziwków. Australijczycy nie ruszą ich za Boga, bo są przekonani, że to trucizna, ale Polacy na jesieni w soboty po deszczu udają się całymi zmotoryzowanymi dywizjonami do Sassafra, na Mt. Macedon, czy do Plenty, albo Research, o ile oczywiście nie ubiegną ich w tym grzybożerni Włosi, czy Grecy. Rydze potem się marynuje i trzyma w słoikach na godną okazję, czasem pośle się komuś słoik frachtem lotniczym do innego stanu, gdzie rydze są tylko elementem snów gastronomicznych latarników. Ileż to razy musiano „w sezonie” nagle odwołać polskie zebrania, gdyż okazało się, że „są grzyby”.

Kiedyś emigranta można było poznać po tecze; Australijczycy nosili akuszerskie walizki, z tym szli do pracy i na zakupy. Ale teraz teczki noszą prawie wszyscy, szczególnie urzędnicy i wolne zawody.

Dawniej na zabawach — bo jakże by ta nasza tradycja zaginęła? — nieraz bractwo nożami się pokrajało, lub pobiło, lecz że latka leca, ikra wietrzeje i wszyscy stajemy się w miarę obrastania forsą i tłuszczem godniejsi, ten zwyczaj na szczęście już zanikł. Emigranci w tabeli przestępczości są poza gospodarzami tego kraju (ulubiony i straszny sposób walki rozbitą butelką po piwie), zaś Polacy są naprawdę na końcu tej tabeli. O ile prasa australijska umyślnie podkreśla zbrodnie popełnione przez emigrantów, to nasza znów je skwapliwie pomija. Że tam jakaś Polka mężowi podsypała arseniku do sandwiczów, całe Sydney o tym gadało! Zaś sydneyjskie pismo polskie w ogóle o tym nie wspomniało. Nie wiem czy to dobra polityka.

Zwyczajem australijskim cała rodzina z gronem znajomych idzie raz na tydzień do kina. (Oczywiście, gdyby ktoś z rodaków z Australii chciał prostować, że Chciuk się myli, bo np. jego rodzina nie chodzi do kina częściej niż raz na miesiąc — przypominam, że piszę szkic o ogólnych zwyczajach i zmianach: sam chodzę do kina jeszcze rzadziej). Wyjeżdża się często na pikniki, by poznać kraj, krajobrazowo naprawdę piękny i niezwykły. Inteligencja gra w brydża starym polskim zapisem, ludzie prostsi łupią w tysiąca i w 66, a czasem jedni i drudzy w pokera. Gromnice wyszły już z użycia. Na początku było sporo kłopotów, by wytłumaczyć ludziom, że nie warto nieboszczyków chować w najlepszych ubraniach, zresztą prawo australijskie tego teraz zabrania. Trudno było przekonać, że nie jest brakiem szacunku wobec Zmarłego, jeśli się go chowa zawiniętego w papier, lub w zasłony z najtańszej tkaniny. W trumnie nie potrzebuje on smokingu i biżuterii. Stąd wyrosła tradycja, że rzeczy po zmarłych wysyła się rodzinom w Polsce. Często listy kondolencyjne przypominają nam o tym, byśmy nie zapomnieli, a czynią to w sposób nie zawsze taktowny. Typowo polski zwyczaj styp utrzymuje się — robi się je w domu, odwrotnie niż wesela, urządzone albo w Domach Polskich, albo w polskich restauracjach. Wesele na 200 osób nie jest niczym nadzwyczajnym; zasada *zastaw się a postaw się* dalej obowiązuje w pewnych okolicznościach, tym bardziej, że goście obowiązani są przynieść niewielki prezent, a więc czasem nawet huczne wesele się opłaca. Że nowożeńcy dostaną w prezencie kilka podobnych serwisów, albo wazonów — nikt się tym nie przejmuje: przydadzą się jak znalazł i z okazji innego wesela, czy imienin da się je komuś innemu, trzeba tylko pamiętać od kogo co się dostało. Znam wypadek, że pewien fajansowy wazon przeszedłszy przez sześć domów, wrócił do początkowego nabywcy. Obfotografowanie całego ślubu i wesela i to jak najdokładniej — to rzecz obowiązkowa.

Notuję tu ciekawostkę obyczajową: w Południowej Australii na weselach australijskich tradycyjnym tańcem jest... polonez. Jest to ślad po pierwszych emigrantach polskich na tym kontynencie, sprzed stu dwudziestu lat. Dużo było wtedy wśród nich wioskowych grajków i dorabiali sobie graniem na weselach. Dziś

Australijczycy nawet nie zdają sobie sprawy skąd u nich ten polonez. Mój brat kilka lat temu z nudów i za popijochę grywał na takich weselach, stąd ta wiadomość; podczas swego objazdu Australii sam się przekonałem, że to prawda.

Dla Żydów polskich poza ślubami i pogrzebami największą okazją towarzyską i prestiżową są „barmycwy”: wtedy panie ubierają się w futra i etole nawet żeby był upał na dworze — bo trzeba się pokazać, a przyjęcia odbywają się po najdroższych hotelach i lokalach recepcyjnych. O ile rodzice konfirmantów są wierzący, to lokal musi mieć kosztowną kuchnię. Jest takich lokali w Melbourne przynajmniej osiem. Polscy Żydzi są tu arystokracją wśród Żydostwa; w Melbourne i w Sydney jest ich około 20 tysięcy; poza tymi miastami prawie ich nie ma. O Żydach polskich warto by kiedyś osobno napisać obszerniej: tego wczorajszego kolorytu już nie ma gdzie indziej!

Mówiąc o zwyczajach należy pamiętać, że najlepiej zwyczaje Starego Kraju zachowuje emigracja wówczas, o ile z danej okolicy wyjeżdża razem duża grupa ludności i w nowym kraju osiedla się zwarta grupa, po sąsiedzku. Polonia Australijska — zlewki żołniersko-dipisowsko-kazachstańsko-inteligenckie z różnych krajów, tudzież nowoprzybyli z Polski Ludowej — nie miała ani jednej dużej grupy która by odpowiadała tym warunkom. Zresztą rząd australijski występował przeciw tworzeniu się osiedli narodowych. Jeżeli pomimo tego zdarzają się osady, czy przedmieścia, albo ulice bardziej przez Polaków ulubione, lub wykupione w czasie powstawania nowych dzielnic, to nie brak tam też i emigrantów innych narodowości i samych Australijczyków. Czyli że znowu nie ma korzystnych warunków do zachowania dawnych zwyczajów.

Ale pomimo tego jest zadziwiające, jak wiele zwyczajów i obyczajów oraz dawnych nawyków zachowano pomimo rozproszenia i tak bardzo odmiennych warunków życia w tym dziwnym kraju. Ciekawe jest również obserwowanie jak nowe zwyczaje — i jakie? — wzięte od sąsiadów australijskich zaczynają się wśród nas przyjmować.

Przed wszystkim Polska Wigilia. Wigilia to ciągle u nas największe święto w roku, choć australijscy katolicy, wywodzący się przeważnie z Irlandczyków, wigilii nie obchodzą. To symbol! Nawet przez cały rok źli katolicy i skangurzeni Polacy w tym okresie nabierają jakiejś biało-czerwonej godności, mimo tego, że upały i wakacje, i z tym związane wyjazdy na plażę i urlop — nie pomagają w godnym świętowaniu. Wiem to po sobie: od kilku lat na wigilię przychodzi do mnie kilkunastu przyjaciół (w tym połowa Żydów — że nawet raz Lolo zalawczy się i wycelowawszy dwornie wszystkim paniom rączki, obtarłszy spoczone pijackie czoło, zawołał: Jędreku skądeś tyle Żydów nabierał?) Nie wszędzie w Australii można dostać choinkę, ale byle sośni-na, byle coś iglastego a zielonego, wystarczy, by dzieciom sprawić radość. Starsi i bezdzietni nie zawsze myślą o choince, ale i tu są wyjątki, bo można dostać sztuczne komunistyczne choinki

z Polski. Lecz barszczyk z uszkami i rybka (mrożona — bo tak wygodniej, a poza tym karp tu zabroniony, nie wolno go hodować), często *kutia*, u tych ze Wschodu, kapusta z grzybami i kompot muszą być i już na tygodnie naprzód zaczyna się kupować u pp. Goldmanów i Birnerów różne grzybki suszone i mak, w obawie że na święta może ich braknąć. No i opłatek, i konieczność z Polski. Każdy ksiądz ma oczywiście opłatek z Polski, ma też kilka grudek ziemi rzekomo z Polski i sypie tę aptekarską szczyptę na trumnę, za co oczywiście wypada go zaprosić na stypę i wepchnąć mu parę funtów (czy teraz dolarów po zmianie waluty) w łapkę, bo znalazł się jak oczekiwano. I *everybody is happy!*

Ciekawe wszakże, że choć często na urodzinach, imieninach i pożegnaniach śpiewamy już angielskie „Happy Birthday to you” (ale NAPRZÓD „Sto lat”) i „For he is jolly good fellow”, (a zaraz potem leci „Niech mu gwiazda pomyślności”) — to jednak na Boże Narodzenie śpiewa się tylko polskie kolędy. Angielskie, czy australijskie, których jest zaledwie kilka i kudy im do naszych owszem nastawi się z płyty, ale nikt by się nie babrał ze śpiewaniem tego. Jeszcze czasem może się je pomruć, gdyż nasza diatwa polska, nasz młody las, już po polsku ni-du-du, ale nawet nie mówiące dobrze po polsku dzieci rozumieją, że polskie kolędy są najładniejsze i najbogatsze. W domach mieszanych małżeństw polsko-niemieckich, bo sporo byłych dipisów, a zwłaszcza byłych wartowników, którzy mieli pijeksy (przydziały PX) ożeniło się z Niemkami — śpiewa się *Stille Nacht*. I koniec! Reszta to polskie kolędy. Oczywiście gdy w domu mama górą, a tata łajza — to może być inaczej. Ale też sam słyszałem jak pani Wardzyńska, Niemka z Heilbronn, nauczona przez męża po polsku, mówiła: „Co te ichnie australijskie *carols!* Nie ma jak nasze. A jakie ciastka były w Warszawie, u nas u Gajewskiego!” Choć biedactwo w Warszawie nigdy nie było.

Warto też dodać, że pasterka prawie nie była znana w Australii i Polacy ją tu wprowadzili. Nieznany tu zupełnie zwyczaj chodzenia z gwiazdą i kolędowanie pod oknami, jakkolwiek utrzymywany jest czasem na przedmieściach o przewadze polskiej (Sunshine i Ottoway), na ogół się nie przyjmuje. Za gorąco: bo tu wtedy upały, no i nieraz zgrzani kolędnicy, chłodzący się obficie zimnym piwem, mieli niejakie trudności z policją australijską (a i tam są już Polacy), która nie rozumie naszych pięknych tradycji i nie wie że facet na święta musi być wlny, gdyż inaczej święta nieważne. Prezenty oczywiście składa się pod choinką, nie do anglosaskiej pończochy.

Pisanki wielkanocne maluje się w wielu domach, szczególnie tam gdzie są dzieci. Święcenia „Święconego” przed kościołami tu nie ma, toteż polscy księża odwiedzają domy rodaków na życzenie, przy okazji wtedy załapią hojniejszą ofiarę, podobnie jak w czasie „kolędy”. Jedynie w większych skupiskach, albo w polskich parafiach (są takie tylko dwie na całą Australię — Ottoway

i Bowen Hill) odbywa się święcone przed kościołem, lecz ludzie ciągną tam raczej autami, gdyż wstydziłoby się wozić tramwajem czy pociągami koszyki, nie chcąc kłuć w oczy aż tak inną innością. Śmigus zupełnie zanika, jeszcze najwyżej jaki kawaler w zalotach, albo pijak przypomni go sobie. Na Wielkanoc mało kto posyła znajomym kartki świąteczne, natomiast na Boże Narodzenie to istny szaf: każdy wysyła gdzie tylko może, albo gdzie tylko nie mógłby nie wysłać. Czyni to każdy, nie wyłączając Żydów. Potem te kartki stawia się zwyczajem anglosaskim na kominku w salonie, albo wieszka na sznurku od ściany do ściany i im kto więcej takich życzeń dostał, tym wyższy jest jego *standing*. Zwykle głowa domu układa listę komu wysłać należy i od kogo się dostało. Tok rozmowienia jest następujący: ja ci posłałem w tym roku, a ty mnie nie, wobec tego na drugi rok dostaniesz guzik a nie życzenia.

Wprawdzie co roku w okresie świąt ktoś w którejś z gazet przypomina, że zamiast lekko wydawać ciężkie dolary na głupie kartki, lepiej byłoby złożyć coś na sieroty polskie, czy Polską Macierz Szkolną, albo na harcerstwo — ale zazwyczaj apel ukazuje się za późno, by to mogło mieć jakikolwiek oddźwięk, poza tym nasi redaktorzy też wysyłają takie życzenia świąteczne współpracownikom (by znieczulić ich złość, że im nie płacą honorariów). I zwykle tylko kilka osób złoży jakiś datek „zamiast życzeń świątecznych”, na pewno mniejszy niż koszt kupna i wysyłki kartek. I tak się składa, że te datki na jakiś cel — zamiast życzeń — pochodzą najczęściej od skąpców, przybierających się w szaty społeczne, by się w ten sposób wykić od większego wydatku... Inna rzecz, że czasem ci ludzie muszą i tak te kartki w końcu wysłać. Znam wypadki, że niektórzy głodni „statusu” sami sobie wysyłają kartki anonimowo, byle móc wykazać się przed dziećmi, że papa jest znany, albo też ładniejsze zesłoroczne kartki stawiają na nowo na kominku, o ile oczywiście nie ma na nich daty.

Ponieważ koniec roku szkolnego przypada tu w grudniu — tradycją w polskich szkołkach jest urządzenie św. Mikołaja. Wtedy różne związki Polaków i kombatanckie, a także firmy polskie (by uciszyć wyrzuty sumienia, że nieźle z rodaków żyją) — posyłają dzieciom szkolnym upominki, za to że bohatercko się męczą z trudną mową ojców!

Wyrównanie różnic ubraniowych pomiędzy miastem i wsią następuje już w Polsce, tym bardziej tu. Jedynie starsze kobiety, pochodzące ze wsi lub z małych miasteczek w Polsce, noszą jeszcze chustki na głowie. Dziewczyna z najodleglejszej prowincji, z jakiejś Pimby czy Tennant Creek i elegantka z Collins St. w Melbourne mogą nawzajem pokazać się w swoich środowiskach i nigdzie nikt nie dostrzeże różnicy. Pochodzenie ze wsi można dostrzec tylko, jeśli przysłuchujemy się polszczyźnie starszych, bo u młodszych różnic i tak nie ma; wszystkie dzieci mówią *psynieś, posedł, cokolada*, nawet jeżeli już po angielsku mówią zupełnie biegle i mogłyby wymówić *czokolada*.

Zwyczaje dożyneków zupełnie zanikły. Nie ma dziś wsi w dawnej formie, nie ma dworu i pana, bo każdy tu równy, jest ponadto inny klimat i zbiory, nieraz kilka razy do roku, przypadają w różnych okresach, nie ma zwłaszcza strojów ludowych — więc nie może być i dożyneków. Próbowano raz w Zachodniej Wiktorii je reaktywować raczej dla zabawy i gwoli nauki dla dzieci. Zjechało się kilku farmerów polskich i drwali spod Dartmoor, ale skończyło się na wypiciu kilku beczek piwa. A żony i córki farmerów pojechały samochodem do *General Store* na lody.

Pomimo przejmowania pewnych zwyczajów australijskich (*Christmas Party* nawet w polskich firmach, snobizowanie się Polaków, że piwo z tego stanu jest najlepsze, granie w konie i pieski i tp.) ciągle obchodzimy raczej imieniny niż urodziny, jak to robią gospodarze. A że inność pociąga — szczególnie zaś w tym kraju, który nie ma własnej tradycji i folkloru, a stuletni dom uważany jest za zabytek historyczny — przeto świętowanie imienin nawet wywołuje na Australijczykach dobre wrazenie, a naszym domorośłym Glogerom i Kolbergom przy którejś tam *pajncie* piwa daje okazję do tłumaczenia tych niuansów Kangurum obojga płci, albo emigrantom innych narodowości. Co cwańsze dzieci i panie domagają się świętowania obu okazji, ze względu na prezenty otrzymywane z jednej i drugiej okazji. Panowie, mężowie i ojcowie, obchodzą tylko urodziny. Tak taniej, ostatecznie oni za to płacą. Żydzi obchodzą tylko urodziny.

Jednak nie przyjmujemy jakoś od Australijczyków ich sposobu jedzenia, nie mówię już o samej kuchni, bo to jasne. Ale chodzi o modłę, rytuał jedzenia o zachowanie się przy stole. Australijczycy ładnie nakrywają stoły i ładnie jedzą, choćby na talerzu mieli świństwo. Nie bierzemy też od nich ich bezpośredniości i *fair play*. Natomiast przyjmujemy od nich zwyczaj, że życie rodzinne koncentruje się w kuchni, gdzie się je i przyjmuje mniej wybitnych gości, albo starych przyjaciół. Ma tu także wpływ fakt, że oszczędza się na sprzątanii w salonie, no i meble nie niszczą się tak szybko.

Ponieważ w pracy raczą nas przedpołudniem i popołudniem herbatą — nauczyliśmy się pić herbatę i przyjmować gości nieraz tylko herbatą. Zwyczajem australijskim nauczyliśmy się w niedzielę (albo po kościele, albo gdy się nie idzie do kościoła) wkładać najgorsze łachy i malować dom czy ścinać trawę w ogródku. Na pewno żadna inna Polonia nie mieszka w tyłu domach zbudowanych przez siebie samą, nie ma tyłu mebli własnej roboty i nie maluje mieszkań i domów własnoręcznie. Bo każdy tu jest *handyman*. Nawet ja sam, absolutny antytalent majsterkowski, mieszkam w domu wymalowanym przez siebie, żonę i przyjaciół. Ja zresztą malowałem najmniej, raczej robiłem kawę i otwierałem butelki. Pomoc sąsiedzka przy budowaniu domu i malowaniu go jest czymś tak normalnym wśród Polaków w Australii, że nowoprzybyli nie potrafią tego nieraz zrozumieć.

Wprawdzie spotkałem w Tasmanii i w Zachodniej Australii,

wypadki, że ojciec siedmioletniemu synowi urządził po słowiańsku podstrzyżyny i istotnie nie pozwolił chłopcu wcześniej ścinać włosów, ale sądzę, że to było raczej przemyślane przygotowanie wyjątkowej okazji do wyjątkowej popijawy, niż przywiązanie do tradycji.

W pewnym sensie utrzymywaniem tradycji są różne „Sledziki” i „Andrzejki”, oraz „Bale Świętojańskie” urządzane przez Koło Inżynierów, czy przez kombatantów różnej maści (Lotnicy, Karpatczycy, Akowcy i SPK). No i „Sylwestry”. W roku 1965 było w Melbourne 15 (piętnaście) różnych bali sylwestrowych, urządzanych przez różne organizacje polskie, nie licząc „Sylwestrów” po domach prywatnych.

Wyjazdy do Europy, czy naokoło świata na urlop, acz coraz częstsze skoro bractwo się dorabia, ciągle działają na wyobraźnię, bo daleko stąd dokądkolwiek. Urządza się wtedy tzw. *Send off parties*. Zwykle przyjęcie urządzają przyjaciele dla odjeżdżającego: każdy przyniesie coś do picia i jedzenia, prezenty zaś daje się indywidualnie. A statek obwieszony jest wtedy kolorowymi banderolami jak wiecha na dachu.

Gdy syn lub córka kończy 21 lat, urządza się *Coming of age party*. Nowe domy oblewa się na tzw. *Home warming parties*, co jest rodzajem *nowosielja*. Wielu ludzi, szczególnie starszych i ze wsi, prosi jeszcze księdza o poświęcenia domu, czy sklepu. Domy Polskie, należące do organizacji, muszą być poświęcone przez księdza, żeby nie wiem co. Rocznicę ślubu często zwyczajem miejscowym, ogłasza się w gazetach, tak samo zaręczyny, ale tylko w wypadku, gdy jedna ze stron nie jest Polakiem. Jest to ukłon wobec drugiej australijskiej strony. W polskiej prasie takich ogłoszeń jeszcze nie ma. W polskiej są nekrologi i zupełna plaga ogłoszeń matrymonialnych (istnieją tu kluby matrymonialne „Szepczące serce”, „Amor” i „Przyjaźń”, zaś w Warszawie działa na Australię głównie „Syrenka” i „Warszawa” — niektóre agencje tego rodzaju ogłaszają się wierszykami o tak częstochowskich rymach, że można boki zrywać!) Ponieważ nekrologi ukazują się ze znacznym opóźnieniem, o śmierci znajomego dowiadują się Polacy pocztą pantoflową, która tu działa z szybkością przekraczającą szybkość dźwięku. O zaręczynach i ślubach dowiadujemy się z zaproszeń. Ponieważ polskich drukarni w całej Australii jest tylko cztery — zaproszenia są kupowane, a więc po angielsku, nawet jeśli ślub jest czysto polski. Listy kondolencyjne pisane są odręcznie po polsku, albo kupowane — drukowane po angielsku.

Tytułomania i całowanie rączek zanika, ale bardzo powoli. Tym bardziej, że na to drugie zaczynają się snobować nasi gospodarze. Całowanie rączek przysporzyło Polakom więcej dobrego imienia niż Chopin.

Reasumując te uwagi, o ile można je zreasumować w jakikolwiek sposób, można zaobserwować pewien charakterystyczny rys: chociaż tzw. inteligencja prędzej przyjmuje zwyczaje miejscowe, to jednak dłużej zachowuje zwyczaje polskie — nie tyle

z przywiązania do tradycji (bo tu obserwują ją tacy, którzy by tego w Polsce nie robili), ile ze snobizmu, by wobec swych australijskich przyjaciół podkreślić swą inność. Po okresie pierwszego nalotu ksenofobii, w minionych latach, emigranci stają się nawet modni — więc chcemy im zaimponować wieloma stuleciami naszej historii i folkloru. A zatem jeżeli na naszych zabawach, we własnym gronie, gramy ciągle „Tango Milonga” czy „Umówiłem się z nią na dziewiątą” i tańczymy wiedeńskie walczyki, a czasem dopiero gdy bractwo się rozgrzeje wyskakują kujawiaki i oberki — to niech tylko na zabawie zjawi się ktoś znaczny z Australijczyków, a już wodzirej zasuwa poloneza i wszyscy drepczą, czując za sobą z dumą tysiąclecie historii i tradycji — choć prawdę powiedziawszy poza kilkoma doktorami co żydowskie nazwiska zmienili sobie na angielskie i poza młodzieżą z zespołów tanecznych — nikt już poloneza prawidłowo tańczyć nie umie.

Andrzej CHCIUK

GODZINA DZIKIEJ KACZKI

Mała antologia poezji japońskiej
Wybrał, przełożył i opatrzył przedmową

ALEKSANDER JANTA

Wydanie bibliofilskie OFICYNY STANISŁAWA GLIWY

w ograniczonym nakładzie 444 egz.

Druk dwubarwny

oryginalne drzeworyty St. Gliwy

Cena wraz z przesyłką w specjalnym opakowaniu:

— w Europie: £ 2.02.00; F. 30,00; Fr.S. 26,00

— w USA, Kanadzie i innych krajach Ameryki — \$ USA 6,50.

Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować

Do autora:

Aleksander JANTA

88-28, 43rd Ave.

ELMHURST, N.Y. 11373

U.S.A.

lub do Oficyny St. GLIWY

52, Porters Grande Ave.,

SOUTHEND-on-SEA, Essex,

England.

Kraj

Coś do śmiechu

Poczucie humoru w Polsce jest czynnikiem niezwykle ważnym i to chyba temu przede wszystkim zawdzięcza swą pewną popularność Cyrankiewicz, którego przemówienia nie są najnudniejsze. Gorzej jeżeli zaczyna mówić poważnie, bo wtedy zaczyna być śmieszny, zwłaszcza gdy wspomina o obcinaniu rąk wrogom Polski Ludowej, czego mu Poznań do dziś nie zapomniał.

Ale poza tym w Polsce może być wesoło. Galicyjscy radcowie siedzący nad kawą i rożkami u Noworolskiego przestali być radcami i ten tytuł już na nikim wrażenia żadnego nie robi, skoro w każdym biurze radców jest na tuziny. Kiedyś, w zamierzonych czasach, przedwojennych radca MSZ to był ktoś, a dziś właściwie najmniejszy referent nosi tytuł starszego radcy: skutki inflacji i w związku z tym konieczności podniesienia pensji, co związane jest z tytułem. Tytuł jest tak nieadekwatny do spełnianych czynności, że tytułując kogoś w ten sposób, można być podejrzanym o kpiny i dostać w ucho.

Mania skrótów, różnych PUPiKów, PINGWNów, nie dociera do tytułów, i dawny burmistrz nazywa się dziś przewodniczącym miejskiej rady narodowej, a wojewoda, przewodniczącym wojewódzkiej rady narodowej. Z konieczności prezydent stolicy musi być tytułowany przewodniczącym prezydium stołecznej rady narodowej, i tak dalej, i tak dalej.

Zwrot „towarzysz”, zaczynający przed październikiem zastępować „obywatela”, wycofał się na oficjalny teren komitetów partyjnych, organizacji związkowych, do oficjalnych rozmów i do paru ministerstw. Ale rzucający „towarzyszem” partyjny towarzysz używa na codzień wypróbowanego już w naszym języku zwrotu „pan” (— Towarzyszu, wypijmy na „pan” — głosił dowcip), albo stara się jak najprędzej przejść na „ty”, co także przecież ułatwia porozumienie między ludźmi. Poza towarzyszem i radcą, jest morze tytułów takich jak sekretarz, minister, ambasador, mechanik, inżynier — z których dwa ostatnie głównie za-

sługują na szacunek. W okresie rządów towarzysza Mazura w Biurze Politycznym, na placówki jechali ludzie przez niego proponowani i popierani, co im nawet nadało przydomek „mazurenvolku”. Byli wśród nich przede wszystkim dawni robotnicy, majstrowie, ludzie, których unieszczęśliwiono stanowiskiem w dyplomacji, a którzy nawet nie miewali takich ambicji. W utrzymaniu niskiego poziomu służby zagranicznej pomagali dzielnie Mazurowi personalnicy MSZ wypychający wszędzie swych zagłębiackich ziomków, i wreszcie reemigranci z Francji, którzy znaleźszy się na kluczowym stanowisku protegowali byłych Francuzów mówiących lepiej tym językiem, niż polskim. Powstała kakofonia polityczno-narodowościowo-protekcyjna, w której jeszcze na dodatek mieszał Radkiewicz i konkurencja z Ministerstwa Obrony Narodowej, o czym tak wzruszająco opowiada ex-towarzysz Tykociński. Każdy najmniejszy pętał miał za sobą kogoś ważnego, bo jeżeli nie miał, to długo na placówce nie popasał. O ich posady toczyli boje w białym domu, albo w MSZ czy MHZ, prominenci, dla których liczba „swoich” ludzi w służbie zagranicznej nie była obojętna. Obojętny był im natomiast poziom umysłowy, wykształcenie i to czy protegowany ma w ogóle cokolwiek do powiedzenia nie tylko na temat swej pracy. Dyplomata w smokingu czy fraku może od biedy spełniać swą powinność nawet nie otwierając dzioba — tak zresztą na ogół bywało, bo niby na jaki temat miał ten dziób otwierać? — ale na urlop przyjeżdżał do kraju i wtedy mniej szczęśliwi obywatele mogli osobiście, naocznie i własnoręcznie się przekonać, jakie prymitywy pełniły obowiązki reprezentowania ojczyzny za granicą. Niedobitki przedwojennego MSZ wykopywano stopniowo, zastępując ich w najlepszym wypadku absolwentami szkoły służby zagranicznej, a na ogół...

... attaché kulturalny w tych optymistycznych czasach, zapytany na przyjęciu o jego zdanie o Breughelu, odpowiedział: — Breughel? *connais pas!* — Attaché w Paryżu zapewniał swego francuskiego rozmówcę, że „żadnego Przybyszewskiego nie było i nie ma”, bo on zna z nazwiska cały Związek Literatów Polskich. Słyszałem o I sekretarzu, który na pytanie — To Skura? — powiedział — ach, nie, to kute żelazo — (nieświadomym wyjaśniam, że Skura to nazwisko pewnie dziś najlepszego w Polsce metaloplastyka, autora na przykład kutych latarni na gdańskiej starówce). Inny znów wyrwał francuskiemu gościowi rozetkę Legii Honorowej ze staro-polsko-gościnnym okrzykiem: „Nasi goście noszą prawdziwe róże w kłapie” — i wetknął mu takową z ambasadzkiego bukietu. Reemigranci z Francji mieli tę wyższość nad wieloma innymi, że znali dobrze przynajmniej jeden język obcy. Ale, nic im nie ujmując, było to tak, jakby na przykład ambasador Gronouski zasuwał wiechem zamiast literacką polszczyzną. Powoli polska przypadkowa dyplomacja zaczęła sobie zdawać sprawę ze swych braków, i nawet zaczęła się wstydić. Miało to tylko ten skutek, że z całą krajową logiką zaczęła oszczędzać każdy grosz, rozumiejąc z przynoszącą im

zaszczyt przenikliwością, że tak w nieskończoność nie będzie i na ich miejsce przyjdą w końcu ludzie lepiej do tej pracy przygotowani. Nie wpadło im do głowy, że przecież można się uczyć, natomiast w ramach podnoszenia swych kwalifikacji dodawali sobie tytuły magistrów, inżynierów, przepisywali sobie osiągnięcia życiowe, o których tylko im było wiadomo, a poza tym obsyłałi swych protektorów prezentami, by nie zostać zapomnianymi.

Właściwie smutny jest los takich wykolejonych, jeżeli dawny majster włókienniczy i minister pełnomocny w jednej osobie, nie potrafi już wrócić do swej specjalności, w której był naprawdę świetnym fachowcem. Człowiek spisany na straty. To on, a inni, którym po latach spędzonych w innych warunkach nie tylko finansowych, ale w innej skali życiowej, żadne inne zajęcia nie zastąpią utraconych...

A mimo to kolejka chętnych do wyjazdu na placówkę jest chyba wcale niekrótsza niż w Moskwie po samochody osobowe. Cel jest jeden: odkuć się! Wiadomo, że nawet najniższa pensja przeliczona z twardych dewiz na krajową walutę, zapewni dożywotnie przetrwanie praktycznie na najgorszej posiadzinie. Czy jest się o co bić? Mowa!

Metod poza najprostszą, protekcja, jest parę. Albo jest się wysoko, i wtedy po odpowiednim narażeniu się można zostać zesłanym, albo konsekwentnie pnie się po stopniach kariery w ulubionym kierunku, albo, co jest drogą najnudniejszą i mającą najmniejsze szanse powodzenia, ma się gigantyczne kwalifikacje. Najlepiej jest się narazić, bo wtedy, jak b. prezydent Warszawy Dworakowski, zostaje się na lat kilka ambasadorem w nikomu nie przeszkadzającej Grecji, co zapewnia święty spokój do końca życia. Ale są placówki, które jakoś dziwnie nie mają szczęścia do ambasadatorów. Na przykład Praga.

W okresie popaździernikowych weryfikacji dziennikarzy, skarżył się pewien katowiczaniek: „Kiedy weszli Niemcy miałem piętnaście lat. Po Stalingradzie, kiedy do wojska brano wszystkich, powołano i mnie. Nie byłem dobrowolnym Volksdeutschem. Trzecia Volkslista. Posadzili mnie przy karabinie maszynowym i co pewien czas podlatywał do mnie Feldwebel i wołał: Feuer. To ja strzelałem. Teraz mówią, że ja jestem foks. Może i tak. Tylko jedno mnie dziwi: dlaczego ten Feldwebel jest moim naczelnym”. Teraz już ów dziennikarz może się nie dziwić, bo jego naczelnym, czyli Włodzimierz Janiurek, został ambasadorem w Pradze; najpierw ruski Mazur, teraz hitlerowski Janiurek. Właściwie chyba należałoby to uznać za obelgę wobec Czechów?! A może to też polskie poczucie humoru?

Protekcja to potęga, choć zmieniła nazwę i nazywa się dziś plecy, chody, kumoterstwo, i nie darmo mówią, że gdyby doszło do państwowego *strip-teas'u*, to największe szanse miałyby pewnie jakaś kaprawa kuzynka Gomułki albo Strzeleckiego, a nie inna, posiadająca tzw. aparycję.

Dyplomacja to tylko jedna z dróg prowadzących ku szczęściu. A ileż jest innych, przy czym szczęściem jest posiadanie kawa-

larki albo pokoju z kuchnią, samochodu i dobrego domu na wakacje. Premier przestał przydzielać osobiście mieszkania ze swej puli i samochody po cenach bezcłowych i bezpodatkowych od czasu jak się okazało, że wdzięczni obdarowani opychali otrzymane dobra i stawali w ogonku po następne. Ostatecznie Fiat 600 za 23 patyki to nie to samo co z Motosbytu za 72! A mieszkanie? Pisałem już o tym dosyć.

Dużą zaletą środowisk w Polsce jest umiejętność i zdolność śmiania się z samych siebie. Chociaż na ogół jest to śmianie się z sąsiada.

„Rzecz dzieje się po trzeciej wojnie światowej, w domu dziennikarza na Foksal odbywa się weryfikacja dziennikarzy. Prezesem komisji jest generał Anders. Gromada dziennikarzy czekających swej kolejki niecierpliwi się: od godziny spowiada się już tam redaktor Arski. Wreszcie drzwi otwierają się, wychodzi ślaniający się delinkwent. Wszyscy rzucają się ku niemu: — Jak poszło? jak generał? — Generał, jak generał, ale pułkownik Korotyński...” — Za ten dowcip wyleciał swego czasu z redakcji, i chyba nawet ze Stowarzyszenia, pewien gryzmoła, co nie zmienia nic w stosunku do poglądów na red. Korotyńskiego.

Nie ma chyba człowieka „robiącego w kulturze”, który nie doczekałby się o sobie dowcipu. A dodać wypada, że nie ma dowcipów niezasłużonych. „— Tyle żarcia, panie kolego — mówił na jakimś przyjęciu zmarły niedawno Artur Marya Swinarski do ówczesnego ministra Sokorskiego — czemu pan nie je? — Nie mogę, panie kolego — odpowiadała z literacką amikozonerią minister — soliter nie pozwala. — Brawo, panie kolego, nareszcie jakieś życie wewnętrzne — ripostował Jezus-Maria Swinarski”.

„Atmosfera w literaturze polskiej jest tak ciężka — mówiono — że można Siekierską powiesić!”. Monte Inkaso — nazywa się Wańkowicz. Zas...ny Pański interes, mówiono, o Telewizji za panowania Jerzego Pańskiego. I Panu Bogu Czeszkę i diabłu Kuśmerek. „— Zatorską (dyrektor departamentu wydawnictw Ministerstwa Chałtury i Szutki) trzeba zabić — wołał z trybuny Kisielewski. — Rzeczywiście to chyba jedyne wyjście, bo sama nie odejdzie”.

„— To pan tak sobie pisze wierszyki i z tego żyje?” — dziwił się memu sławnemu w poezji przyjacielowi śląski inżynier.

Od strony południowej doszło mnie zgrzytanie zębów: to Stanisław Pagaczewski, któremu jako debiutantowi niebrzydka przyszłość przepowiedziała Wolna Europa. A on jeszcze ma żal? Chyba tylko o to, że go nie zauważyli w czasie pierwszego debiutu: przed wojną. Podobno nawet otrzymuje gratulacje. Oczywiście od kolegów.

Co pewien czas Polska cieszy się cudzymi żartami, kiedy na przykład wiesz się czy strzela Fadiejew. Napisało mu się kiedyś tomiszczko o jedynej podziemnej organizacji w wojennym Związku Radzieckim, Młodej Gwardii i jej bohaterze Olegu Koszewoju. I on i jego organizacja stały się symbolem różnych rzeczy, aż odkryto, że Koszewoj sypnąwszy swych kolegów do

Gestapo, zamieszkał sobie spokojnie w Niemczech, gdzie ponoć jest nawet dosyć zdrowy. Już to wieści tego rodzaju dochodzące od wschodniego sąsiada cieszą się specjalnym uznaniem i daje się im chętnie wiarę, powtarza i cieszy jak dziecko, że u nich jest jeszcze bardziej głupio.

A w kraju też jest czym się pobawić: czy to nieśmiertelnym „alfonsem i omegą” („towarzysz dyrektor chciałby być u nas alfonsem i omegą”), czy fikcyjnym (a może prawdziwym) przemówieniem: „— powiedzcie towarzysze, czy przed wojną robotnik w Polsce Sanacyjnej mógł mieć telewizor...?”, czy prymitywną polszczyzną Gadułki i innych nieuków.

I właśnie nieukiem jest być najbezpieczniej. Przynajmniej znów dziś i przynajmniej na wysokim stanowisku: nic niewłaściwego nie przyjdzie do głowy. Pewien wysoko postawiony towarzysz doradzał z całą powagą i przekonaniem, by na placówki zagraniczne wysyłać tylko byłych endeków, bo ci przynajmniej nie zwieją tak jak partyjni internacjoniści. — Gomułka wykończył partię — skarżył się ten sam prominent — a wszystko przez Żydów. I nie można mu odmówić racji, chociaż tych wykończaczy było w wątlých dziejach polskiego komunizmu trochę więcej. No, i dlaczego przez Żydów? (Pewien emigrujący z Polski Żyd argumentował swą decyzję zasłyszana plotką według której „mają bić Żydów i cyklistów”. Dlaczego cyklistów? — zdziwił się rozmówca. Widzisz pan, a dlaczego Żydów, to się pan nie pytasz? dlatego wyjeżdżam). „Przed KC dwa dni chodzi tam i z powrotem pewien partyjny Żyd z bukietem kwiatów. — Na kogo ty tak czekasz? dziwi się przyjaciel. Na kogo, na Amerykanów. — Wariat, ja nie pamiętam jak tak samo czekałeś na Rosjan? — I co, nie przyszli?”

Nie ma właściwie Żydów w dzisiejszej Polsce, ale szmonces stał się ulubioną formą kpin z rządu, ustroju, głupoty. To jest pogrobowy triumf polskich Żydów, ich mądrości i wiedzy, która wielu z tych co przeżyli wprowadziła do władz, z których też czasem się śmieją.

Porozspytawały się niektóre klany i sitwy w służbie zagranicznej, jak tow.tow. Cywiak i Cywiakowa, z których mąż rządził prasą w departamencie prasy i informacji, a żona wydziałem polonijnym w departamencie konsularnym; wicedyrektor departamentu kadr wrócił do swej rodzinnej Westfalii, opuściwszy bez wiedzy swych przełożonych placówkę w Helsinkach; stracili na znaczeniu ex-Francuzi siedzący na górze, wobec czego zaczęły znikać z ambasad ci co byli na dole; dzieją się także rzeczy nie bardzo zrozumiałe, jeżeli na peryferyjną placówkę ambasadorską wysła się faceta, który przez co najmniej dziesięć lat decydował o sprawach niemieckich w warszawskich biurach MSZ. Do służby zagranicznej przychodzi coraz więcej młodych ludzi z pokolenia, które już w nic nie wierzy, poza prawdami ogólnie przyjętymi: wysoka stopa życiowa, dobry samochód, mieszkanie, a jeszcze lepiej willa i albo emerytura dla zasłużonych, albo *debriefing* u Amerykanów, po którym już można przestać udawać od-

danie sprawie budowy socjalizmu. I trudno wysnuwać jakieś wnioski na przyszłość co do liczby dyplomatów proszących o azyl. Wszystko zależy od tego, jak się ułożą warunki ekonomiczne w kraju, a że układają się jak najgorzej to dowodem może być coraz częstsze ostatnio „wyskakiwanie” z wycieczek, głównie w krajach skandynawskich. Tak jakby jeszcze trzeba było dowodów.

W roku 1947 wrócił do Polski oficer I Dywizji Pancerniej, przywożąc w całym majątku samochód osobowy, nabyty za kawę w Niemczech. I niedługo cieszył się swą własnością, bo mu pod Hotelem Polonia rozjechała grata ciężarówka wojskowa z pijanym kierowcą. Chodził ów oficer po różnych wojskowych urzędach niewiele mogąc załatwić, może i dlatego, że rosyjski znał słabo — a to był ówczesny język urzędowania w odrodzonym ludowym wojsku polskim — aż dotarł do samego wiceministra, który załatwił go szybko: — ja wam radzę po dobru, żebyście sobie i nam dali spokój; odszkodowania nie będzie, a może się wam co przytrafić. — Kropka, koniec. Dziś ten wiceminister nie łąmie już praworządności w Ministerstwie Obrony Narodowej. Bo jest wiceministrem w MSZ. Jeżeli taki może być Naszkowski, to niby jaka ma być reszta podległej mu służby zagranicznej? Że coraz więcej jest na placówkach pracowników i konfidentów UB? A czy tam nie ma też oportunistów?

George J. FLEMMING

UWAGA: JUŻ WKRÓTCE NOWOŚĆ!

BENIAMINA JÓZEFA JENNE

EROTYKI

Nowy tom wierszy Beniamina Józefa Jenne, które nie były drukowane w prasie emigracyjnej wydany będzie w „Oficynie Poetów i Malarzy”. Książkę zdobić będą piękne ryciny art. mal. Zuli Machnowskiej i specjalny układ graficzny autora i Janusza Machnowskiego.

Erotyki są ambitnym zamiarem wydania najpiękniejszego z dotychczasowych na emigracji bibliofilskich tomów poezji. Wobec ograniczonej ilości druku, egzemplarze można zamawiać tylko w przedpłacie u autora. Adres: 43, Esq. Mirador, La Campina, Caracas, Wenezuela. Egz. zostaną rozesłane najpóźniej do dnia 15-go grudnia br.

Cena egz. £ 2.0.0 lub równowartość.

Książki w sprzedaży księgarskiej nie będzie.

Najnowsza historia Polski

Wojna i pokój (dok.)

Dni „niebezpieczeństwa i niepewności”

Jednym z kluczowych momentów w przebiegu ostatniej fazy wojny z bolszewikami było odwrócenie się karty na polach bitewnych. Przez parę miesięcy wahały się szale, zanim — w połowie sierpnia 1920 r. — przechyliły się ostatecznie na naszą stronę. Polityczne skutki tych wahań były głębsze i dotkliwsze, niż strategiczne, powetowane przez końcowe zwycięstwa.

Innym torem mógłby był potoczyć się bieg zdarzeń historycznych, gdyby wojska polskie i sprzymierzone ukraińskie, po osiągnięciu Kijowa, utrzymały się na terytorium Ukrainy nadnieprzańskiej przez kilka dalszych miesięcy, dając czas naszym sprzymierzeńcom na liczebne rozwinięcie swej siły wojskowej oraz organizację miejscowych władz; wniosłoby to poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Chłop każdy jest nieufny i powściągliwy; cóż dopiero mówić o chłopach ukraińskich, których bolszewicy przed swym odwrotem — a i później, przez pozostawionych agitatorów — straszili, że nadejdą Polacy, aby im odebrać zawłaszczoną ziemię i wziąć pomstę za wypadki 1918 r. Trzeba było więcej niż kilku tygodni, by się przekonali, że tak nie jest, że mogą spokojnie żyć i pracować, co było na pewno ich największym pragnieniem. Moskali zarówno czerwonych jak białych mieli już dosyć; dosyć też mieli trwającej od lat kilku niepewności jutra. Nadsięgnięcie w ostatnich dniach maja armii Budiennego i przeniknięcie jej na tyły frontu polskiego tę niepewność wznowiło — czekano biernie, co przyjdzie dalej.

Generał T. Kutrzeba w książce „Wyprawa kijowska” analizuje szczegółowo splot zdarzeń, który sprawił, że hazardowny zagon czerwonej armii konnej nie został doraźnie zlikwidowany, co byłoby nastąpiło, gdyby rozkazy Naczelnego Wodza doszły na czas i zostały należycie zrozumiane. Stało się inaczej i zaciążyło to mocno na historii następnych dwu miesięcy.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Sprawa Ukrainy i realizacji programu federacyjnego została ponownie otwarta po ostatecznym zwycięstwie i po pogromie armii czerwonej w bitwie nad Niemnem, we wrześniu 1920 r. Powróć do tego pod koniec moich rozważań. Natomiast okres niepowodzeń na froncie wojennym odbił się niezwykle ciężko i to na bardzo wysokich szczeblach naszej hierarchii państwowej, a nawet wojskowej.

Czy było to usprawiedliwione? Zróbmy krótki rachunek z kalendarzem przed oczami. Odwrót z Kijowa i znad Dniepru rozpoczęła się 11 czerwca. Nie nabrał on ani przez chwilę charakteru katastrofalnego; armie i dywizje cofały się walcząc i skutecznie wstrzymując napór nieprzyjaciela; przechodziły też do działań ofensywnych przeciw Budiennemu. Wreszcie, gdy powziąwszy plan kontrofensywy sierpniowej, Naczelnny Wódz zbierał siły do jej przeprowadzenia — sięgnął po nie właśnie do wojsk frontu południowego. I nie zawiódł się. Dwie wezwane przezeń dywizje natychmiast zaskoczyły nieprzyjaciela kontratakami, a gdy się cofały ze stratami i w popłochu — zawróciły i zdążyły na czas do koncentracji nad Wieprzem. Był to najlepszy dowód zarówno sprawności dowództwa, jak i niezachwianego ducha wśród szeregów.

Tak działo się po dwóch miesiącach głębokiego odwrotu — najcięższej próby dla młodego wojska. A przecież przez całe te dwa miesiące wojska południowego frontu miały na tyłach zaprawioną w bojach manewrowych hordę Budiennego (12 tys. szabel, 2 tys. bagnietów, 84 działa, 300 samochodów pancernych, 400 kar. masz.). I cóż dziwnego, że w tych warunkach wybuchały popłochy na etapach, że drobne oddziały, często ze świeżych uzupełnień, szły w rozsypkę. Ale echa tych wypadków nadchodziły do stolicy szerzyły się po kraju w przesadnych wersjach i wzniewały tu trwogę, której bynajmniej nie było w dywizjach i pułkach 3-ch armii południowego frontu pod dowództwem gen. Śmigłego-Rydza.

Historycy wojskowi zgodnie stwierdzają, że przebieg odwrotu znad Dniepru na Zbrucz i górny Bug jest chlubną kartą stanu służby naszego wojska w dziejach tej wojny. Możemy więc śmiało wykluczyć operacje na południu spod miana kłęski — nawet w tym okresie czasu.

Przejdźmy teraz na północ. Pierwsza ofensywa Tuchaczewskiego, podjęta tam 14-go maja, została odparta i odrzucona do punktu wyjścia przez kontrofensywę polską (1-18 czerwca) pod dowództwem gen. K. Sosnkowskiego, który stanął na czele zorganizowanej przez siebie armii rezerwowej. Mamy więc i tu rzecz zwykłą w kolejach wojny: przejściowy sukces nieprzyjaciela, złamany i odparty niezwłocznie. Czyli nie ma powodu do zaliczania i tego okresu pod znak ujemny w bilansie wojny.

Dopiero między datą 4 lipca a 16 sierpnia znajdujemy istotnie czarne dla nas karty w kalendarzu wojennym. Ale pamiętajmy, że wojna rozpoczęła została przez bolszewików dn. 17 lutego 1919 r., gdy próbowali opanować linię Bugu dla następnego skoku

na Wisłę i Warszawę; i nie zapominajmy, że od 16 sierpnia przysły dwa kapitalne zwycięstwa nad Wisłą i Niemnem i fenomenalny w rozpędzie pościg za wrogiem aż do zawieszenie broni dn. 18 października.

A więc, na rok i 9 miesięcy trwania wojny z Rosją sowiecką, mamy owych czarnych dni — 44.

Warte jest głębszego zastanowienia pytanie skąd się wzięły te wyjątkowe, a posępne karty. Nie wróżyły ich wyniki działań wojennych z kilkunastu poprzednich miesięcy; jeszcze bardziej jaskrawo odbijają one w zestawieniu z następującymi bezpośrednio potem dniami chwały.

W przeszłości — zwycięstwo przyniosła kampania o Małopolskę wschodnią i Wołyń; jednocześnie pierwsza próba inwazji czerwonej armii została odparta i odrzucona o 200 km. na wschód, dając przestrzeń zabezpieczającą znaczną swobodę manewru dla odparcia inwazji następnej; zwycięstwem było powstanie poznańskie, a stworzone tam wojska regularne trzymały skutecznie w szachu przeważające i lepiej uzbrojone siły niemieckie, aż do podpisania Traktatu Wersalskiego. Znanie są niezmiernie trudności wśród których zostało to wszystko osiągnięte. W 1920 r. — od zdobycia Dyneburga do zdobycia Kijowa — sukces odnosiła każda operacja na froncie wschodnim.

A teraz rzut oka na końcowe dwa miesiące wojny, od 16 sierpnia poczynając. O ile w ciągu poprzednich 44 dni wojska frontu północnego postawiły smutny rekord w szybkości cofania się przed nieprzyjacielem, z dnia na dzień zmieniło się to na dwukrotnie niemal wyższy rekord w szybkości pościgu za nim. Pisze o tym we wspomnieniach swoich gen. Weygand: „Wyzyskanie powodzenia było prowadzone przez Marszałka Piłsudskiego ręką mistrza, z rozmachem zawrotnym; nie dał nieprzyjacielowi ocknąć się z zaskoczenia i pędził go bez zacerpnięcia tchu, aż unicestwił jego armie”.

Jakież to narzędzie miał w ręku Naczelny Wódz dla osiągnięcia tak piorunującego efektu? Oto te same dywizje i pułki, które poprzednio od szeregu tygodni były w odwrocie. Dokładnie spełniło się to, co jeszcze w połowie lipca powiedział Radzie Obrony Państwa: „Tą armią którą mam mogę i muszę zwyciężyć, bo innej nikt mi nie da”.

Z podziwem też pisze o naszym żołnierzu, w dniach owych generał francuski L. Faury: „Ścigają ludzie zgłodzeni, szkielety. Ożywia ich tylko płomień ich oczu, w których się czyta gorącą wolę by dotrzeć do celu”.

Słyszałem niemal te same słowa z ust szefa sztabu misji włoskiej, ppłk R. Stabile, gdy wrócił do Warszawy z frontu po wrześniowej bitwie nad Niemnem. Ze szczerym zdumieniem i wzruszeniem opowiadał mi o defiladzie jednej z naszych dywizji: „Maszerowały szeregi w podartych mundurach, niektórzy bez butów; ale w wychudłych twarzach zapadłe oczy świeciły, a po przemarszu przed trybuną dowódcy — śpiewali wesoło!”

„Podstawą wojska jest dusza prostego żołnierza”

Wojsko, mimo zewnętrznych pozorów, nie jest *mechanizmem*, pędzonym przez rozkaz i dyscyplinę. Elementy psychiczne grają, jak w każdym zespole ludzkim, rolę kardynalną. Obok brzmienia rozkazów i obok sankcji dyscyplinarnych są jeszcze niewidoczne nici biegnące wzdłuż całej hierarchii od wodzów do prostych żołnierzy. To są prawdy odwieczne. Nie jest też nigdy armia, jako ramię wykonawcze woli narodu, oderwana ani od przebiegu zjawisk, ani prądów emocjonalnych w społeczeństwie. Przeciwnie, jest na nie bardzo wrażliwa. Tu właśnie znajdujemy podłoże tłumaczące kryzys z lipca 1920 r. Ważnie wewnętrzne dochodzące do wojska przez prasę, przez plotkę, stawiające pod znakiem zapytania celowość walki, wysuwające oskarżenia przeciwko Naczelnemu Wodzowi nie tylko o błędy, lecz o zdradę nawet, nie pozostawały bez śladu. Jeśli dodać do tego załamanie się wiary w zwycięstwo u niektórych dowódców na wysokim szczeblu, co oczywiście przynikało w dół do ich podkomendnych — zrozumimy wytężone starania Piłsudskiego, aby uzyskać od skłóconych stronnictw wyraz solidarności w wysiłku wojennym. Zrozumiemy też dlaczego dokonąć musiał zmian na wysokich stanowiskach w armii, tam gdzie zachodził bądź otwarty defetyzm, bądź pesymizm graniczący z rezygnacją. Zbawienne skutki tych zmian dały się odczuć natychmiast.

Nie będę tu wymieniał nazwisk, znaleźć je można w relacjach i książkach historycznych. Faktem jest, że te same armie czy dywizje, które poprzednio ustępowały przed każdym ruchem nieprzyjaciela, po zmianie dowódców wykonywały wyznaczone im w planie Naczelnego Wodza zadania; nowi dowódcy nie uskarżali się też na marną wartość własnych wojsk i nie proklamowali wyższości pod tym względem u nieprzyjaciela. Zastrzegam się, że ogromna większość dowódców na froncie wiary w zwycięstwo nigdy nie straciła, w wartość swych wojsk nie wątpiła i — wzajemnie — zachowała pełny posłuch i zaufanie szeregów żołnierskich.

Rospisałem się na ten temat dość szeroko i muszę się usprawiedliwić. Winna temu po części lektura wydawnictw krajowych, a po części i emigracyjnych. Rozumiem, że krajowi autorzy recept na historię (patrz Tom IV „Makiety”) w iście Orwellovskim stylu poprawiają ją wstecz, datując wojnę Polski z Rosją Sowiecką od wyprawy kijowskiej. Tak im nakazano, taka ich psia służba; chociaż zbyt gorliwie merdają ogonem, łkając w nieutulonym żalu, że się Tuchaczewskiemu nie udało przejść „po trupie Polski”; a nawet, wbrew samemu Tuchaczewskiemu, próbując przedstawić jego dojscie aż nad Wisłę jako tryumf. Rozumiem też, że rozwodzą się niesłychanie szeroko nad historią owych 44 dni, kilkoma zdaniem zaledwie zbywając nasze zwycięstwo i pogrom armii czerwonej nad Wisłą i Niemnem.

Ale dlaczego te same tendencje zjawiają się w wolnej publi-

cystyce czy literaturze emigracyjnej — zrozumieć trudniej. Skąd te próby pomniejszania i bagatelizowania zwycięstwa w 1920 roku, które przecież — bez najmniejszej przesady mówiąc — cały świat zadziwiło. Skąd te naiwne wysiłki, aby znaleźć dwa przykłady z przeszłości, że manewr oskrzydający Piłsudskiego nie był niczym nowym; można by z łatwością znaleźć takich przykładów dwięście; wszystkie też wysuwane wówczas plany szukały tego samego celu. Łatwo jest wpisać na mapie prostokąt i dodać do niego kilka strzałek kierunkowych. Istota sprawy polegała na tym: 1) skąd wziąć siły na wypełnienie tego prostokąta; 2) w które miejsce frontu skierować owe strzałki, aby nie związać się czołowym bojem z przeważającą siłą nieprzyjaciela, lecz przeniknąć na jego tyły. A wreszcie, rzecz niemało ważna, 3) wykonać to błyskawicznie, pięcioma dywizjami zmusić cztery armie nieprzyjacielskie do pełnego odwrotu i potem, wszystkimi już siłami, popędzić go bezlitośnie tam skąd przyszedł. Otóż pod dwoma pierwszymi względami plan Piłsudskiego różnił się od wszystkich innych i górował nad nimi. Nie było to proste ani łatwe w ówczesnej sytuacji. Ryzyko było ogromne. Zaś co do wykonania — zyskał Naczelny Wódz uznanie i podziw znawców.

Natomiast amatorskie popisy na ten temat byłyby na miejscu, gdybyśmy przegrali tę wojnę. Ale przecież — na miły Bóg — wygraliśmy ją. Tak, czy nie?

Teraz — od przełomu na froncie wojennym do przełomowych już chwil na forum politycznym.

Rada Obrony Państwa. Votum zaufania do Naczelnego Wodza

9 czerwca rząd L. Skulskiego — wskutek rozbicia większości parlamentarnej na której się opierał — podał się do dymisji. Naprężenie stosunków w izbie sejmowej było tak silne, że mimo sytuacji wojennej kryzys trwał pełne dwa tygodnie i dopiero 23 czerwca powstał rząd Wł. Grabskiego. Nowy szef rządu uznał za konieczne zawiesić na czas pewien obrady sejmu suwerennego i powołać do życia Radę Obrony Państwa, wyposażoną we wszystkie prerogatywy sejmu. Sytuacja wojenna z jednej strony, zaś beznadziejne skłócenie stronnictw i klubów parlamentarnych z drugiej sprawiły, że inicjatywa Wł. Grabskiego akceptowana została nie tylko przez sformowany przezeń rząd, lecz i przez sejm. W przeciągu kilku dni rząd opracował odpowiednią ustawę, która — w skróconym trybie postępowania — została jednomyślnie przez sejm uchwalona i opublikowana już 1 lipca. Tegoż dnia wieczorem odbyła R.O.P. swe pierwsze posiedzenie. Składała się ona, pod przewodnictwem Naczelnika Państwa, z marszałka sejmu i 10 przedstawicieli polskich klubów sejmowych, 3 przedstawicieli rządu oraz 3 przedstawicieli wojska powołanych przez Naczelnego Wodza.

Ten zespół wyposażony został w atrybucje władzy suwerennej. Ustawa z dnia 30 czerwca dawała mu bowiem „prawo decydowa-

nia we wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny oraz z zawarciem pokoju”.

Rząd, na życzenie Naczelnego Wodza, uznał że pierwszy krok Rady Obrony Państwa powinien być wyrazem zespolenia wszystkich sił narodu dla osiągnięcia zwycięstwa, że R.O.P. powinna zwrócić się do wojska z zapewnieniem, że zgodnie z nim stoi cały naród.

Przygotował więc rząd i wniósł na pierwsze posiedzenie R.O.P. projekty dwóch odezwo: do narodu oraz do żołnierzy. Miały one być podpisane przez wszystkich członków R.O.P. na dowód solidarności.

Odezwa do narodu została uchwalona w brzmieniu przez rząd przedstawionym; do odezwy do żołnierzy, opracowanej przez gen. K. Sosnkowskiego, uchwalono dwie poprawki dopełniające, po wprowadzeniu których podpisanie miało nastąpić na następnym posiedzeniu, dnia 3 lipca.

2 lipca rano gen. Sosnkowski wezwał mnie do siebie, podał mi treść poprawek, uchwalonych przez R.O.P. do odezwy, polecił wprowadzić je w odpowiednich miejscach jej tekstu i zameldować się z tym następnego dnia rano. Ale jeszcze tegoż dnia wieczorem zostałem wezwany ponownie. Po sprawdzeniu zmodyfikowanych miejsc odezwy, gen. Sosnkowski kazał mi natychmiast udać się do Belwederu i doręczyć ją Komendantowi. Gdy wszedłem do gabinetu Naczelnika Państwa, zastałem tam lewicowych delegatów sejmu do R.O.P. w toku konferencji z nim. Przemawiał właśnie pos. Stapiński, który przekonywał Piłsudskiego że Rada będzie tylko narzędziem opozycji prawicowej dla podrywania jego autorytetu i że kluby P.P.S. i Wyzwolenia oraz Związku Chłopskiego postanowiły temu zapobiec i na jutrzejszym posiedzeniu odmówić podpisów pod odezwanami. Piłsudski przerwał Stapińskiemu zapytując, czy zdaje on sobie sprawę że będzie to równoznaczne z rozbiciem R.O.P. Otrzymał odpowiedź, że tak. Piłsudski krótko zaapelował do obecnych aby zaniechali tego kroku, który jest wręcz sprzeczny z tym czego on, jako Naczelny Wódz, od społeczeństwa się domaga: „Mnie nie potrzebujecie bronić, ale ja dla wojska oczekuję od was jutro wyrazu zgody a nie rozbicia. Proszę Panów o zmianę waszej decyzji”.

Spojrzawszy na obecnych, zauważyłem niepewność na twarzach Woźnickiego i Barlickiego; Stapiński jednak oświadczył że jest już za późno na zmianę decyzji, która mogłaby nastąpić tylko na posiedzeniu odnośnych klubów, na co już nie ma czasu. Wtedy Piłsudski zwrócił się do mnie z zapytaniem czy poprawki w odezwie do żołnierzy, uchwalone przez R.O.P. zostały przez gen. Sosnkowskiego wprowadzone. Odpowiedziałem że tak jest, podając mu odezwę. Biorąc pióro do ręki, Naczelnik Państwa powiedział: „W takim razie, jako przewodniczący Rady Obrony Państwa, podpisuję w jej imieniu; jeśli zechcecie to będziecie mogli mnie zdezwuować”.

Zapanowało milczenie. Piłsudski wyszedł ze mną do sąsied-

niego pokoju i dał mi dyspozycję następującą: „Pojeździecie natychmiast do premiera Grabskiego; powtórzycie mu to, coście tu słyszeli. Poprosicie go ode mnie o dwie rzeczy: po pierwsze, żeby zawiadomił wszystkich członków R.O.P. że jutrzejsze posiedzenie jest odwołane; po drugie, aby natychmiast w ciągu nocy odezwy wydrukować i rozplakatować przynajmniej w Warszawie jutro rano, a następnie w całym kraju. Spodziewam się, że potrafi on przekonać prawicową stronę Rady, że to było konieczne; jeśliby miał trudności — proszę aby skomunikował się bezpośrednio ze mną”.

Rozkaz wykonałem. Nie zastałem już Grabskiego w prezydium Rady Ministrów, lecz w jego prywatnym mieszkaniu. Wysłuchawszy mego raportu, premier powiedział, że — jak sądzi — nie napotka sprzeciwów i życzenie Naczelnika Państwa będzie wykonane.

Odezwa na drugi dzień ukazała się. Zamiast podpisów wszystkich członków R.O.P. widniał tylko jeden: „W imieniu Rady Obrony Państwa — Józef Piłsudski”.

Sejmowe kluby lewicowe nie zdecydowały się Piłsudskiego dezawuować.

Tak więc, w swym dążeniu do podtrzymania ducha wojsk walczących przez manifestację solidarności całego narodu, musiał się Naczelny Wódz borykać nawet z popierającym go obozem. Nadeszła wkrótce znacznie cięższa i wręcz dramatyczna rozprawa z prawym skrzydłem. Na posiedzeniu R.O.P. w dniu 14 lipca, nastąpił generalny atak ze strony R. Dmowskiego. Spisane zostały — i opublikowane następnie — relacje o przebiegu tego posiedzenia przez pos. Al. de Rosseta, przedstawiciela prawo-centrowego klubu Związku Mieszczańskiego oraz przez pos. Ant. Anusza, zastępcy delegata klubu „Piasta” w R.O.P.

Al. de Rosset, w swej książce „Sprawa polska w czasie wojny światowej i stosunki polityczne w Polsce w latach 1918-20” podaje relację o całokształcie prac R.O.P. Zaznaczyć trzeba, że był on w swej działalności politycznej zawsze bliski polityce R. Dmowskiego raczej, niż Piłsudskiego zaś reprezentowany przez klub Zjednoczenia Mieszczańskiego siedł również za hasłami „obozu narodowego”; tym ciekawsze więc są wrażenia de Rosseta ze starcia między Piłsudskim a Dmowskim na terenie R.O.P. Stwierdza on, że „przypisuje lwią część zasługi, jaką R.O.P. pracą swą zdobyła, Piłsudskiemu”; opisując dni lipcowe 1920 r., mówi o Piłsudskim: „Zgarbiony, wychudły, wprost niepodobny do późniejszego swego wyglądu, używał wszystkich wysiłków ażeby utrzymać harmonię w tym niezgranym zespole, podtrzymując ducha i nie dając zatryumfować zwątpieniu i rozpacz. Zaś o posiedzeniu z dnia 14 lipca: „Dmowski wystąpił z mową pełną zarzutów pod adresem Piłsudskiego... Główny zarzut polegał na tym że armię, którą, on Dmowski stworzył i wspaniale wyposażył, armię Hallera, Piłsudski dezorganizował, nie dając uzupełnień dla tych pułków w miarę bojowych strat”.

Według de Rosseta — Piłsudski, w odpowiedzi swój, „zbił bezwzględnie wszystkie przytoczone przez Dmowskiego fakty” i zakończył przemówienie podaniem się do dymisji jeśli R.O.P. nie uchwali mu „bezwzględnego votum zaufania”.

Pos. Ant. Anusz, powołując się na relacje szeregu członków R.O.P., zebrane niezwłocznie po tym posiedzeniu — przytacza szerzej przemówienie Naczelnego Wodza w odpowiedzi na zarzuty Dmowskiego co do wartości wojska i jego organizacji:

„Znam tych wad daleko więcej — mówił Piłsudski — nigdzie na świecie doskonałej armii nie stworzono w ciągu dwu lat; znając wady w organizacji swego wojska, jednocześnie wiem, że tylko z tym wojskiem, jakie ono jest, *mogę i muszę zwyciężyć*, gdyż innego wojska nikt mi nie da; zwycięstwo w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym”.

„Od was, polityków, i od narodu powinien iść do wojska walczącego na froncie głos wiary i otuchy, odpowiadający moralnej wartości społeczeństwa i jego niezłomnej woli zwycięstwa. Zamiast tego dajecie demoralizujący obraz waśni, kłótni, rozdarcia. Generałowie, wygrywani przez polityków, nie potrafią słuchać i służyć, a natomiast intrygują i frondują. Chwila jest wyjątkowo groźna, nie ma czasu do stracenia. Stoicie nad przepaścią i jutro może zaczniecie się wyrzynać”.

„Nie wiem jakimi słowami mam was przekonywać, aby was natchnąć duchem pojednania i skłonić do zgody. Jeżeli potrzebna jest wam do tego moja śmierć, to gotowym sobie w łeb wypalić, abyście zrozumieli wreszcie, że to już jest ostatnia chwila ratunku, że musicie się zjednoczyć. Ja wiem, co mam robić; mam plan, lecz nie narzucam się wam ze swoim planem. Jestem w ogniu rozmaitych oskarżeń, mnie samego bierze obrzydzenie do Państwa, które tak traktuje swego najwyższego przedstawiciela. Nie róbcie żadnych szopek, żadnych dwuznacznych posunięć z dodawaniem mi opiekunów i kontrolerów”.

„Oddaję się wam do dyspozycji. Weźcie zamiast mnie kogoś mniej, was drażniącego. Jeśli go postawicie na czele państwa i wojska, nie róbcie z nim tego, coście robili ze mną. Dajcie mu bezwzględne zaufanie i szczerę, gorliwe poparcie. Nie róbcie igraszek z najwyższą władzą” (podkr. moje).

Powracam teraz do relacji de Rosseta o momencie gdy Piłsudski wstał by na czas głosowania salę obrad opuścić: „Na to zerwał się Dmowski i z całą energią zaprzeczył, aby kierował się osobistą niechęcią; powiedział: „Ja, który dowodziłem że w Polsce jest konieczny autorytet i taki autorytet widziałem w osobie Pańskiej, nie mogłem chcieć ten autorytet obalić!”

Przytoczyłem ten fragment relacji de Rosseta w związku z wynikiem głosowania nad votum zaufania dla Naczelnego Wodza. Kartki oddane w tajnym głosowaniu wszystkie zawierały słowo „tak” — z wyjątkiem jednej, co do której są sprzeczne relacje: bądź że była to kartka biała, bądź że zawierała słowo „nie”. Ostatnie oświadczenie Dmowskiego nasuwałoby przypuszczenie

że raczej oddał on kartkę białą; faktem jest jednak, że po tym posiedzeniu R. Dmowski wycofał się z udziału w dalszych obradach R.O.P.



Oto przykłady, do jak skrajnych naprężeń dochodziło na szczytach władzy państwowej gdy ważyły się losy wojny. I cóż dziwnego, że siwiały przedwcześnie głowy, że chyliły się barki, dźwigające ciężar odpowiedzialności.



Naczelnik Państwa był przewodniczącym R.O.P., ale moc decydującą miały jej uchwały powzięte większością głosów. W ciągu pierwszych dwóch tygodni obrad zarysowała się tendencja do wkraczania w kompetencje Naczelnego Wodza w sprawach ściśle wojskowych. Opierano się na informacjach często wręcz bezsensownych, dostarczanych politykom przez malkontentów wojskowych, uważanych przez nich za autorytety fachowe. Ten stan rzeczy leżał niewątpliwie u podstaw kategorycznego postawienia sprawy przez Piłsudskiego, gdy zażądał bezwzględnego zaufania, lub powołania na jego miejsce kogoś innego.

Po uchwaleniu votum zaufania, aż do zwycięstwa w bitwie warszawskiej, R.O.P. musiała się powściągać od wtrącania do kompetencji Naczelnego Wodza; ale w sprawach politycznych były przez nią pobierane decyzje sprzeczne z jego zdaniem. Tak było w szczególności ze sprawą rokowań pokojowych i konferencją w Spa.

Nadeszła jednak w czas zmiana — nieodwracalna już tym razem — ku tryumfowi wojsk naszych na polach bitewnych. Przekreśliło to niemal całkowicie kroki kapitulacyjne, czy to w Spa, czy w Mińsku.

Żołnierz polski zrobił swoje. Czy można było na tej podstawie osiągnąć wtedy, dla nas i dla Europy, więcej — rozważmy.

Między Zwycięstwem a Pokojem. Możliwość Realizacji Polityki Federacyjnej

Od ogłoszenia odezwy wileńskiej Piłsudskiego — w kwietniu 1919 r. — główne zarzuty w partyjnych walkach wewnętrznych kierowane były przeciwko błędnej rzekomo polityce federacyjnej; mimo uznania przez Sejm, że sztandarem całej Polski jest „rycerstwo w służbie wolności narodów”, tu szukano przyczyn zażegnania i później, w niefortunnych dniach lipcowych 1920 r.

Obecnie, w pisarstwie emigracyjnym spotykamy inny zarzut: że programu federacyjnego, jak również możliwości uratowania świata od zmyru bolszewizmu, w chwili zwycięstwa zaniechano. Winą za to znowu obciąża się Piłsudskiego, bo miał jakoby, po zwycięstwie, decydujący głos w sprawie dalszej polityki państwa oraz milionową armię, przed którą droga na wschód stała otworem.

Zaniechanie programu federacyjnego niezwłocznie po przełomowej bitwie nad Wisłą było faktem niewątpliwym. Natomiast obciążanie odpowiedzialnością za to Piłsudskiego i przytoczone motywy o reprezentowanej przezeń potędze — chybiają całkowicie. Jego wpływ na podstawowe decyzje polityki państwowej od początku roku 1919, aż do września 1920 r., wynikał głównie z tego, że jako Naczelnny Wódz był on nie do zastąpienia. W momencie zwrotu ku zwycięstwu, układ stosunków wśród najwyższych władz państwowych uległ zmianie.

Przypomnijmy sobie odnośne fakty. Gdy Piłsudski powrócił z Magdeburga, zastając kraj już w stanie wojny, nikt nie kwestionował objęcia przezeń naczelnego dowództwa i kierownictwa organizacji sił zbrojnych. Mimo dwumiesięcznej politycznej zawieruchy, gdy zebrał się sejm i ukonstytuowane zostały regularne władze Rzplitej, nie próbowano nawet wysunąć przeciw Piłsudskiemu innego kandydata; jednogłośnie wybrano Naczelnika Państwa pozostawił mu również naczelnie dowództwo wojsk. Ilekroć domagał się od sejmu akceptacji swej polityki z wojną związaną — otrzymywał ją. Nawet w najcięższej chwili, gdy obawiano się niechybnej klęski i jego za to winiono — postawił żądanie bezwzględnego votum zaufania od Rady Obrony Państwa — i otrzymał je również. Wymowa przytoczonych faktów jest bezsporna; jasne było również, że we wszystkich tych wypadkach chodziło o jego stanowisko jako Naczelnego Wodza, a nie inne konstytucyjne kompetencje. Mamy też dość ważki głos z zewnątrz potwierdzający, że Piłsudski, jako Naczelnny Wódz, był nie do zastąpienia. Gen. M. Weygand, który zetknął się w ciągu swego pobytu w Polsce ze wszystkimi najwyższymi rangą dowódcami polskimi, tak pisze o bitwie warszawskiej:

„W ciągu trzech dni, które Marszałek Piłsudski spędził wśród wojsk IV armii, zelektryzował je; przelał z własnej duszy w dusze walczących ufność i wolę pokonania wszystkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógł tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą wojska polskie nie dokonałyby z tak zażartym uniesieniem tej ofensywy, która miała doprowadzić je w ciągu kilku dni aż do pruskiej granicy, przedzierając z boku i rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców” (podkr. moje).

Po bitwie warszawskiej, we wrześniu (20-28) przyszło jeszcze końcowe uderzenie Piłsudskiego na zbierające się do ponownej ofensywy armie czerwone. Tym razem był to już pogrom zupełny („Gromadnoje porażenie”) jak przyznawał po zapoznaniu się z sytuacją L. Trocki.

Ale gdy groza minęła, gdy Naczelnny Wódz i wojsko dokonali swego zadania — jeszcze przed zawarciem zawieszenia broni i podpisaniem preliminarzów pokojowych — wpływ Piłsudskiego na dalszy bieg wypadków nie tylko nie spotężniał, ale przeciwnie, stracił swój ciężar gatunkowy. Już po zwycięstwie nad Wisłą Rada Obrony Państwa, a po 1-ym października sejm suwerenny, sięgnęły w całej pełni po swoje „prawo decydowania we wszyst-

kich sprawach związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny oraz z zawarciem pokoju". Bowiem to prawo suwerenne do Naczelnika Państwa w ówczesnym układzie konstytucyjnym nie należało. Zmniejszyły się również jego wpływy w rządzie, opartym na parlamentarnej podstawie.

Jakiegokolwiek więc były dalsze decyzje w polityce Rzeczypospolitej między zwycięstwem, a pokojem — nie Józef Piłsudski był za nie odpowiedzialny. Stwierdzam tu tylko stan faktyczny — nie wyrażając bynajmniej żadnych osądów ani potępień.

Pisze, oceniając sytuację po zwycięstwie nad Niemnem, prof. M. Kukiel:

„Dla strony sowieckiej zawieszenie broni było teraz ocaleniem. Dla Polski tylko drogą do pokoju, którego pragnął naród i za którym była jego powszechna wola” (Op. cit. str. 589).

To krótkie zdanie odpowiada rzeczywistości. Jedno tylko zastrzeżenie pod adresem wykonawców tej „powszechnej woli” wydaje mi się niewątpliwe: najbliższe postanowienia ze strony polskiej robiły wrażenie takie, jak gdyby to *dla nas*, a nie dla Rosji Sowieckiej „zawieszenie broni było ocaleniem”. R.O.P. i sejm wykazały skwapliwość i uprzedzającą gotowość do ustępstw i koncesji, zanim jeszcze strona przeciwna o nie wystąpiła. Ze szczególną gorliwością przystąpiono do rezygnacji z programu federacyjnego.

Wiedział Piłsudski już po bitwie warszawskiej, gdy stanęło na porządku dziennym wznowienie rokowań pokojowych, a i później, po rozstrzygającej, wrześniowej, bitwie nad Niemnem, że dla pełnego wyzyskania pogromu armii czerwonej nie będzie miał poparcia nawet lewicy parlamentarnej; że nie może też liczyć na poparcie rządu, które miał z reguły poprzednio przy wszystkich starciach z sejmem o politykę federacyjną. Znał też stanowisko rządów mocarstw zachodnich w tej sprawie, co było rzeczą decydującej wagi. Zajął się więc wyłącznie dokończeniem zwycięstwa.

Przed wyjazdem polskiej delegacji pokojowej do Rygi, dnia 11 września, Rada Obrony Państwa, na wspólnym posiedzeniu z Radą Ministrów, powzięła dwie uchwały: „instrukcję terytorialną” dla delegacji, która modyfikowała znacznie na korzyść Rosji ewentualną linię graniczną, rezygnując ze znacznego obszaru północno-wschodnich ziem Rzplitej, które w toku rokowań można było dla Rzeczypospolitej ocalić. Druga uchwała polecała delegacji polskiej *uznać delegację Ukrainy sowieckiej*, jeśli to żądanie będzie ze strony rosyjskiej wysunięte.

Było to oczywiście przekreśleniem polityki federacyjnej, a w szczególności ukraińskiej, przed czterema miesiącami zaledwie uznanej za „wyraz woli całego narodu polskiego”.

Zarejestruję tu jeszcze fakt, który nastąpił na trzy dni przed datą rozejmu; dnia 15 października rząd polski, na żądanie sejmu, wezwał naczelne dowództwo aby zastosowało postanowienia rozejmowe do niepolskich oddziałów wojskowych, które brały udział w wojnie z Rosją po stronie polskiej. Postanowienia te mówiły, że wszystkie te oddziały mają opuścić terytorium Rzplitej do dnia 2 listopada; jeśli zaś pozostaną — mają być rozbrojone i internowane.

Delegacja na konferencję pokojową w Rydze została wyznaczona przez Sejm; tylko do roli rzeczoznawców ograniczeni zostali nominaci rządu. Przewodniczącym delegacji był wice-minister Spraw Zagr., J. Dąbski, lecz pierwsze skrzypce grał nie kto inny, jak pos. St. Grabski. Mówił on otwarcie: „To będzie mój pokój, a nie Piłsudskiego; i wykreślona zostanie granica z Rosją przeze mnie, a nie przez niego”. Na przytoczonych powyżej uchwałach opierała się większość delegatów sejmowych w czasie rokowań o preliminaria pokojowe i zawieszenie broni, oraz później przy układaniu Traktatu Ryskiego; szczególnie zaś St. Grabski, gdy (jak czytamy we wspomnieniach uczestników konferencji pokojowej, J. Dąbskiego i A. Ładosia) odrzucał wszelkie koncepcje zostawiające przy Polsce Białoruś z Mińskiem, ze „zdecydowanym oporem”, a nawet „niepohamowaną furią”, choć wiadomo było delegacji polskiej, że Joffe gotów był taką granicę przyjąć. Joffe, w kularowych rozmowach, z uszczypliwym zdziwieniem stwierdzał, że „pan Grabski jest bardzo ustępliwy, nic mu na tych terytoriach widać nie zależy, zrzekł się nawet wschodniego skrawka gubernii wileńskiej”.

Ale przebieg i wynik rokowań — Traktat Ryski — są to rzeczy dokładnie znane. Spójrzmy na perspektywy celów dalszych niż w nim osiągnięte, co wymagałoby kontynuowania wojny.

„Trudno jest zbawiać świat wbrew jego woli”

Jeśli się wiąże historię lat 1918-1920 z zagadnieniem możliwości obalenia zmyru bolszewickiej, wiszącej nie tylko nad Polską, lecz i Europą, to po definitywnym naszym zwycięstwie w bitwach nad Wisłą i Niemnem — podstawy takiej możliwości istniały. Armia czerwona była nie tylko rozbita, lecz zdemoralizowana. W szeregach wojska polskiego, po błyskawicznym odwiecie na bolszewikach, panował duch znakomity.

Co zaś do ducha żołnierskiego naszych kombatantów białoruskich i ukraińskich — wykazali oni podziwu godną niezłomność: Bałachowicz przed datą rozejmu wysunął się ze swymi oddziałami przed linię rozejmową, zaatakował bolszewików w Mozyrzu i Kalenkowiczach, które zdobył; w dalszych jednak walkach pod Rzecząca został otoczony przez kilka dywizji sowieckich; przebił się przez nie i wrócił do Polski, gdzie wojsko jego zostało rozbrojone i internowane.

Ukraińskie wojska Petlury postąpiły analogicznie: przekroczywszy linię rozejmową, w dwu tygodniowych walkach opanowały Podole włącznie z Litynem i Żmerynką; dopiero pod Braclawem uległy wielokrotnie przeważającym siłom sowieckim, zmuszone zostały do odwrotu i przekroczenia granicy polskiej dnia 17 listopada 1920 r. Po złożeniu broni oddziały jego zostały internowane również.

(Naczelny Wódz polecił udzielić oddziałom kombatanckim zupełnej swobody wewnątrz obozów, przez ich własne, a nie polskie warty strzeżonych; zachowywali się karnie i z godnością; w ciągu niedługiego czasu większość z nich znalazła zatrudnienie i przyjęła obywatelstwo polskie.)



Nie brakło więc rycerskiej gotowości dla dalszej służby w obronie „wolności narodów”, zagrożonej przez bolszewizm. Ale rycerz mieć musi miecz i zbroję. Przechodząc do realnej rzeczywistości w czasie i klimacie — żołnierz mający ruszać w przestrzenie wschodu musiał mieć też ciepły płaszcz i mocne buty. Jakże wyglądała pod tym względem rzekoma potęga wojska polskiego?

Pisze Piłsudski, że już w czasie defilady w przeddzień kontr-ofensywy znad Wieprza, widział w jednej z dywizji połowę żołnierzy bez butów; zaś w swym rozkazie dziennym po zwycięstwie mówił: „Nieraz, żołnierze, łzy cisnęły mi się do oczu gdy widział wśród szeregów wojsk, prowadzonych przeze mnie, wasze bosa, pokaleczone stopy... Gdy widział brudne łachmany pokrywające wasze ciała...”.

Wynędzniały i złupiony w czasie wojny światowej kraj, posiadający jedną fabrykę amunicji, nie mógł się zdobyć na dalszy wysiłek.

Oczywiście, leżały olbrzymie zapasy odzieży, obuwia i wszelkich dóbr materialnych w magazynach Anglii i Francji; istniały ogromne zapasy broni i amunicji, z którą nie wiadomo co robić. Była też pełna możność dostarczenia tego niezwłocznie dla Polski, gdyby rządy tamtejsze decyzyjnie taką powzięły. Wiemy jednak, że było to wykluczone. Nie było śladu *woli* ku temu. Przeciwnie — skłaniano nas usilnie do zawarcia pokoju jak najprędzej, na najskromniejszych dla nas warunkach. Wywalczyliśmy więcej — dla siebie i dla nich — niż się nasi przyjaciele, prawdziwi i wątpliwi, spodziewali.



Moje konkluzje, mimo wielu momentów negatywnych, które wspomnieć musiałem, są następujące: Naród nasz, jako całość, w latach 1918-20 wykazał wartości niepospolite. Historia tych lat jest warta poznania i na pewno nam ujmie nie przynosi.

B. MIEDZIŃSKI

Kronika kulturalna

Weneckie konfrontacje

Wenecja jest nie tylko miastem oszałamiającym pięknem minionych wieków, ale i aktywnym ośrodkiem sztuki współczesnej. Wielka fundacja Giorgio Cini i niezliczona ilość mniejszych, ale nie mniej ważnych instytucji naukowych stwarzają solidną bazę dla kilku manifestacji artystycznych o światowym zasięgu: oprócz głośnego festiwalu filmowego odbywa się tam bardzo ważny festiwal muzyki współczesnej (z aktywnym udziałem polskim), przeróżne konferencje i sympozja poświęcone sztuce dawnej i nowożytnej, a przede wszystkim co dwa lata słynna retrospektywa współczesnej plastyki — tak zwane „Bienale Internazionali di Venezia”.

Siedemdziesięcioletnia tradycja i wysokie wymagania jury sprawiły, że wystawa ta stała się niejako barometrem sztuki współczesnej. Wystarczy wymienić nazwiska Braque'a, Moore'a, Chagall'a, Matisse'a lub Calder'a, którzy w latach 1948-52 otrzymali pierwsze nagrody, aby mieć obraz wysokiej jakości tej manifestacji artystycznej. Nie będzie przesadą jeżeli powiemy, że dzisiaj nagroda wenecka jest najwyższym wyróżnieniem dla artystów naszych czasów. Ostatnia Bienale ujawniła, niestety, negatywne strony tej sytuacji; z uwagi na znaczenie tej nagrody nacisk rozmaitych potentatów handlu obrazami spowodował, że często wartości estetyczne zeszły na drugi plan. Gdyby zaledwie 10 procent opowiadanych plotek było prawdą, to i tak źle się działo na tegorocznej wystawie. Złośliwi mówią, że jury wybrnęło wyjątkowo sprytnie z tej giełdy handlowej — przyznając pierwszą nagrodę artyście, któremu nikt tego nie zazdrości jako że „to nie artysta, a po prostu technik”... Dostał ją młody Argentyńczyk, Julio Le Parc, pracujący od kilku lat w Paryżu. Jego kompozycje optyczne poruszane są za pomocą elektrycznych motorków i ruch elementów powoduje pewnego rodzaju fikcyjne kompozycje świetlne. Pomysł ten był już zrealizowany na październikowej paryskiej Bienale w roku 1965. Wtedy grupa „Re-

cherches d'un art visuel" z galerii Denis René zajmowała swoimi podrygującymi płytami i świetlnymi kulkami kilka sal w Musée d'Art Moderne de Paris. Wywołało to rozbawione zainteresowanie publiczności, ale nikt nie dopatrywał się tam głębszych walorów artystycznych. Sam Le Parc był mocno zaskoczony gdy oznajmiono mu, że dostał główną nagrodę na 33-cim „Bienale Internazionale di Venezia” i to w dodatku w dziale malarstwa. Czy jest to malarstwo? Osobiście mam ku temu uzasadnione, jak mi się wydaje, wątpliwości, ale pomijając sprawy klasyfikacji, uważam prace Le Parc'a za ciekawy eksperyment. Jego niezaprzeczalne osiągnięcia w dziedzinie pewnego poetyzowania obrazu świetlnego poprzez ruchomość nie ulegają chyba wątpliwości. Niemniej sędzę, że sztuka nie składa się tylko z eksperymentów. Warto przypomnieć sobie niezliczone przykłady artystów niszczących szkice i niezupełnie zrealizowane płótna. Z tej perspektywy decyzja jury w Wenecji jest krokiem bardzo ryzykownym; odchodząc od tradycji „dzieła sztuki” (aby nie użyć tak strasznego dzisiaj słowa *chef d'œuvre*) kieruje się ona ku eksperymentowi. Czy chcąc być zupełną awangardą (w sensie czasowym) decyzyja ta nie traci na wartości ponadczasowej (gatunkowej)?

Le Parc stanowił jednak małą część problemów tegorocznej wystawy. Przede wszystkim uderzał widza pewien niewolnicizm malarzy, którzy w pogoni za nowościami stali się niewolnikami pewnych mód. W tym roku wyraźnie się zarysowywały dwie tendencje: *pop art* i *op art*. *Op art* zalewał (a raczej „organizował”) ściany w pawilonach najprzeróżniejszych krajów. Nie podobna było odróżnić Jugosłowian od Brazylijczyków, Włochów od Szwedów. Wszędzie te same wariacje, którym już brak świeżości i różnorodności. Brak im przede wszystkim tej siły plastycznej i charakterystyki materii, którą posiadają do dzisiaj kompozycje twórcy tego kierunku — Vasareli'ego. *Pop art* z kolei przeżywał też swój smutny kryzys. To co frapowało dwa lata temu w *collage*'ach amerykańskiego „gniewnego beatnika” Rauchenberga stało się dzisiaj receptą dystrybuowaną na całym świecie, chciałoby się powiedzieć przez powielacze. Ciekawe by było zastanowić się głębiej co oznaczają dzisiaj obrazy młodego artysty Otero z Wenezueli, który używając tej samej techniki „protestuje” przeciw biedzie własnego kraju, a dwa lata temu Rauchenberg „protestował” przeciw bogactwu Nowego Yorku. Czy jest to upadek *pop art*'u, czy po prostu przejście do innego rejestru? Znając dobrze koleje losu socrealizmu możemy na tych dwóch przykładach zastanowić się nad symboliką dzisiejszych stylów. W dobie obecnej artyści „zaangażowani” bardzo często łączą treść z formą, uważając tę ostatnią za integralny składnik koncepcji „socjalnej” ich dzieła. Powstaje też pytanie czy dzisiejsze nowinki stylistyczne nadają się do wyrażania tak przeciwstawnych treści, czy też w dobie ogólnej specjalizacji mechanicznej sztuka plastyczna wytwarza również swoje „specjalistyczne” style — jeden od kuchni, drugi od tkanin, trzeci od polityki. Zadałbym wtedy pytanie: a który od Sztuki?

Wśród ekspozycji narodowych Włosi bez żadnej skromności wysunęli się na czoło sześćdziesięcioma salami. Nawet w katalogu (alfabetycznym) zarezerwowali sobie z góry pierwsze miejsce. Niemożliwe jest systematyczne omówienie tego pawilonu, ale mimo różnego poziomu poszczególnych sal, mało jest dzisiaj krajów które mogłyby z powodzeniem wystawić jednocześnie taką dużą ilość twórców, bardzo często na dość wysokim poziomie. Nagrodę narodową Włosi przyznali Lucio Fontanie, którego ekspozycja w ramach „Bienale” niestety była bardzo słaba. Znamy dobrze jego płótna z wystaw galerii Jolas na bulwarze Saint-Germain w Paryżu, ale w Wenecji Fontana pokazał zespół, którego ambicje „super awangardowe” obniżyły znacznie wartość estetyczną. Brakowało temu zestawowi (jak zawsze, ciętych nożem płócien) tej słynnej delikatności kolorystycznej cięć ponieważ... wszystkie obrazy były całkowicie białe. Najlepszą włoską inicjatywą były dwie retrospektywy: Boccioni'ego i Morandi'ego. Pokaz dzieł Boccioni'ego nie był bardzo udany ponieważ zdecydowano się na pewnego rodzaju kompromis między koncepcją historyczną i czysto stylistyczną. Za mały nacisk położono na aspekt rzeźbiarski temperamentu artystycznego inicjatora szkoły futurystów. W rezultacie pokaz był karuzelą tych samych tematów z różnych dat życia artysty, co nie pomagało publiczności do wyrobienia sobie jasnego pojęcia o osobowości twórczej tego wielkiego nowatora sztuki „kinetycznej”. Znacznie korzystniej wypadła ekspozycja Morandi'ego. Historycznie rzecz biorąc, utrafil Włosi na właściwy moment urządzenia tej wystawy, gdyż dzisiejszy widz jest bardzo wrażliwy na delikatną poezję martwych natur Morandi'ego. Stanowiły one jaskrawy kontrast z całą jarmarcznią nieco krzykliwością *op art*'u. Chwile spędzone wśród obrazów tego *petit maître'a* były dla mnie wyjątkowo odświeżające. Zastanawiałem się czy klasyczna kompozycja tych martwych natur i pejzaży może być świetną szkołą warsztatu malarzkiego dla młodych artystów szukających rozgłosu byle wymysłem, często bardzo lekkomyślnie rzuconym na płótno.

Wśród wielkiej ilości komercyjnej abstrakcji, nowej figuracji i taniego surrealizmu dobre wrażenie robił pawilon hiszpański. Ciekawe płaskorzeźby z ciętej blachy Amadeo Gabino pokazały spokojnym opanowaniem przestrzeni i pięknem jednolitej materii, że Hiszpania posiada dzisiaj oprócz bardzo dramatycznej szkoły abstrakcyjnych malarzy, imponującą poziomem warsztatowym grupę rzeźbiarzy. Zwraçały uwagę bardzo ciekawe rysunki Japończyka Masuo Ikedy, których „intelektualna” kreska łączy tradycję europejskiego surrealizmu z mentalnością japońskiej tradycji graficznej. Całokształt produkcji angielskiej wykazał dobitnie, że Wielka Brytania posiada dzisiaj już pokazną ilość młodych i utalentowanych twórców na poziomie światowym. W małym, ale pięknie urządzonej pawilonie Stanów Zjednoczonych pokazano czterech malarzy: Helen Frankenthaler, Ellsworth Kelly, Roy Lichtenstein i Jules Olitski. Mimo różnorodności stylu robiło tam duże wrażenie dobre rzemiosło, poparte wysoką kła-

są koncepcji estetycznych. Można śmiało powiedzieć że amerykańska sztuka wyszła już z okresu pionierskiego. Dzięki szerokiej akcji muzeów, galerii obrazów i uniwersytetów została stworzona solidna baza estetyczna, której szeroki zakres jest ważnym zapleczem dla młodych twórców. Stany Zjednoczone przestały być pustynią z oazami, ale stają się powoli krajem posiadającym liczną grupę artystów o nieprzypadkowych gustach. Istnieją też dobre szkoły artystyczne, w jednej z których właśnie wykłada Helen Frankenthaler. Nawet typowo amerykańską agresywność swoich jednokolorowych kwadratów utrzymuje Ellsworth Kelly w stylu szlachetniejszym niż można było tego się spodziewać kilka lat temu, a Roy Lichtenstein mimo swojej upartej manii „komiksowej”, odważył się na czystą abstrakcję (ciągle w tym samym stylu).

Z krajów obozu socjalistycznego wybijały się na czoło czysto malarskie wystawy ZSSR i Rumunii. Rumuni zdecydowali się na dość ryzykowną koncepcję poświęcając cały pawilon jednemu twórcy. W wypadku malarza Ion Tuculescu jest to posunięcie zupełnie uzasadnione i wydaje mi się, że mimo dużej ilości powtarzających się motywów, retrospektywa tego artysty osiągnęła oczekiwany rezultat pokazując na przykładzie jednego twórcy całą tradycję malarską tego kraju i jednocześnie korzenie nowoczesnej szkoły, którą mam nadzieję że za 2 lata obejrzymy na następnej „Bienale”. Tuculescu to prawdziwy malarz, który umiał włączyć do własnego stylu elementy folkloru rumuńskiego (chciałoby się sprecyzować: transylwańskiego) i jednocześnie wyjść z tej bazy poza ciasny krąg „folklorystyczny”. Ten pewnego rodzaju Bartok malarstwa rumuńskiego czuje materię w sposób bardzo indywidualny, *la pate* jest zdecydowana i soczysta, a światło promieniuje radośnie z jego delikatnych pejzaży. Dla Iona Tuculescu problem dogmatyki jednego określonego stylu nie istnieje — przechodzi on z wielką łatwością od poetyckiego realizmu ku pełnej abstrakcji. W latach 1955-57 abstrakcja śmiało wkracza w zasięg jego techniki i jest jakoby jego naturalnym odkryciem, konsekwencją własnego rozwoju twórczego. Data ta daje trochę do myślenia gdyż znamy bardzo dobrze co się w tych latach działo w sąsiednich krajach. Czy w perspektywie pewnych zagadnień socjalno-kulturowych ewolucja tego malarza jest czystym przypadkiem?

Największą rewelacją dla mnie był pawilon sowiecki. Po smutnych wspomnieniach sprzed dwóch lat zostawiłem go sobie na koniec tego ogromnego maratonu optycznego. Pełen rezerwy i sarkazmu wchodziłem po schodach śmiesznej willi w stylu „socjalistyczno-kolonialnym” (Soczy i td.), spodziewając się znowu zobaczyć żalosne wysiłki rzeźbników socrealizmu. Byłem miło zaskoczony widząc środkową salę malarstwa. Po raz pierwszy od kilkunastu lat Związek Sowiecki posłał do Wenecji prawdziwe obrazy, a nie slogany polityczne. Można śmiało powiedzieć, że rosyjskie malarstwo obudziło się po koszmarnym śnie żdanowizmu. Obrazy przedstawiały ciągle jeszcze robotników pod fabryką,

Lenina, Swierdłowa i młodych sportowców, ale nie były to ciągle te same bezmyślne ludzkie maszyny „radosnego społeczeństwa socjalistycznego” patrzące „z wiarą w przyszłość” nie były to wzory „bohaterów pozytywnych”, a po prostu ludzie użyci jako temat do malarskich dzieł. Malarstwo to zdaje się emancypować z kręgu doktrynerstwa politycznego, pozostawiając je na szczęście „Komsomolskiej Prawdzie”. W portrecie Szostakowicza Serebrjannyj stara się odnaleźć pewne nowe właściwości materii malarskiej, szukając światła, które nie zatrzymuje się tylko na powierzchni, a rozdrabnia fakturę, analizuje ją i stara się rozłożyć na składniki chromatyczne. W rezultacie powstaje pewnego rodzaju ziarnistość materii, co jest jakby przejęciem do innego rejestru, zapożyczeniem z „burżuazyjnej” techniki. W tych poszukiwaniach zbliża się on do Dymitria Żylńskiego. U Serebrjanego widać poza tym szeroką kulturę plastyczną; zna on z pewnością Mondriana, którego wiernie naśladuje organizując przestrzeń podobnymi schematami geometrycznymi. Obraz „Młodzi sportowcy kadry narodowej ZSSR” Żylńskiego pokazują inne poszukiwania tego 40-letniego malarza. Sucha faktura i przesadna nieruchomość przedstawionych sportowców są wspaniałym tłem dla eksperymentów kolorystycznych. Chyba po raz pierwszy od narodzin socrealizmu pozwalają sobie sowieccy malarze na swobodne eksperymentowanie w tej dziedzinie. Ten obraz nie jest „gloryfikacją pozytywnych aspektów uprawiania kultury fizycznej”, a po prostu Malarstwem, czystym uczciwym malarstwem, które dziwnie przypomina styl tak zwanego „realizmu amerykańskiego” z lat przed drugą wojną światową. Najciekawszy był chyba obraz Żarina „Przemówienie”: estrada obita czerwonym płótnem, Lenin, Swierdłow, Dzierżyński i symetrycznie ustawione głowy „klasy rewolucyjnej” — po jednej stronie hełmy żołnierzy, po drugiej robotnicy. Czy można znaleźć temat bardziej ortodoksyjny? Ale tym razem ujawnił się duży temperament malarski Żarina, którego ambicją było zrobienie obrazu, a nie plakatu politycznego. Wspaniale rzucona czerwień dramatycznie rozwianych flag, wręcz kubistyczna faktura Swierdłowa, schematyzm i siła kolorystyczna złożyły się w tym dziele na organiczną całość o niezaprzeczalnej sile wyrazu. To chyba pierwsze prawdziwe dzieło stylu realizmu socjalistycznego (oczywiście w szerokim znaczeniu tego słowa) jakie widziałem od lat.

Jeszcze jeden delikatny, abstrakcyjny obraz, nazwany „dla przyzwoitości” „Pejzażem” przez swojego twórcę Genadia Kuźmina, przypomina nam swoim subtelnym różnicowaniem kolorystycznym „Ecole de Paris” z lat 1945-50, jej drobnomieszczański guścik — pełny lirycznej poezji i jej *facture tachiste*. Na tej drodze poszukiwań bardziej różnicowanej faktury spotykają się sowieccy malarze bardzo często ze stylem komercyjnego malarstwa europejskiego z lat powojennych. Muszą oni jednak szybko przejść drogę, dzielącą ich od obecnego poziomu światowego.

Sale grafiki ochłodziły nieco mój entuzjazm, bo widziałem mnóstwo słabych ilustracji. Z wiadomych powodów politycznych

najważniejsze miejsce w pierwszej sali zajmowała twórczość miernego żydowskiego artysty Anatola Kapłana, którego jedyną zaletą była tematyka żydowska.

Rosyjskie malarstwo „podziemne” znany z nielicznych reportaży zachodnich pism (*Time'a* i *Life'a*), były nawet zdjęcia abstrakcyjnych obrazów, ale wydaje mi się że wenecki pokaz jest ważniejszy, ponieważ uświadamia nam że w sowieckiej plastyce dzieje się coś nowego, że ma to charakter powszechny i ma oficjalną aprobatę. Niedawno zrehabilitowano twórczość Falka, którego obrazy Chruszczow uważał za malowane „oślim ogonem”, zdaje się że w Moskwie rehabilituje się naprawdę malarstwo.

Na tle ambitnych poszukiwań naszych sąsiadów i skrajnej awangardy włoskiej lub angielskiej polska ekspozycja okazała się kolejnym niepowodzeniem. Fakt ten nie byłby alarmującym gdyby chodziło o przypadkowy zbieg okoliczności, ale jest to reguła, która każe się zastanowić głębiej nad tą smutną sytuacją. Wystawiano w tym roku Juliusza Studnickiego i Henryka Stażewskiego — artystów znanych i cenionych w Polsce, niemniej ich wartość „polska” nie ma nic wspólnego z profilem i wymaganiami „Bienale” w Wenecji. Wybierając twórczość tych dwóch artystów (trzeba zaznaczyć, że zestaw prac Stażewskiego był dość przyciętny) popełniono zasadniczy błąd urządzając pawilon polski „sobie a muzom”. Chcąc być pobłażliwym można by powiedzieć, że to zła polityka, ale wydaje mi się że po prostu organizatorom brak jakiegokolwiek koncepcji i że wystawę urządzali ludzie, którzy nigdy nie przekroczyli progę Kordegardy. W ten sam sposób „załatwiono” ekspozycję wenecką w roku 1964 wysyłając rzeźby Woźnej i rysunki Kulisiewicza. Nie można pominąć faktu że twórczość Kulisiewicza już pokazano raz w Wenecji w roku 1954¹. Uzyskał on wtedy zasłużone uznanie publiczności i krytyki, 12 lat później jednak jego delikatne rysunki wypadły już dość blado (czyż byłby on pierwszym polskim awangardzistą na przestrzeni 12 lat?... mam co do tego duże wątpliwości). Skompletowano te ekspozycje dość skromniutkimi poczynaniami, pełnej wdzięku skądinąd twórczości Woźnej. Czyżby czynnikom kompetentnym nie było wiadomo, że na wystawę składającą się z kilku tysięcy dzieł, wysłała się zespół „uderzeniowy” — jeżeli nie specjalnie wysokim poziomem jakiegoś dojrzałego mistrza w rodzaju Calder'a lub Morandi'ego to przynajmniej coś bardzo agresywnego i nowatorskiego, jak to zrobili w tymże samym roku Amerykanie z Rauchenbergem, zdobywając tą odwagą pierwszą nagrodę. Cóż może zdziałać w takiej wielkiej konkurencji „cicha” grafika Kulisiewicza lub nawet zestaw prac Stażewskiego? Gdyby jego kompozycje pokazano 10 lat temu, to na pewno wywarłyby one oczekiwane wrażenie, gdyż wtedy poszukiwania przestrzenne tego artysty znajdowały się w pierwszych szeregach awangardowej myśli plastycznej Europy, ale dzisiaj, gdy w każ-

1. Wystawiono wtedy zespół rzeźb Dunikowskiego i grafikę Kulisiewicza i Kobzdeja.

dym Prisunic'u sprzedaje się koszule w stylu *op art...* Tak samo (jeżeli nie gorzej) ma się sprawa ze Studnickim, którego styl rysunkowy i nawet ciekawa specyfika temperamentu ekspresyjnego o zabarwieniu „folklorystyczno-satyrycznym” jest *hors concours* w 1966 roku w Wenecji. Że w polskiej polityce „eksportu sztuki” jest źle, nikt nie ma złudzeń, gdyż sam Starzyński na kilka miesięcy przed „Bienale” w wywiadzie udzielonym „Współczesności” oświadczył: „u nas wszystko zdane jest na żywiołowość i przypadek (...) nie przesadzę ani o jotę kiedy powiem, że jest źle”. Jednocześnie wie dobrze Starzyński co należy zrobić, przypominając że największy sukces odniosła polska sztuka w roku 1925 w Paryżu na międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej, ponieważ „nasza ekspozycja wyszła naprzeciw ówczesnym tęsknotom za stylem, za odrębnością. Zaprezentowaliśmy nie tylko sztukę ludową, ale i nowe kierunki w sztuce”. Szkoda, że mądre te słowa, wypowiedziane na 2 miesiące przed otwarciem weneckiej wystawy, zostały zignorowane. W całej wypowiedzi Starzyńskiego uderza rezygnacja. Poczesa się on na końcu, że właściwie „w perspektywie historycznej... nie jest tak źle”... Kto będzie o polską sztukę walczył, jeżeli najwięksi kapłani załamują ręce? Andrzej Jakimowicz pisze w tym samym piśmie, że „proces dokonywania zespołów odbywa się u nas drogą poczyniń tak subtelnych (...) że winno nam wystarczyć oczekiwania na kolejny brak sukcesów²”. W świetle tych wypowiedzi jest jasne, że trudno jest liczyć na sukcesy, skoro ludzie którzy mogliby coś zdziałać choćby piórem, zajmują stanowisko oportunistyczne, podyktowane być może polskimi realiami. Odosobniona ostra krytyka³ (w dodatku niezupełnie słuszna) nie wystarcza. Trzeba by zreformować system selekcji i tak zwaną „politykę eksportu sztuki”. Sukces tegorocznej wystawy polskiej plastyki w Szwecji jest wystarczającym dowodem, że nie brak w Kraju młodych i zdolnych artystów, których można by pokazać z powodzeniem w Wenecji: choćby świetne rzeźbiarki Ślesieńską lub Magdalenę Więcek, a czemuż by nie tak ciekawego Hasióra? Oczywiście jeżeli odpowiednio komisje się na to zdecydują za 10 lat... trudno będzie liczyć na powodzenie. Nawet prof. Starzyński przesadza w swoim polskim optymizmie wierząc w cuda, czyli w zainteresowanie zagranicznej publiczności i krytyki ewentualnymi retrospektywami Cybisa lub Eibicha.

Opuszczając piękny park wystawy weneckiej — słynne „Giardini” — byłem przytłoczony ogromem dzisiejszej produkcji plastycznej, bezosobową masą dzieł tworzonych w pośpiechu w pogoni za modą, tandetą artystyczną, kryjącą się za skomplikowanym sztafażem spekulacji intelektualnych. W pamięci pozostawały wspomnienia jak najbardziej ogólne: kilka ładnych rzeźb, trochę obrzydzenia dla ekscentrycznej ściany „Rainbow Environ-

2. „Współczesność” Nr 8 z 26. IV. 66.

3. Oseka krytykował Stażewskiego.

ment 3" Japończyka Ay-o i dla tandetnego sadyzmu surrealistycznego, austriackiego „geniusza”, Curta Steverta. Nieudany zestaw francuski przesłaniał zupełną „zerowość” pawilonu izraelskiego. Pozostały piękne ciepłe kolory Tuculescu i subtelność intelektualnej percepcji martwej natury Morandiego.

Andrzej NAKOV

Książki

Powieść o Kronice Galla

Od wielu lat pracuję nad zagadnieniami najnowszej historii Polski. Naokoło mnie książki, pisma, publikacje, a co ważniejsza — dokumenty, związane z ostatnimi dziejami Polski, przeważnie okresu niepodległości 1918-39 i potem. Jak każdy historyk podlegam wzruszeniu, gdy mam w ręku nieopublikowany dotąd oryginał listu Piłsudskiego, ołówkiem kopiowym pisane kartki ręką Petlury, pięknym, drobnym pismem listy Sawinkowa, codzienne rady gen. Weyganda z sierpnia 1920 r., odręcznie pisane po francusku i przesyłane do sąsiedniego pokoju w Sztabie Generalnym, gdzie urzędował gen. Rozwadowski (ci dwaj generałowie nie rozmawiali ze sobą, na szczęście dla historyków, którym pozostawili owe kartki, często ze zjadliwymi uwagami gen. Rozwadowskiego). To jest moje królestwo w którym żyję i w którym najlepiej się czuję.

I nagle przeskok. Od najnowszej historii, której wiele personae dramatis tak dobrze się znało, twarze których jeszcze się widzi, a głos słyszy — do pierwszej historii Polski, pisanej przed 850 laty. Do Galla Anonima.

To spotkanie początku, z dzisiejszym przynajmniej, końcem historii, to *rendez-vous* dziejów i czasów zawdzięczam wielkiej pracy Anieli Gruszeckiej „Powieść o kronice Galla”. Czytanie tej historycznej powieści o gigantycznym rozmiarze w czasie od Krzywoustego do Lelewela (a to jeszcze nie koniec, bo dalszy tom jest w robocie), wciągnęło mnie do samego jądra sprawy: do kroniki Galla.

Kto z nas czytał tę kronikę? Z nie-historyków zapewne nikt. Kto coś o niej wie? Niewielu i niewiele, poza tym, co podaje podręcznik szkolny w kilku wierszach, dawno zapomnianych. Książka Pawła Jasienicy („Trzej kronikarze”) z esejem o Gallu i dłuższymi wyjątkami jego kroniki, wyszła dopiero w 1964 r.

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Ponieważ i sam byłem w niewiele lepszym położeniu, więc, czytając powieść Gruszeckiej, sięgnąłem do źródła*.

Któż to był ten Gall, który w spadku zostawił nam pierwszą historię naszego kraju? Jak to często bywa z pisarzami i artystami średniowiecza, prawie nic pewnego o nim nie wiemy. Dociekliwi historycy przypuszczają, że był to Francuz (Gall), benedyktyn z klasztoru St. Gilles w Prowansji (koło Arles) który, jak wielu innych braci zakonnych, przybył zapewne w końcu XI w. na Węgry, do klasztoru benedyktynów w Samogyvar. Nie wiemy, kiedy przybył do Polski, ale wiemy, że był tam w czasie panowania księcia Bolesława Krzywoustego. Faktem jest, że był naocznym świadkiem pokutnej pielgrzymki Krzywoustego do tegoż Samogyvar, co miało miejsce w 1113 r.

Był to pisarz dużej miary, jak świadczy tekst jego kroniki. Data jej powstania nie jest znana, lecz można przypuszczać, iż pisana była w latach 1112-1116. Ogromna jej część poświęcona jest Krzywoustemu. Na trzy części kroniki, tylko pierwsza, licząca w ostatnim wydaniu Ossolineum 62 strony, obejmuje okres od przodków Mieszka I-go do narodzin Krzywoustego. Część druga (63 str.) dotyczy jego dzieciństwa, a część trzecia (52 str.) okres tylko czteroletni, gdy Krzywousty, po wygnaniu przyrodniego brata Zbigniewa, objął niepodzielną władzę w państwie (1109-1113).

Celem autora była apologia Krzywoustego. Poświęcając mu dwie trzecie swej opowieści, Gall pragnął wykazać jego wybitne zdolności, odwagę, rozum polityczny i rzutkość w śmiałych decyzjach wojskowych. Gall podkreśla, iż Bolesław III kontynuuje dzieło swych wielkich imienników, Chrobrego i Śmiałego, których życiorysy, zwłaszcza Chrobrego, mogą służyć za wzór do naśladowania dla Krzywoustego i jego następców. W poetyckiej wizji autora Bolesław Chrobry widzi „z daleka, jak z lędźwi moich rodzi się jak gdyby karbunkuł świetlisty (*carbunculum emicantem*) który, ująwszy rękojeść miecza mego, całą Polskę swym rozjaśnia blaskiem (*qui.. suo splendore Poloniam tutam efficit relucentem*)”. To ma być przyszły Krzywousty.

Charakterystyczny dla kroniki Galla jest brak dat. Nie ma w niej ani jednej. Dnie i miesiące można ściślej określić, gdyż czasami autor powołuje się na świętych, patronów danego dnia (Wniebowzięcie Panny Marii, dzień św. Wawrzyńca, św. Bartłomieja apostoła i tp.). Lecz jeśli chodzi o lata, to trzeba ich szukać w innych dokumentach lub obcych kronikach.

Gall był historykiem opisującym, jak inni jemu współcześni, czyny królów i książąt (*gesta*). Zapewne przed kroniką polską napisał inne, nieznanne nam prace. Ale był to także poeta o wrażliwej duszy. Kronika bowiem pisana jest nie tylko prozą, lecz pewne jej części Gall podaje wierszem lub prozą rytmowaną. Rytm opowieści ujawnia się w układzie całości przy jej podziale

* Anonim tzw. Gall. *Kronika polska*. Przełożył Roman Grodecki, przekład przejrzał, wstępem i przypisami zaopatrzył Marian Plezia. Wrocław, Ossolineum, 1965. Str. XCIV, 194, ilustr.

na trzy księgi, z których każda zawiera wierszowany wstęp oraz trzy przemowy głównych bohaterów opowieści, przeplatanych rytmowanymi ustępami. Pod względem literackim kronika Galla jest pięknym, artystycznie opracowanym, wzorem literatury średniowiecznej.

Tego rodzaju forma historycznej opowieści była znana w tym okresie. Wiadome jest, że zaginione *Gesta Hungarorum* z końca XI w. były pisane podobnie. Istnieje wiele innych utworów w różnych krajach pisanych w tego rodzaju formie, że przytoczę „Słowo o pułku Igora”, pisane w 70 lat po kronice Galla (1185). Wprawdzie co do „Słowa” istnieją wśród naukowców wątpliwości czy rzeczywiście jest to utwór oryginalny z XII wieku, jak twierdzi wśród innych prof. Roman Jakobson z uniwersytetu Harvardzkiego, czy falsyfikat z czasów Katarzyny II (prof. André Mazon, a z naszych prof. Henryk Paszkiewicz), tym niemniej pod względem literackim jest to dzieło o najwyższych walorach artystycznych.

Przekład kroniki Galla przez Romana Grodeckiego, poprawiony przez wybitnego znawcę łaciny średniowiecznej, Mariana Plezia, wydany obecnie przez Ossolineum, jest uważany za najbliższy oryginału. Tym niemniej nie oddaje on piękna tekstu łacińskiego, jak może świadczyć poniżej podany koniec przedmowy Galla do księgi I-iej o pięknie ziemi polskiej.

Oto tekst łaciński gdzie, dla podkreślenia rytmu i rymów, charakterystycznych dla Galla, rozbito ciągłość oryginalnej wersji na rytmiczne wiersze:

*Que regio quamvis multum sit nemorosa;
auro tamen et argento
pane et carne
pisce et melle
satis est copiosa;
et in hoc plurimum aliis preferenda;
quod
cum a tot supradictis gentibus
at christianis et gentilibus
sit vallata;
et a cunctis insimul et a singulis
multociens impugnata;
nunquam tamen ab ullo
fuit penitus subiugata.
Patria ubi
aër salubris
ager fertilis
silva melliflua
aqua piscosa
milites bellicosi
rustici laboriosi
equi durabiles
boves arabiles*

vacce lactose
oves lanose.

A oto ten sam tekst „Kroniki” w tłumaczeniu Grodeckiego i Plezi:

„Kraj to wprawdzie bardzo lesisty, ale niemało przecież obfituje w złoto i srebro, chleb i mięso, w ryby i miód, a pod tym zwłaszcza względem zasługuje na wywyższenie nad inne, że choć otoczony przez tyle wyżej wspomnianych ludów chrześcijańskich i pogańskich i wielokrotnie napadany przez wszystkie naraz i każdy z osobna, nigdy przecież nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności; kraj, gdzie powietrze zdrowe, rola żywna, las miódopłynny, wody rybne, rycerze wojowniczy, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły chętne do orki, krowy mleczne, owce wełniste”.

Nie mam żadnej wątpliwości o wyższości artystycznej tekstu oryginalnego Galla nad tłumaczeniem polskim.

Oryginał kroniki Galla z początku XII w. nie zachował się. Najlepszym i najstarszym jego odpisem jest tzw. rękopis Zamoyskich, odnaleziony w Warszawie w bibliotece Zamoyskich w 1848 roku. Istnieje także dość wierny „kodeks Sędziwoja” z XV w., a także „rękopis Heilsberski” z którego jednak usunięto ustęp Galla o zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem i wprowadzono szereg drobnych opuszczeń i zmian.

O tym zatargu, będącym najbardziej kontrowersyjną sprawą kroniki, pomówimy oddzielnie.

Układ powieści Anieli Gruszeckiej

Pomysł ujęcia historii *Kroniki polskiej* w formie powieściowej powstał u Gruszeckiej w latach okupacji niemieckiej w Polsce w ostatniej wojnie. Jak pisze autorka we wstępie:

„Temat o Gallu narzucił mi się w czasie okupacji. Czytanie, z możliwością zupełnego zapomnienia na parę godzin o dzikim ekshibicjonizmie bestialstwa hitlerowskiego, wśród którego musiało się żyć, było swego rodzaju narkotykiem znieczulającym. Takie dwie czy trzy wyjęte poza truciznę dnia godziny były znacznym odpoczynkiem, wszystko jedno, czy szło o jaki kryminał angielski, czy np. właśnie o Kronikę Galla”.

Dramatyczne losy anonimowej kroniki, fałszowanie jej tekstu na przestrzeni wieków, a potem odszukiwanie oryginalnej wersji i zacięte walki naukowców i laików o ścisłość tekstów i ich interpretacji, mogły zafascynować znaną autorkę szeregu prac dotąd wydanych.

Koncepcja ogólna powieści objęła okres około 900 lat, zawarty

w pięciu tomach już wydanych, a szóstym (ostatnim) w przygotowaniu. Anonim Gall jest w nich łącznikiem, wiążącym w artystycznej koncepcji powieściowej przemijające wieki historii Polski.

Praca, wydana w Krakowie przez Wydawnictwo Literackie, ujęta jest przez Gruszecką w formie trzech części: część I (w dwóch tomach) nosi tytuł „Owe lata” i obejmuje częściowo okres panowania Władysława (u Gruszeckiej Włodzisława) Hermana i Bolesława Krzywoustego, poczynając mniej więcej od roku 1093, a kończąc na 1113. Samego Galla tu jeszcze nie spotykamy, lecz za to mamy przedstawiony obraz epoki, w której żył i pracował. Występuje on dopiero w drugiej części dzieła, zatytułowanej „Gall pisze kronikę”. Obie te części (razem trzy tomy) wyszły w 1962 r.

Opisawszy, jak powstawała kronika Galla, Gruszecka odrywa się od początków XII w. i w trzeciej części powieści pod ogólnym tytułem „W rękę potomnych” omawia dalsze jej dzieje. Tom I. tej części nosi znaczący tytuł „Gall w cieniu” (Kraków, 1964) i obejmuje czasy pisania historii Polski przez Wincentego Kadłubka w końcu XII w. oraz Jana Długosza w XV w. Obydwaj historycy korzystali z odpisów „Kroniki”, zwłaszcza Kadłubek miał na pewno ścisły jej tekst. Ale, pisząc swą historię i będąc obdarzony bujną imaginacją, nagiął fakty przedstawione u Galla do swoich koncepcji, często zupełnie fantastycznych, jak walki Polan z Rzymianami, jak małżeństwo króla polskiego Leszka z Julią, siostrą Juliusza Cezara i tp., często zaś celowo zmienionych, jak zabójstwo biskupa Stanisława, co odpowiadało osobistym poglądom Kadłubka na tę sprawę.

Długosz, najwybitniejszy polski kronikarz, był bardziej obiektywny, niż Kadłubek, lecz i on uważał, iż wersja Galla o zabójstwie biskupa była nieścisła i w tym względzie powtórzył opinię Kadłubka.

Tak przechodziły wieki gdy Gall był „w cieniu”, gdyż autorytet Kadłubka i Długosza jako kronikarzy nie podlegał wątpliwości.

Dopiero Tadeusz Czacki w ostatnich latach XVIII w. (już po trzecim rozbiórce Polski) odnalazł dość wierny tekst kroniki Galla („kodeks Sędziwoja”) z XV w. i miał zamiar wydać go drukiem. Kontrowersyjna sprawa św. Stanisława wpłynęła na opóźnienie opublikowania pełnego tekstu Galla po łacinie i po polsku. Ostatecznie Gall znalazł się „w słońcu” za sprawą Joachima Lelewela w pierwszym ćwierćwieczu XIX w. To jest treścią ostatniego dotąd wydanego tomu powieści Gruszeckiej („Gall w słońcu” wolumen pierwszy, Kraków 1966).

„Powieść o Kronice Galla”

Porywając się, z jakże wielkim sukcesem, na to ogromne przedsięwzięcie, Gruszecka wybrała formę najbardziej jej odpowiadającą, tj. powieści. Jej talent literacki, może odziedziczony po ojcu, Arturze Gruszeckim, wybitnym powieściopisarzu, nie-

słusznie dziś zapomnianym, sprostał i tym razem wielkiemu celowi. „Powieść o Kronice Galla” jest pod względem literackim napisana doskonale.

Ale Gruszecka jest w tej pracy nie tylko powieściopisarzem. Jest także historykiem, głęboko wnikniętym w średniowiecze. W ścisłości ujęcia faktów może pomogło jej tytulotnie obcowanie z mężem, profesorem Kazimierzem Nitschem, jednym z najwybitniejszych filologów polskich. Ale to, co czytelnika uderza, to wielka, wnikliwa jej praca badawcza, świetna znajomość łaciny (jakże piękne są jej przekłady niektórych ustępów Galla) i mrówcza praca nad dokumentami epoki.

I tak się rodziła ta wielka powieść. Pisana jest językiem współczesnym, tu i tam z lekka archaizowanym by dać kolor i klimat owych czasów, bez nadużycia jednak ówczesnego języka, co mnie często razi u Gołubiewa. Opisy przyrody, puszczy, pokrywającej wówczas Polskę, są pełne czaru, jak również znakomite są opisy walk Krzywoustego z Pomorzanami, Czechami czy Niemcami. Kiedy Gruszecka opisuje oblężenie Głogowa przez cesarza Henryka IV w 1109 r., gdy Niemcy przywiązywali dzieci-zakładników do wież, podsuwanych ku murom miasta, miała niewątpliwie w swych oczach powstanie warszawskie 1944 r. i polskie kobiety, przywiązywane do tanków niemieckich. Po prawie 840 latach Niemcy powrócili do starych, nieludzkich metod walki.

Opisy bitew są wielkimi wyczynami pióra Gruszeckiej, jak np. bitwa Krzywoustego ze Zbigniewem, swym bratem przyrodnim (nieprawym synem Władysława Hermana) pod Kruszwicą, lub bitwa na „Psim polu”. Porównać je można z opisami Sienkiewicza, który dla mnie jest ciągle wielkim majstrom tego rodzaju literatury.

Znakomicie nakreślona jest postać Sieciecha, silnego i władnego pana przy słabym Władysławie Hermanie, bezwzględnego, zapewne mordercy otrutego Mieszka, syna Bolesława Śmiałego i kilkakrotnie usiłującego zabić lub otruć Bolesława Krzywoustego. Dyskretna wzmianka Galla: „Tyle niech wystarczy, ile powiedziano o Sieciechu i królowej” (żonie Władysława Hermana) dała Gruszeckiej wątek do opisu romansu między nimi, wplecionego do wielkiej powieści.

Dużą w niej rolę odgrywa wspomniany Zbigniew, stale starający się w porozumieniu z panami polskimi, ale przede wszystkim z Czechami lub Niemcami, usunąć Krzywoustego i samemu objąć władzę w państwie. To on był w obozie niemieckim pod Głogowem i podjudzał cesarza przeciwko Krzywoustemu. Gdy w parę lat potem powrócił do Polski, podkreślając swoje prawa do władzy, otoczenie Krzywoustego uznało go za zdrajcę i wzywało Bolesława do sądenia brata. Kara za współpracę z wrogiem państwa przeciwko księciu była znana: rozświetlenie lub oślepienie. Krzywousty nie mógł zdecydować się na sąd, ale nie oponował przeciwko oślepieniu Zbigniewa, co zostało dokonane w taki sposób, że Zbigniew umarł.

Arcybiskup gnieźnieński, Marcin, uznał ten fakt za bratobój-

stwo i rzucił klątwę na Krzywoustego. By to odkupić, udał się on w pokutną pielgrzymkę na Węgry, do klasztoru w Samogyvar, idąc boso z głową posypaną popiołem. Gall w swej kronice podkreśla ten fakt, bo go widział. Po powrocie z pielgrzymki klątwa została z Krzywoustego zdjęta.

W części II-ej „Gall pisze kronikę” autorka podaje przybycie Galla na dwór Krzywoustego i metodę pisania kroniki, opartej na relacjach głównie kanclerza Michała Awdańca i innych. Samego Galla Gruszecka widzi jako barda, poetę średniowiecznego, pełnego wzruszeń i emocji gdy uda mu się utrwalić na pergaminie dany fakt we właściwej formie „dictamenu”, powiązania prozy, rytmu i rymu. Są to lata około 1113 r.

„W ręku potomnych”

Od tego czasu upłynęło przeszło 700 lat. Mamy okres panowania Kazimierza Sprawiedliwego (1138-94), syna Bolesława Krzywoustego. Na widowni dziejowej ukazuje się postać mistrza Wincentego, zwanego Kadłubkiem. Właśnie powrócił ze studiów swych na zachodzie, pełen nowych pomysłów, bujnej imaginacji, bardzo zdolny, wkrótce stanie się pierwszym polskim kronikarzem, po cudzoziemcu Gallu.

Na polecenie Kazimierza pisze swoją kronikę (po łacinie) w oparciu o Galla, bo było to wówczas jedyne źródło historii Polski, poza zapiskami w klasztorach i kapitułach. Lecz Gall jest dla Kadłubka zbyt wąski i suchy. Upiększa więc mistrz Wincenty swą historię czasami mitycznymi, z łatwością doszukuje się powiązań Polan z Rzymianami czy z Aleksandrem Macedońskim. W tym względzie Kadłubek ścisłością nie grzeszył, lecz kronikę napisał barwnie i na długie wieki była ona podstawową pracą o historii Polski.

Jeśli w tekście Galla coś Kadłubkowi nie odpowiadało, poprawiał go albo niedogodne mu teksty opuszczał. W ten poprawiony sposób w kancelariach i kapitułach zaczęto przepisywać sfałszowaną kronikę Galla.

W swym tomie „Gall w cieniu” Gruszecka szeroko rozwija ten temat. Specjalnie interesującymi są opisane przez nią dyskusje scholastyczne ówczesnych uczonych polskich, przeważnie kanoników, kapituły krakowskiej. Z ogromnym nakładem pracy i szperania w dokumentach, autorka podaje te dyskusje, o których pisze w liście do mnie: „W tym (tomie) 'Gall w cieniu' nie ma ani jednej wypowiedzi scholastycznej, która by nie była autentyczna”.

Gdy Kadłubek przebywał na zachodzie, zapewne w Paryżu, sensacją tych lat było zamordowanie arcybiskupa Tomasza Becketa. Historię jego znamy obecnie lepiej z powodu doskonałego filmu „Becket”, gdzie rolę tytułową gra znakomity Richard Burton. Pragnę jednak przypomnieć, iż na skutek konfliktu arcybiskupa Canterbury Becketa z królem Henrykiem II, gdy Becket bronił praw duchowieństwa i jego autonomii, został zamordowa-

ny w katedrze, przy ołtarzu, przez zapewne nastanych przez króla zbirów (29 grudnia 1170 r.). Król zmuszony został do odprawienia pokuty u jego grobu.

W opowieści Gruszeckiej fakt ten odgrywa wielką rolę w koncepcjach przybyłego z zagranicy około 1177 r. Kadłubka. Nasuwają mu się niesłychane analogie z zabójstwem biskupa Stanisława za czasów Bolesława Śmiałego.

O ile sprawa Becketa była dla Kadłubka świeża, o tyle sprawa biskupa krakowskiego dotyczyła wówczas faktu sprzed przeszło 100 laty (śmierć biskupa Stanisława miała miejsce w 1079 r.). Ale po Krakowie powtarzano, jak to król Bolesław, rozgniewany na biskupa, przeciwstawiającego mu się, wpadł do kościoła na Skałce podczas nabożeństwa, odprawianego przez biskupa i mieczem go zarębał, po czym kazał poćwiartować ciało. Za to został z kraju wygnany i odprawiał pokutę w klasztorze na Węgrzech, gdzie umarł w dwa lata później (1081).

To, że fakt śmierci biskupa Gall przedstawił w zupełnie innej wersji, nie niepokoiło Kadłubka. Słowa, użyte przez Galla o „zdrajcy biskupie” (o tym patrz niżej) trzeba, według Kadłubka, interpretować zupełnie inaczej, a najlepiej opuścić z kroniki. Sprawa Becketa była dla niego palcem Bożym, wskazującym na zapomnianego polskiego męczennika, Stanisława.

Polska nie miała wówczas własnych świętych i męczenników. Był, oczywiście, w Gnieźnie św. Wojciech, ale to był Czech. Za Kazimierza Sprawiedliwego zakupiono u papieża ciało żołnierza rzymskiego, poległego za wiarę i uznanego za świętego, które przybyło do Krakowa pod imieniem św. Floriana i znajduje się dotąd we własnym kościele na Kleparzu. Ale i on nie był Polakiem.

A tu wszystko, z wyjątkiem Galla, przemawia za biskupem Stanisławem. W sto przeszło lat po jego śmierci legenda, upiękuszona przez Kadłubka, zaczyna dawać owoce. Píše on w swej kronice, że jasność cudowna biła z nieba w nocy po śmierci biskupa Stanisława, z czterech stron świata zleciały się orły, posiekane na sztuki ciało zrosło się. I tak powoli rozpoczyna się okres kanonizacyjny biskupa Stanisława, zakończony w 1253 r. tj. w 174 lata po jego śmierci, bullą kanonizacyjną papieża Innocentego IV, opartą częściowo na kronice Kadłubka.

Legenda szła dalej. Już po bulli papieskiej, już po uznaniu biskupa za świętego, dominikanin Wincenty z Kielc pisząc pierwszy żywot polskiego męczennika, uzupełnia go nieznaną dotąd i nie podaną w procesie kanonizacyjnym historią o wskrzeszeniu przez biskupa zmarłego Piotra z Piotrawina aby dał świadectwo prawdy w sądzie, że sprzedał swą wieś biskupowi krakowskiemu Stanisławowi. A w rzeczywistości wieś tę ofiarował Władysław Łokietek kapitulie krakowskiej dopiero w XIV w.

Sam pamiętam, że w małej historii Polski, z której się jako dziecko uczyłem na Ukrainie, historia cudu wskrzeszenia Piotra przez św. Stanisława była opisana i nawet była tam ilustracja, pokazująca biskupa wyprowadzającego z grobu nieboszczyka.

Dalej u Gruszeckiej przesuwa się biskup Oleśnicki i wielki historyk — Jan Długosz, gdy pisał „Dzieje Polski”. I on miał w ręku ściśły tekst Galla, ale odrzucał ustęp o „zdrajcy biskupie”. W wersji Gruszeckiej tak mówi Długosz:

„Jeśli co znajdę obrzydłego, bezwstydnego w jakim miejscu rocznika czy kroniki jakiej polskiej, takie bezceństwa obcinam, odrzucam. Nie chcę czegoś, co może wszak nie być prawdą nawet, zostawiać na kartach, aby kalalo nasze dzieje”.

I tak Gall pozostał nadal „w cieniu”. A wieki płyną: w 300 przeszło lat po Długoszu, w końcu XVIII w. wielki historyk Naruszewicz pisze swą „Historię narodu polskiego”, lecz i on raczej powtarza Długosza, odrzucając metody badawcze współczesnych mu historyków. Lecz wówczas, na przełomie XVIII i XIX w. pojawiają się badacze innej, nowej szkoły: Czacki i Lelewel. Im poświęca Gruszecka tom II. „W ręku potomnych” pod wiele mówiącym tytułem „Gall w słońcu”.

Właściwie znaczna część tego tomu dotyczy pobytu młodego Lelewela jako nauczyciela w Liceum Krzemienieckim. Tu Gruszecka szeroko opisuje piękny romans Lelewela z Malwiną Szredzką, a także ukazuje państwa Słowackich przed ich wyjazdem do Wilna.

Ale istotnym wątkiem powieści jest odnalezienie przez Czackiego lepszego wydania Galla (kodeks Sędziwoja) i umożliwienie Lelewelowi pracy nad nim. Rozmowy Lelewela z Czackim są dużym sukcesem pisarskim Gruszeckiej. Nie tylko jej wielka erudycja w literaturze epoki, ale doskonała forma opisująca spory i sądy obu tych wybitnych ludzi, porywają czytelnika swą jasnością, prostotą i ścisłością.

Ukazanie się w druku pierwszego pełnego tekstu kroniki Galla i dalsze walki o niego polskich uczonych, zwłaszcza w sprawie św. Stanisława, będą treścią ostatniego tomu „Powieści o kronice Galla”.

Jakże w krótkości scharakteryzować wydane dotąd pięć tomów „Powieści”? Czy należy podziwiać niezwykłą erudycję autorki, pozornie tak łatwo operującej licznymi źródłami na przestrzeni wieków historii Polski i tak wnikliwie je przedstawiającej w swobodnej formie powieściowej? Czy też ocenić najbardziej pozytywnie literacką wartość powieści historycznej, tak bardzo wybijającej się ponad wszystko, co w tej dziedzinie było po wojnie napisane po polsku? Dla mnie jest to wielka powieść, do której będę często wracał, a która ma zapewnione miejsce wśród powieści historycznych literatury polskiej.

Sprawa biskupa Stanisława

„Jak zaś doszło do wypędzenia króla Bolesława z Polski, długo byłoby o tym opowiadać. Ale tyle powiedzieć można, że nie po-

winien był pomazaniec pomazańca za jakąkolwiek winę na ciele karać. To bowiem wiele mu zaszkodziło, gdy do grzechu grzech dodał, gdy biskupa za zdradę (pro traditione) skazał na obcięcie członków (truncationi membrorum adhibuit). Ani bowiem biskupa zdraycy nie uniewinniamy, ani króla tak się szkaradnie mszczącogo pochwalamy (neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus). Ale to w środku porzucimy, a jak był na Węgrzech przyjęty podajemy”.

Oto jest tekst zakończenia rozdziału 27 pierwszej części kroniki Galla.

Zabójstwo biskupa miało miejsce w r. 1079. W tych latach polityka Bolesława Śmiałego była otwarciem anty-niemiecką. Bolesław popierał obóz anty-cesarski do którego weszli Sasi, Węgrzy i Ruś. Sytuacja zaogniła się, gdy rozpoczął się konflikt papieża Grzegorza VII z Henrykiem IV o inwestyturę. Bolesław popierał papieża, a gdy ten rzucił klątwę na Henryka, tym samym zwalnając jego wasali od przysięgi na wierność, Bolesław wykorzystał to, legaci papiescy ustalili ostatecznie metropolię w Gnieźnie, a na Boże Narodzenie 1076 r., za zgodą papieża, odbyła się koronacja Bolesława na króla, co wywołało w Niemczech wielkie oburzenie.

Wobec tego stanowiska Bolesława Henryk IV przy pomocy Czechów (książe Wratysław) popierał w Polsce wszelką akcję skierowaną przeciwko polskiemu królowi, który łatwy nie był i miał w kraju wielu przeciwników, a przede wszystkim swego brata, Władysława Hermana na Mazowszu i panów z Małopolski, gdzie dużą rolę odgrywał bojowy biskup krakowski, Stanisław. Wzrastał więc bunt przeciwko Bolesławowi, który był człowiekiem silnym i zdecydowanym, „mężem hojnym a wojowniczym”, jak pisze Gall, ale także według jego słów kierował nim „nadmiar ambicji i próżności”.

Gall pisał swą kronikę w mniej więcej trzydzieści lat po śmierci biskupa. Oczywiście, nie rozporządzał żadnymi dokumentami, jedynie słuchał tego, co mu opowiadali kanclerz, biskupi i kanonicy w Gnieźnie, Poznaniu czy Krakowie. Wypadki były świeże, współcześni dobrze pamiętali fakty: to tak, jakby mnie dziś pytano o szczegóły dotyczące zgonu Józefa Piłsudskiego. Pamiętam je doskonale. Te ustne relacje posłużyły Gallowi na wprowadzenie do swej kroniki owych bardzo oględnych słów o zdraycy biskupie (bez wymienienia imienia) i mszczącym się królu — obu pomazańców Bożych.

Ale oddajmy tu głos Gruszeckiej. Właśnie Kadłubek, pełen chęci oczyszczenia biskupa z tak straszego zarzutu Galla, wysłuchuje opowieści nauczyciela scholastyki, Lamberta. Dzieje się to już w przeszło sto lat po śmierci biskupa. Lambert powoli, z przerwami, opowiada:

„... Nikto dziś żyw nie jest ze świadków, co oglądali... A zapisane jedyne Gallowo wielmi krótkie... Jeno cochmy słyszeli... Ktokolwiek tu jest starszy wiekiem między nami, a w Krakowskim

urodzon, nikto nie będzie tako słabej pamięci, aby się nie rozpromionął na one, cośmy... Cochmy mieli od ojców naszych nam opowiadane dawne czasy, których powieść oni mieli od swoich ojców, alboli dziadów. I nikt inako nie chowa onych dzieł pamięci, co się w onych leciech dawnych podziały, jeno wszytcy, co pomną, to pomną jednako: iż się panowie krakowscy co najmniejszzy, jako Sieciech z Toporów domu i biskup Stanisław z Turzynów, i inszy przeliczni — z księżciem Włodzisławem Hermanem układali, aby się króla Bolesława zbyli i wygnali precz. Tedy książę Włodzisław miał ubiec Kruszwicę i Gniezno, a Wratysław Kraków. Ale król był we wszej sile swojej i wojsko przesilne gotował, co miał iść z Węgry na Wratysława i na cesarza. Włodzisław książę płocki ani połowice tej mocy nie miał, ale się krakowscy panowie z Wratysławem związali umową, iż spieszenie, nim się wojsko królewskie w cale zbierze, Wratysław wnidzie z Czechy, a panowie krakowscy wstaną z sandomierskimi wraz przeciw Bolesławowi, aby go z nagła w Krakowie mogli napaść prawie bezbronnego. Aliści król uznamionał ze Stanisławowego listu do Wratysława, co królewscy przychwycili u biskupiego posta — i biskupa Stanisława jął natychmiast w jęctwo więźniem, i sąd uczynił nad nim, kędy zwyczajnie na grodzie sądzono, na podwórku między katedrą dawną, co potem przebudowali, a bazyliką świętego Michała większego, i chciał kaźnią srogą za zdradę ji kaźnić, obcięciem członków. Jako się stało, nie wiem, bom to słyszał raz tako, wtory raz inako, aleć to pewnie wiem, że biskupa raz jeno w głowę uderzywszy, zabili. Nie był ani ćwiartowan, ani porąban, jeno zwyczajnie zabit, i leżał wpodle bazyliki świętego Michała, a król, niesyty kary, srogo zabronił go z miejsca ruszać, ani w katedrze chować. Przeto go nocą ukradkiem zabrali niektórzy z krewnych i z kapituły mężowie i ponieśli na Skałkę, a tamo w trumnę złożywszy i pochowali wpodle mniejszego świętego Michała.

Taka jest prawda, co ją znam i ja, i wszytcy, co ją mają od swoich ojców alboli dziadów, jako ją u nas powtarzano, a podawano z ojców na syny...”

Po dziesięciu latach ciało biskupa kazał Władysław Herman przenieść do katedry na Wawelu, gdzie było wmurowane pod ścianą aż do czasu przeniesienia na środek głównej nawy.

To, że biskup był zabity uderzeniem w potylicę, a nie cięciem, stwierdziła ostatnio dokonana (w czerwcu 1963 r.) ekspertyza znawców medycyny sądowej w Krakowie, prof. dr. Jana Olbrychta i dr. Mariana Kusiaka („Na antenie” Nr 39/40 z 1966 r.).

Spiski panów polskich przeciwko panującemu księciu czy królowi były w owych czasach rzeczą powszechną. Wciągano zazwyczaj do nich Czechów lub Niemców, obiecując za ich pomoc odanie w lenno ziem czy grodów pogranicznych, które potem z trudnością wracały do Polski. Typowym przykładem tych spisów i zdrad w porozumieniu z obcymi była wspomniana wyżej działalność Zbigniewa, brata Krzywoustego.

W danym wypadku zamach, przygotowany na Bolesława Śmiałego, a popierany przez cesarza i Czechów, jest faktem historycznym. W ukryciu, w Płocku stał za nim rodzony brat Bolesława, Władysław Herman. Zamach się udał, gdyż ostatecznie Bolesław musiał ująć na Węgry. Liczył wówczas tylko 38 lat.

Czy biskup krakowski brał w nim udział? Gall, na podstawie relacji, które zbierał od świadków, ludzi którzy wówczas żyli i byli na dworze Bolesława Śmiałego, mówi, że tak. Że z punktu widzenia prawa był zdrajcą. Nie ma żadnej racji, by słowa Galla poddawać w wątpliwość. Twierdzenie Kadłubka, pragnącego oczyścić biskupa z tak ciężkiego zarzutu, nie jest poparte żadnym faktem, poza jego własnym przeświadczeniem, że biskup nie mógł być zdrajcą. Ale w historii Polski było szereg duchownych na najwyższych stanowiskach, który brali stronę obcych przeciwko naszym królom, że wspomnę czasy wojen szwedzkich. To byli zdrajcy, podobnie jak Janusz i Bogusław Radziwiłłowie, jak Radziejowski i inni. Więc nic dziwnego, że i w XII w. mogło to mieć miejsce.

Nie jestem historykiem średniowiecza. Piszę swe uwagi na tle powieści Gruszeckiej i przeglądu odnośnej literatury, z Gallem łącznie. Wydaje mi się, że to, iż biskup Stanisław brał udział w spisku przeciwko Bolesławowi Śmiałemu i poniósł za to karę, nie ma nic wspólnego ze sprawą uznania go później za świętego. Kościół bowiem we właściwy mu sposób stwierdził cuda z biskupem związane i przeprowadził proces kanonizacyjny.

Spraw polityczno-świeckich nie należy łączyć ze sprawami kościelno-duchownymi. Najbardziej oddani katolicy mogą, bez obrazu kościoła, uznać słowa Galla o biskupie Stanisławie za ścisłe.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Miasto w historii

Romantycy nie wymyślili kultu przyrody. Mit sielanki, mit ucieczki z miasta na łono natury sięga Babilonu. Nawet rzekomo wyprani z uczuć poeci Oświecenia wdychali: „Na wsi jest tylko rozkosz prawdziwa, / Tam lud niewinny, szczery, rzetelny”, podczas gdy uwięziony w kamienicy mieszczanin „Zwozi murawy, zasadza gaje / Wśród kosztownej w mieście struktury”. Tak pisał Stanisław Trembecki. Romantycy jednak wywarli tak silny wpływ na naszą wrażliwość ponieważ zamiłowaniu do natury nadalie cechy mistycyzmu. Próżno szukać panteistycznego zachwyty u rzeczowo myślącego Trembeckiego: znajdziemy go dopiero u Wordswortha, który w wodospadach słyszał „cichą smętną muzykę ludzkości”. W czasach Wordswortha i Słowackiego rewolu-

cja przemysłowa jeszcze nie nabrała rozmachu: dziś tę poezję cenimy właśnie za to, że przeczuła niebezpieczeństwa życia w naszych urbanistyczno-przemysłowych społeczeństwach.

Ale krytyka cywilizacji miejskiej łatwo przekształca się w eskapizm u tych, którzy wyobrażają sobie, że uciekając na bezludną wyspę, wyzbywają się wszelkich problemów. Mało kto zresztą pragnie uciec z miasta na zawsze. Samuel Johnson słusznie powiedział, że kto jest znudzony Londynem musi być znudzony życiem. Strumienie i lasy przynoszą pokój, ale tylko jeśli odpowiadają nam byt cielejcej beztroski, możemy stale przebywać z dala od ludzi. Przekonanie, że góry i rzeki są bardziej naturalne i bliższe człowiekowi od sztucznych konglomeratów kamienia i cegły jest sentymentalną mrzonką. Naturalnym otoczeniem człowieka jest właśnie miasto, w którego obrębie znajdują się świątynie, hale targowe, teatry, uczelnie i inne znamiona życia społecznego. Dlatego zmieniający się stale charakter miast jest tak ważnym wskaźnikiem dziejów ludzkich.

Lewis Mumford, znany amerykański urbanista i socjolog, autor wielu prac poświęconych zagadnieniom związanym z życiem człowieka w mieście, wydał monumentalne dzieło pt. *Miasto w historii*, w którym bada społeczną, kulturalną i polityczną rolę od zarania dziejów do naszych czasów.

„Uroczyste grzebanie umarłych — pisze Mumford — w grobach oznaczonych kopcem, drzewem lub wysoką skałą, było prawdopodobnie pierwszym stałym miejscem spotkań żywych: cmentarz był siedzibą pradawnych duchów, relikwiarzem, zalążkiem miasta... Relikwiarz i plac uroczysty były zapowiedzią rynku, pracowni rzemieślniczej i murów warownych, miały za zadanie wzmocnić znaczenie i wartość życia, utwierdzały pojęcie wspólnoty, gotowość do poświęceń i szacunek dla tradycji”.

Miasta zmieniają swój wygląd zależnie od epoki i położenia, ale pewne typowe cechy ludzkiej słabości wciąż wywierają swoje piętno. Staro-egipskie miasto Luksor nie przypomina bliższych nam w czasie wzorów urbanistycznych, a jednak...

„Wyolbrzymienie postaci Amenofisa III-ego — komentuje Mumford — znajduje swe paralele w rozdętych wizerunkach Hitlera czy Stalina: są to próby zasugerowania boskich proporcji, które mają ukryć ludzką słabość, omyślność i śmiertelność. Ramzes II zniekształcił te podobizny i wyrzył na nich własne imię, dając początek praktyce przepisywania historii, którą rządy totalitarne skrupulatnie kontynuują po dziś dzień”.

Mumforda nie urzekają miasta-fortece i miasta kolosy ani w Mezopotamii ani w Stanach Zjednoczonych. Jego ideałem jest miasto budowane na miarę człowieka: nie powinno być ani wynikiem megalomanii absolutnego władcy ani wynikiem poświęcenia wszelkich zalet zbiorowego życia dla wymogów szybkiego przelotowego ruchu samochodowego. Współczesna forma barbarzyństwa w postaci autostrad i skomplikowanych sieci dróg ekspresowych niewiele się różni od zniszczenia spowodowanego bombardowaniem:

„Bomby, które zburzyły Londyn — pisze Mumford — nie spowodowały większego zniszczenia od dzisiejszych niczym nie ograniczonych projektów autostrad i parkingów”.

W przedmowie Mumford podkreśla, że w swej historii ogranicza się do miast i rejonów znanych mu dobrze z bezpośredniego doświadczenia. Mamy tu więc analizę rozwoju miast starożytnego Egiptu, Aten, Pompei, Florencji i odbudowanego po ostatniej wojnie Rotterdamu, ale Mumford nie ma niestety nic do powiedzenia o odbudowanej Warszawie, a o Krakowie wspomina tylko przelotem. Jego spostrzeżenia o polskich miastach i polskich powojennych projektach urbanistycznych byłyby ciekawe, także i dlatego, że jego wcześniejsze prace służyły jako podręczniki nowej generacji planistów, która kształciła się w podziemnych uczelniach polskich za czasów okupacji.

Każda cywilizacja otrzymuje takie miasta na jakie zasługuje. Jeżeli nasze współczesne monstra przypominają bezduszną symetrię Babilonu, to widocznie dlatego, że nie stać nas na skali ludzkiej pojęte proporcje Aten, Sieny, Krakowa, Cambridge, Bath czy Salzburga.

W czasach średniowiecza i renesansu, miasta które można było bez trudu przemierzyć na piechotę, stanowiły centra kultury, dziś mamy przechodzące ludzką wyobraźnię cuda technologii, ośrodki sprawnej produkcyjności i wszechobecnego samochodu. W zdobnictwie i malarstwie średniowiecza i renesansu miasto występuje jako dumny symbol ludzkiej wspólnoty i solidarności. Ale rewolucja przemysłowa XIX wieku przekształca harmonijnie rozplanowane drobne jednostki w potężne konglomeraty masowej produkcji.

W *Lalce* Prus opisuje współczesną Warszawę z pietyzmem i miłością: jest to jeszcze małe ciche miasteczko, ale już Paryż wydaje się Prusowi gigantyczną fabryką, w której ludzie zatracają swą indywidualność:

„... wielkie miasto — powiada Prus — jak roślina i zwierzę, ma właściwą sobie anatomię i fizjologię. Zatem praca milionów ludzi, którzy tak głośno krzyczą o swojej wolnej woli, wydaje te same skutki, co praca pszczoł budujących regularne plastry, mrówek wznoszących ostrokrężne kopce albo związków chemicznych układających się w regularne kryształy”.

W tej dehumanizacji życia miejskiego kryją się zapowiedzi makabrycznego miasta-labiryntu w *Procesie* Kafki i miasta-automatu i więzienia w filmie Fritz Langa *Metropolis*. Oba dzieła powstały w okresie międzywojennym, kiedy polska awangarda poetycka zachłystywała się hasłem „Miasto masa maszyna”. Mogli sobie na taką ekstrawagancję pozwolić, bo w Polsce nie było wówczas ani miast, ani mas, ani maszyn.

Hasłem Mumforda natomiast jest: „Nie doskonali ul lecz miasto żywe”. Podobnie jak wielu z nas, Mumford szuka rady wśród mędrców dalekiego wschodu. Przeglądając się delikatnym, harmonijnym konturom obrazu chińskiego mistrza, Mumford pisze:

„Jeżeli życie ma zatryumfować, miasto przyszłości... będzie musiało posiadać, w przeciwieństwie do większości współczesnych miast, cechy przedstawione na tym chińskim malunku Święta Wiosny. Tymi cechami są niekończące się przemiany i odmiany, taka różnorodność staje się możliwa dopiero przy udziale zróżnicowanych krajobrazów, zróżnicowanych zajęć, zróżnicowanej działalności kulturalnej oraz zróżnicowanych osobistych zalet mieszkańców”.

W poezji i malarstwie raj bywa obrazowany jako ogród. Ale dla poety irlandzkiego Williama Yeatsa idealnym celem pośmiertnej podróży było tajemnicze miasto Bizancjum, siedziba świętych gorejących w mozaikach, greckich złotników, dworu cesarskiego i sztucznych śpiewających ptaków. To marzenie pokrywa się w dużej mierze z ideałem Mumforda.

Adam CZERNIAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Europa bez podziału*. Właściwe zadanie polityki amerykańskiej w Europie. Str. 232. (Wyd. „Polonia Book Fund, Londyn, 1966).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Granice odwagi i myślenia*. Marksizm w interpretacji Adama Schaffa. Str. 36. (Odbitka z „Polemik”, Rok III, Zeszyt V., Wyd. Democratic Press and Liberty Publications, Ltd., Londyn, 1966).
- ŁYSEK (Paweł). *Przy granicy*. Str. 204. Tom 67 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1966, cena 21/-).
- ILIŃSKI (Paweł, ks. dr). *Bądźcie gotowi*. Mowy patriotyczno-religijne ku czci tysiąclecia chrztu Polski 966-1966. Str. 302. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1966).
- ILIŃSKI (Paweł, ks. dr). *Znaczenie chrztu Polski 966-1966*. Str. 270. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1966).
- PIROŻYŃSKI (Marian O. redemptorysta). *Nowenna do Matki Boskiej nieustającej pomocy*. Wyd. XII. Str. 64. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).
- Krok naprzód*. Komunikat Informacyjny Nr 6 Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Str. 32. (Wyd. przez Ośrodek, wrzesień, 1966).
- ARZJAK (Nikolaj) (Julij Daniel). *Härtalar Moskwa*. Str. 176. (Wyd. Albert Bonniers Förlag, Stockholm, 1966, cena kor. 26,50).
- SOROKA (Wacław W.). *Basic Sources Related to the History of Eastern and Central Europe*. A Selection. Str. 95. Powielacz. (Stevens Point, 1966).
- IWANICKA (Halina). *A Thousand Years of Polish Heritage*. Przedmowa R. C. Pucinskogo. Str. 88. (Wyd. Ogólno-chicagowski Komitet Milenijny, Chicago, 1966).
- BROMKE (Adam). *History and Politics in Poland*. Str. 65-77. (Odbitka z „Problems of Communism”, September-October 1966).

Listy do Redakcji

12. XI. 1966.

Do Redakcji „Kultury”,

W listopadowym numerze „Kultury” w artykule moim „Dom Crocego” na str. 147 zaszła pomyłka drukarska zmieniająca sens cytatu z książki Eleny Croce, który tam podaję.

Zamiast „najlepszą rzeczą którą może uczynić dla młodych — to szybko się zestarzeć” powinno być:

„najlepszą rzeczą którą może uczynić młody — to szybko się zestarzeć”.

Józef CZAPSKI

Ottawa, 11 listopada 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Waclaw Zbyszewski często szczegóły pomyli, ale uderza trafnością wniosków. Ma dlatego uzasadnione prawo traktowania opryskliwie „besserwischerów”, gdy go tak często w drobiazgach poprawiają. Tym razem przecież złapał drugi koniec kija, jakby powiedzieli Anglicy. W artykule „Nowe pokolenie puka do drzwi” (numer 10/228) maluje jego rzekomą różową przyszłość materialną. Nie zdaje sobie widocznie sprawy z tego, że sam fakt wyżu demograficznego stawia nowe pokolenie w sytuacji stosunkowo mniej przychylnej, niż gdyby to pokolenie było mniej liczne. Nie ma analogii z poprzednim nowym pokoleniem, zjawiającym się na rynku pracy w latach pięćdziesiątych. Było nieliczne. Rynek pracy witał je wzrostem poborów o wiele szybszym niż innych grup na rynku. Obecnie te same prawa podaży i popytu działają w dalszym ciągu i nie wykazują tej samej potrzeby. Jest już szereg opublikowanych prac, wskazujących na pogorszenie się, przynajmniej stosunkowo do innych grup na rynku, sytuacji materialnej nowego pokolenia. Niektórzy badacze tego zjawiska łączą z tym nawet spadek urodzin w młodych małżeństwach.

Nie jest przecież Pan Waclaw osamotniony w swym błędzie. Znam cały szereg dyrektorów personalnych, którzy ciągle jeszcze biegają w panice po rynku młodej pracy, nie widząc, że już się pozbawili „katzenjammera” niskiej stopy urodzin z lat trzydziestych. Ale to tak często bywa, że kot już umknął, a jego grymas ciągle jeszcze nas niepokoi.

Inna sprawa: telewizor w domu nie jest koniecznym objawem prestiżu w sytuacji pełnego utelewizowania. Moi synowie, np., snobują się na to, że nie mamy telewizji. Ale to już tylko małe *post scriptum* do głównej pomyłki Pana Zbyszewskiego.

Łączę wyrazy poważania,

Karol KRÓTKI

New York, 9 listopada 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Popełnić świadome przeinaczenie a pomylić się jest to duża, zasadnicza różnica.

Przyznaję się do pomyłki w moim artykule („Kultura” Nr 7/141—8/142) i ma pan Nadniemiński z Polski słuszność, tak jak podał on w liście do redakcji „Kultury” (Nr 9/227).

Celem wyjaśnienia tej sprawy zwróciłem się do redaktora „Karys”, litewskiego tygodnika poświęconego dawnemu Wojsku Litewskiemu, pana Z. A. Raulinaitisa, i za pośrednictwem jego i dzięki wielkiej uprzejmości jego otrzymałem następujące oświadczenie od dawnego oficera Wojska Litewskiego pełniącego służbę w Muzeum Wojskowym w Kownie: „Broliai Adomavičiai (Adamowicz) Boleslovas ir Juozapas 1934 m. birželio menesi perskrido Atlantą iš JAV — biu i Lenkija. Darius ir Girenas perskrido tą pati Atlantą iš JAV i Europa (žuvo Vokietijoje) 1933 m. liepos menesi t.y. vieneriais metais anksciau. Aišku, kad cia g. st. pl. L. Mitkiewicz (buves Lenkijos Karo Atstovas Kaune), kalba apie Darius ir Girenas, bet klaidingai mini brolius Adomavicius”.

Ostatnie zdanie brzmi po polsku: płk. Mitkiewicz myślał o Dariusie i Girenasie, a omyłkowo napisał o braciach Adamowiczach.

Mea culpa! mylić się to rzecz ludzka... nawet w pracach... pamiętnikarskich!

Łączę wyrazy mego wysokiego poważania,

Leon MITKIEWICZ

Bruksela, 28 października 1966.

Szanowny Panie Redaktorze!

W październikowym numerze „Kultury” pan Anatol Estryn pisze w korespondencji do „Kultury”, że „getta” istniały tylko w społeczeństwach „zacfanych”, że jarmułka wynikała z „zacfanej struktury społecznej w Polsce”. Autor zapomina, że Żydzi jarmułkowi istnieją w samym sercu Izraela (nie uznają rządu), że istnieją również w hebrajskiej dzielnicy Nowego Jorku i w takim właśnie stroju pojechali w delegacji do Tel Aviv.

Z jarmułką, lub bez, getta (słowo włoskie, nie polskie) istniały również na Zachodzie, w Brukseli postawiono pomnik ku czci Żydów wymordowanych podczas wojny, który stoi właśnie na terenie dawnego getta.

Pan Estryn pisze, że „antysemityzm zaczyna się od liczenia” że „na demokratycznym Zachodzie jest inaczej”. Niestety, nie. Niedawno mój znajomy Anglik narzekał na judaizację radia i telewizji w Anglii. Belgowie mówiąc o Żydach przed wojną, zarzucali im opanowanie handlu brylantami, skórą, żelazem i tp. Na to Żydzi odpowiadali: że jest to dowód ich inteligencji (z pewnością tak jest). Wydaje mi się, że cały ten problem ma aspekt socjologiczny i sprowadza się do zagadnienia *liczebności* grupy, o którą chodzi. Np. nie ma w Brukseli niechęci do Ormian, którzy mają w swych rękach handel dywanami, ale są nieliczni i nie tworzą widocznego getta.

Natomiast — dla przykładu — Belgowie denerwują się powstawaniem nowego getta, licznego i złożonego z „Południowców”: Greków, Hiszpanów, Włochów z Sycylii i Sardynii, Turków i Arabów, sprowadzonych w zasadzie do pracy w kopalni, ale rzucających ją i szukających lepszego zajęcia w stolicy. Trudno im z tego robić zarzut. Niestety popełniają błąd, lokując

się licznie na tych samych ulicach, otwierając w bardzo ruchliwych miejscach kawiarnie, wyjące w obcym języku, żyjąc na ulicy. Obciążeni grzechem odmiennego wyglądu, odbijają od bladych Flamandów. Mieszkańcy zagrożonych ulic protestowali początkowo przeciwko tej „deprecjacji” ich dzielnic i upadkowi handlu, pozbawionego zamożniejszej klienteli. Reakcje syndykatów i rozlepianie afiszy: „Cudzoziemiec? Nie Brat!” nie powstrzymałyby oporu właścicieli domów, gdyby nie to, że cudzoziemcom przyszedł w sukurs fakt zajmowania przez Belgię pierwszego w świecie miejsca w dziedzinie mieszkaniowej (tylko 10% ludności ma mniej, niż 1 pokój na osobę). Belgowie mieszkający często samotnie, lub we dwoje w dwupiętrowych domach przenoszą się do nowoczesnych apartamentów, a na ich miejsce wchodzi cudzoziemcy, co powoduje z kolei odpływ sąsiadów i zastępowanie ich przez cudzoziemców. Gdyby ci ostatni byli mniej liczni, ich obecność nie rzucałaby się w oczy i nie byłaby przedmiotem ksenofobii (albo słusznych pretensji, jak kto woli):

— „...„likwidowaliśmy nadmierną ilość kawiarni, a oni nowe zakładają i nie tylko kawiarnie...”

— „...„wszystkie napady bandyckie są robione przez Włochów, Francuzów i Marokańczyków...”

— „...„wchodzą w pięciu do 2-pokojowych mieszkań...” i td.

— „...„dać im trochę pieniędzy i odesłać do kraju pochodzenia, skoro nie chcą tej pracy, do której zostali sprowadzeni...”

„Południowcy” nie zdają sobie sprawy z uczuć, jakie budzą. Liczebność daje im poczucie siły. Póki Muzułmanów było mało (Albańczycy), nie żądali niczego dla siebie. Gdy Turcy i Arabowie znaleźli się w większej liczbie, zaczęli żądać dywaników do modlitwy, przerwy w pracy, zgodnej z ich religią, chowania zmarłych w pozycji pionowej i tp. Wszyscy ci ludzie mają chmarę dzieci. Tak jak Żydom odrębność religijna pozwoliła przetrwać wieki, tak samo dla Arabów silna bariera religijna będzie czynnikiem przetrwania i zrodzi w przyszłości nowy „antysemityzm” tym razem przeciwko Arabom. Włosi i Hiszpanie wsiąkną może w społeczeństwo belgijskie, zostanie po nich tylko typ „hiszpański” (często spotykany w Antwerpii, jako pozostałość po dawnych kupcach hiszpańskich).

Antysemityzm jest tylko jednym z objawów ksenofobii (albo samoobrony społeczeństwa) która ma twarde życie. Wystarczy przypomnieć ataki tubylców na luksusowe „getta” białych w Egipcie, Keni, Kongo.

Jeżeli idzie o Polskę, to nie Polacy włożyli Żydom jarmużki na głowy. Elita żydowska, która patrzyła na nie niechętnie, była wobec nich bezsilna, bo to byli klienci tych lekarzy, adwokatów, dentystów i td. W dodatku była przez nich terroryzowana. Czasami wszyscy uczniowie Żydzi z prowincjonalnej wycieczki gimnazjalnej musieli jechać na drugi koniec Warszawy do koszerniej restauracji, bo bali się jednego, jedyne go ucznia, i otwarcie mówili profesorom, że woleliby zostać z całą klasą, gdyby go nie było.

Nie jestem socjologiem, nie szukam rozwiązań, stwierdzam tylko fakty, które nie godzą się z wywodami pana Estryna. Opanowanie rentownych zawodów przez jedną grupę etniczną, społeczną, czy językową, musi wywołać protesty, bo blokuje drogę dla innych. Belgowie uważają na proporcjonalne obsadzanie stanowisk w administracji i wojsku przez Flamandów i Wallonów i jest to całkiem normalne. Zresztą każda kariera artystyczna, naukowa, finansowa czy polityczna, musi się liczyć z zawiścią i nawet intrygą i na to nie ma rady. Nawet cudzy heroizm i patriotyzm, choć z ofiar złożony, bywa przedmiotem zazdrości i kradzieży zasług. Z tym się trzeba pogodzić, albo wybrać zawód, który nie budzi zawiści, np. w kopalni. Są to uczucia ludzkie i spotykane w każdej epoce i w każdym społeczeństwie. Naszym oficerom z Wielkiej Emigracji musiała Belgia wcześniej dać emeryturę, bo wojskowi belgijscy obawiali się wstrzymania awansów z powodu pozo-

stawiania Polaków w służbie. Identyczna sytuacja powstała po ostatnich wypadkach w Kongo, gdy urzędnicy zaniepokoiли się o swoje awanse z powodu nagłego powrotu wysokich funkcjonariuszy z Kongo do Belgii.

Noszenie jarmużki, modlitwy nad rzeką i inne religijne zwyczaje żydowskie były możliwe nie z powodu „zacofanej struktury”, ale dzięki liczebności Żydów (mieli nawet partie polityczne, których nie mają na demokratycznym Zachodzie!) i dzięki polskiej tolerancji. Tej tolerancji o której pięknie mówił profesor Ambroise Jobert z Grenoble na swoim odczycie w Brukseli, twierdząc, że chociaż reżym stara się znaleźć przykłady nietolerancji z przeszłości w Polsce, to nikłe rezultaty tych poszukiwań, nie dające się porównać z okropnościami, jakie działy się na Zachodzie, są najlepszym świadectwem polskiej tolerancji. Dzięki niej zresztą tak wielu Żydów znalazło w Polsce schronienie.

Nie zacofana struktura, ale nadmierny przyrost ludności stawiał młodemu państwu polskiemu problemy trudne do rozwiązania. Dusila się przełudniona wieś polska i dusila biedota żydowska w gettach. Inne kraje rozwiązały te zagadnienia podczas naszej niewoli, bo któż zaludnił Australię, obie Ameryki, Afrykę Północną i Południową, jeżeli nie Europejczycy? Przed wojną Niemcy i Włochy próbowały zdobyć kolonie, lub o nie się dopominać. Proletariat polski (bezrolni, małorolni) wyjeżdżał do obcych kopalń z żalem w sercu, że właśnie dla niego nie było chleba w ojczyźnie. (Ostatnie transporty miały miejsce w 1937 roku). Dziś emigracja robotnicza w Europie przybrała wielkie rozmiary i objęła wiele krajów: Grecję, Włochy, Hiszpanię, Turcję, Afrykę. Równocześnie Anglia broni się przed zalewem kolorowych. Nawet z Polski grupy robotników przyjeżdżają do Belgii i Francji.

Melting pot jest możliwy tylko wtedy, gdy chodzi o najniższy proletariat. Nic tak nie łączy, jak bieda. Jak mówią działacze na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy, nie będzie ona *melting pot*’em. Europa ma zbyt bogatą i starą kulturę, żeby miała zrezygnować z jej zachowania. „Jedność w różnorodności” — oto hasło dnia.

Asymilacja to nie jest zachowanie odrębności, ale zrezygnowanie z niej. W dzisiejszych czasach szybkiej komunikacji, radia, telewizji i łatwych kontaktów z krajem pochodzenia, asymilacja jest raczej utopią. Zauważanie czyjejs odrębności nie jest dowodem rasizmu. Tatarzy w Polsce są zasymilowani, szanowani za patriotyzm w stosunku do Polski, a jednak łatwo się ich zauważa, bo ta silna rasa przetrwała wieki. Żyd zachowujący się i uważający się za Polaka, zasługuje na szacunek i nie widzę powodu, dla którego miałyby zrezygnować ze swej religii, zwyczajów, czy prawa krytyki. Żaden Polak nie żąda, żeby zapomniano o jego pochodzeniu: jeżeli nie zdradzi go akcent, to wyda wygląd słowiański, nazwisko, albo... mentalność. Gdy pewien działacz syndykalny belgijski zrobił gwałtowne posunięcie, prasa natychmiast przypominała sobie, że pochodzi z rodziny naturalizowanej (francuskiej).

Konflikty etniczne i językowe istnieją całe wieki: Walia w Anglii, Flandria-Wallonia i tp. Demokracja raczej przedłuża ich żywot, a demagogia szuka w nich pożytki. Wymarowanie smół sklepów żydowskich w Brukseli (już po wojnie) wyglądało raczej na chęć zamianifestowania egzystencji belgijskiej skrajnej organizacji pravicowej aniżeli na atak przeciw Żydom.

Niekiedy sami Żydzi popełniają niebezpieczności, które obracają się przeciwko nim. Ci np. którzy opowiadają Belgom, że to Polacy „wspólnie z Niemcami likwidowali getto” i „nie przyszli Żydom z pomocą”. Nie trudno zgadnąć jakie to budzi reakcje u Polaków, którzy przeszli piekło powstania, lub z narażeniem życia przechowywali Żydów. Bo są wprawdzie inni Żydzi, którzy z wdzięcznością wspominają Polaków, którym zawdzięczają uratowanie, ale stosunek danego Polaka w Belgii zależy od tego, czy natrafia na tych pierwszych Żydów, czy na tych drugich.

Problem żydowski jest skomplikowany i nawet powstanie państwa żydowskiego nie rozwiązało go całkowicie. Wielu Żydów, pragnących raz na zawsze skończyć z tułaczką i przybywających po katastrofie wojennej do swej nowej ojczyzny, doznało rozczarowania: w chwili, gdy stanęli wreszcie w progu własnego domu i mogli stać się tym, czym byli przed wojną, okazało się, że ludzi z wysokimi kwalifikacjami, doktoratami, znajomością języków i tp. jest o wiele za dużo i że Izrael nie będzie mógł ich zatrudnić. Wielu Żydów zdecydowało się na nową emigrację i... ryzyko antysemityzmu.

Łączę wyrazy szacunku,

Jadwiga POMORSKA

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
NA ROK 1967**

Indeks autorów i tematów "Kultury" za r. 1966

Spis autorów

BEN Philippe, BERLSTEIN Alfred, BERNACKI Zbigniew W., ks., BERNAUT E. K., BIELIŃSKI A., BIENIECKI Kajetan, BIENKOWSKA Danuta Irena, BORSUK Otton, BORWICZ Michał, BOBR-TYLINGO Stanisław, BREGMAN Aleksander, BRODZIŃSKI Bohdan, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BYŁA MIŃSKA PEOWIACZKA. — C. D., CEAUSESCU Mikołaj, CHABROWSKI Wacław T. o., CHCIUK Andrzej, CHILECKI Andrzej J., CHMIELOWIEC Michał, CZAJKOWSKA Magdalena, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZARNECKI Marian, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZERNIAWSKI E. J. — DANILEWICZOWA Maria, DAROWSKI Jan, DAYON Marek, DEMEL Franciszek, DOBEK Czesław, DWORAK Barbara. — ESTRYN Anatol. — FEUER Kathrin B., FLEMMING George J. — GAJEK Jerzy, GALL Jan, GAWROŃSKI Andrzej, GIERATOWA Ewa, GNIATCZYŃSKI Wojciech, GOLDSZLAG Fryderyk, GOMBROWICZ Witold, GÓRSKI Kazimierz, GÖMÖRI George, GRABOWSKI Zbigniew, GROCHOWSKI W., GROSS Feliks, GUZY Piotr. — HAUPT Zygmunt, HAUPTMANN Jerzy, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HŁASKO Marek, HORZELSKI Jerzy, HOSTOWIEC Paweł. — IWANIUK Wacław. — JAN Zygmunt, JANTA-POŁCZYŃSKA Walentyna, JEDLICKI Witold, JELEŃSKI K. A., JENNE Benjamin Józef, JĘDRKIEWICZ Andrzej, JĘDRZEJEWICZ Wacław, JORDAN Zbigniew A., (JOT). — KOLAJA Jiri, KOMINEK Bolesław, arcybp., KORSON J., KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKI S. W., KROK-PASZKOWSKI Jan, KRÓTKI Karol, KRZYŻANIAK Marian, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUKIEL Marian, KUTA Jan, KÜNG Hans, K. Z. — LASKOWSKI Janusz, LE-CIEJEWSKA-ANCZARSKA Irena, LEWICKYJ Borys, LONDYŃCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef, ŁUCZYSZYN Iwan. — MACKIE-

WICZ Józef, MACKIEWICZ Stanisław, MAURER Jadwiga, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEDZIŃSKI Bogusław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIHAJLOV Mihajlo, MIKORSKI Jan, MIŁOSZ Czesław, MITKIEWICZ Leon, (M.L.D.), MORELOWSKI Jan, MOSTWIN Danuta, MOŻAJEW B., MROCZKOWSKI Stanisław. — NADNIEMIENSKI Z., NAKOV Andrzej, NASIELSKI Adam, NOWACKI Tadeusz, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OBYWATEL SOWIECKI STAREGO POKOLENIA, OKULICZ Kazimierz, OSADCZUK Bohdan, OSTASZEWSKI Jan. — PALESTRANT, PARYŻANIN, PAWLIKOWSKI Michał K., PŁOSKI Józef, POMIAN Jan,*) POPŁAWSKI Włodzimierz V., POSPIESZALSKI Antoni, POZNAŃSKI T., PUACZ Edward. — RACIĘSKI Andrzej, ROKICKI Tadeusz, ROMANOW-GŁOWACKI Wiktor, RYLSKI Maksym, RYSER-SZYMAŃSKI Witold. — SCHOELL Franck L., SIEMASZKO Z. S., SOKOŁOWSKI Jan O., SOWULEWSKI Andrzej Lech, SUKIENICKI Wiktor, SWIANIEWICZ Stanisław, SYMONENKO Wasyl, SYMONOLEWICZ (SYMMONS) Konstanty, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz. — ŚMIEJA Florian, ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TARNAWSKI Wit, TERC Abram, TIUTIUNNYK Hryhir, TOKAREK Wacław ks., TURKIEWICZ Zygmunt. — ULATOWSKI Jan. — VASCONI Luciano. — WALCZAK Anatol, WANDYCZ Piotr, WEINTRAUB Wiktor, WERGILIUSZ, WEYDENTHAL B. de Jan, WIENIEWSKI Ignacy, WIERZYŃSKI Kazimierz, WILK Franciszek, WITT Eugene, WOLICKI Jan, WOŹNICKI Andrzej, WOJCIK Jan, WULF Józef, WW. — ZALESKA Antonina, ZAMORSKI Kazimierz, ZARZEWSKI Stanisław, ZAWODNY Janusz K., ZBY-SZEWSKI W. A., ZDZIECHOWSKI Paweł, ZIELICKI Antoni Józef, ZNOWSKI Bogdan, ZWOLSKA-SELLE Jadwiga.

*)POMORSKA Jadwiga,

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BORSUK Otton: *Wielopoglądowość a człowiek* (1/219-2/220).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Jugosłowiańskie lato 1966* (9/227).
 CEAUSESCU Mikołaj: *Przemówienie* (7/225-8/226), przekład z francuskiego.
 GROSS Feliks: *Granice* (9/227).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wyrok* (3/221).
 JEDLICKI Witold: *Kajdany Ludwika Hassa* (4/222).
 JORDAN Zbigniew A.: *Socjalizm i człowiek wyobcowany* (5/223).
 KORSON J.: *Wydarzenia miesiąca* (11/229, 12/230).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/219-2/220, 4/222, 5/223, 6/224, 7/225-8/226, 9/227, 10/228, 11/229, 12/230).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Sąd nad umartym* (6/224).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *ABC polityki „Kultury”* (4/222).
 — *Kryzysy: sowiecki i amerykański* (10/228).
 — *Niemcy między Rosją a Ameryką* (1/219-2/220).
 — *Polityka wyrzeczeń* (6/224).
 — *Punkt odniesienia* (5/223).

— *Tysiąc lat i co dalej?* (7/225-8/226).
 — *Ustrój — Geopolityka — Niepodległość* (11/229).
 — *„Wielka Trójka” w polskim zwierciadle* (12/230).
 MIHAJLOV Mihajlo: *Dzilas i współczesna Jugostawia* (7/225-8/226), przeł. z włoskiego Paweł Zdziechowski.
 PARYŻANIN: *Kronika francuska* (7/225-8/226).
 ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Mihajlov Mihajlo.

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

GOMBROWICZ Witold: *Fragment z dziennika* (4/222, 5/223, 12/230).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Intryga i miłość* (5/223).
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (1/219-2/220, 4/222, 5/223, 9/227, 12/230).
 IWANIUK Wacław: *Zapiski bywalca* (5/223).
 ŁOBODOWSKI Józef: *O Maksymie Rylskim* (7/225-8/226).
 — (tłumacz) ob. Symonenko W.
 MIŁOSZ Czesław: *Notatnik* (5/223, 6/224).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Week-end kibica* (1/219-2/220).
 SYMONENKO Wasyl: *Urywki myśli* (6/224), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

CZAPSKI Józef: *Wyrwane strony 1963* (1/219-2/220, 7/225-8/226).
 CZERNIAWSKI Adam: *Rachela w Rzymie* (7/225-8/226).
 DOBEK Czesław: *Bolesław Chrobry z Whitechester* (6/224).
 GÖMÖRI George: *Z dziennika naocznego świadka* (10/228).
 HAUPT Zygmunt: *Lili Marlene* (9/227).
 — *Lutnia* (11/229).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Nieposkromiony umysł* (7/225-8/226).
 HŁASKO Marek: *Piękni, dwudziestoletni* (3) (1/219-2/220).
 LASKOWSKI Janusz: *Jerzy Ponikiewski* (6/224).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz ob. Możajew B., Terc A., Tiutiun-nik H.
 MAURER Jadwiga: *Zygmunt* (6/224).
 MOSTWIN Danuta: *Joasia znajduje enzym* (7/225-8/226).
 MOŻAJEW B.: *Z życia Fiodora Kużkina* (10/228, 11/229, 12/230), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
 OKULICZ Kazimierz: *Stanisław Mackiewicz* (3/221).
 SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *Jan Olechowski — poeta uczuć prostych* (6/224).
 TERC Abram: *Pchenc* (1/219-2/220), przekł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.

- TIUTIUNNIK Hryhir: *Dziwna historia* (7/225-8/226), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Stanisław Mackiewicz* (6/224).

Utwory poetyckie

- Abramek Terc* (1/219-2/220), przekład z rosyjskiego Józefa Łobodowskiego.
 CHABROWSKI Wacław T., o.: *Upokorzenie* (7/225-8/226).
 — *Zegary* (7/225-8/226).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Na muzykę* (1/219-2/220).
 — *Noty do życiorysu* (7/225-8/226).
 — *Odwiedziny* (1/219-2/220).
 — *Pisał Karol I (w 1944)* (1/219-2/220).
 CZERNIAWSKI Adam: *Krajobraz bez króla* (1/219-2/220).
 — *Mitologia* (1/219-2/220).
 — *1 września 1965* (1/219-2/220).
 DAROWSKI Jan: *Porachunki* (4/222).
 — *Życie* (4/222).
 GALL Jan: *Czy warto?* (10/228).
 — *Zielone słońce* (10/228).
 LECIEJEWSKA-ANCZARSKA Irena: *Santa Trinita dei Monti* (10/228).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. *Abramek Terc*, Rylski M., Symonenko Wasyl.
 RYLSKI Maksym: *Wiersze* (7/225-8/226), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 SOWULEWSKI Andrzej Lech: *Mówię o miastach* (7/225-8/226).
 SYMONENKO Wasyl: *Z brzegu wyczekiwań* (7/225-8/226), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
 ŚMIEJA Florian: *Angelus* (4/222).
 — *Jaskinia Montesinosa* (4/222).
 WERGILIUSZ: *Zdobycie Troi („Eneidy” ks. II)* (1/219-2/220), przeł. Ignacy Wieniewski.
 WIENIEWSKI Ignacy (tłumacz) ob. *Wergiliusz*.
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Lekcja konwersacji* (10/228).
 — *O nieszkodliwym łwie* (10/228).
 — *Rzeki* (10/228).
 — *Ruchome piaski* (10/228).
 — *Schody* (10/228).
 — *Stukają z dna* (10/228).
 — *Szpieg* (10/228).
 — *Teatr Marcella* (10/228).

Najnowsza historia Polski

- K. Z.: *Polska droga do podległości* (4/222).

- MIEDZIŃSKI Bogusław: *Wojna i pokój* (5/223, 6/224, 9/227, 11/229, 12/230).
 ZAWODNY Janusz K.: *Wywiad z gen. Bór-Komorowskim* (11/229).

Sprawy krajowe

- CHILECKI Andrzej J.: *Z krajowego notatnika* (11/229).
 FLEMMING George J.: *Coś do śmiechu* (12/230).
 — *Niecenzuralnie o cenzurze* (9/227).
 — *Z polskiej rzeczywistości* (4/222, 5/223).
 HERTZ Aleksander: *Rozmowy z rodakami* (11/229).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (1/219-2/220, 4/222, 6/224, 7/225-8/226, 10/228, 11/229).
Historia Haraschina (1/219-2/220).
 JAN Zygmunt: *Cena myślenia* (7/225-8/226).
Korespondencja z kraju: 12 procesów młodzieżowych (9/227).
 KROK-PASZKOWSKI Jan: *Zależność czy współzależność* (7/225-8/226).
 MACKIEWICZ Stanisław: *Zapiski z kraju niewoli* (3/221).
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Zmiany w stopie życiowej w Polsce* (9/227).
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Sowieckie trudności gospodarcze a Polska* (1/219-2/220).
 — *Stopa życiowa w Polsce* (9/227).
 WOLICKI Jan: *Cynizm, kompleksy czy poza* (11/229).

Sąsiedzi

- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Przemiany sowieckiego systemu* (1/219-2/220), przeł. z angielskiego Maria Danilewicz.
 DANILEWICZ Maria (tłumacz) ob. *Brzeziński Z.*
 DWORAK Barbara (tłumacz) ob. *Lewickij B.*
Humor sowiecki (5/223).
 KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (1/219-2/220, 5/223, 7/225-8/226, 12/230).
 LEWICKIJ Borys: *Polityka narodowościowa ZSSR* (10/228), przeł. z niemieckiego Barbara Dworak.
 OBYWATEL SOWIECKI STAREGO POKOLENIA: *Do starego przyjaciela* (12/230), przekład z rosyjskiego.
 OSADCZUK Bohdan: *Ze Związku Sowieckiego* (5/223).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BÓBR-TYLINGO Stanisław: *Duże znaczenie „Małej Historii”* (9/227).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Dochód narodowy* (5/223).
 CZAJKOWSKA Magdalena: *Pornografia a humanizm* (7/225-8/226).

- CZAPSKA Maria: *O Orzeszkowej raz jeszcze* (1/219-2/220).
— *O Żeromskim we Francji* (7/225-8/226).
CZAPSKI Józef: *Dom Crocego* (11/229).
— *Pod pierwszym wrażeniem* (11/228).
CZERNIAWSKI Adam: „*Białe kwiaty*” *Norwida* (6/224).
— *Chaos i ład w poezji XX wieku* (5/223).
— *Eliot jako krytyk* (10/228).
— *Miasto w historii* (12/230).
— *Z lektury*: a) *Poetyka J. M. Rynkiewicza*, b) *Szkice filozoficzne Czeżowskiego*, c) *Poeta widzi przestrzeń i czas* (1/219-2/220).
DOBEK Czesław: *Wspólna ziemia* (11/229).
GUZY Piotr: *Zgrzebna włosienica* (7/225-8/226).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Srebrna kulka* (1/219-2/220).
IWANIUK Wacław: *Dwie antologie* (7/225-8/226).
JĘDRZEJEWICZ Wacław: *Powieść o Kronice Galla* (12/230).
KUKIEL Marian: *Socjalizm romantyczny* (7/225-8/226).
MACKIEWICZ Józef: *O „Historii Polski” prof. Rhodego* (4/222).
MIŁOSZ Czesław: *Przyziemne* (10/228).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/219-2/220, 4/222, 5/223, 6/224, 7/225-8/226, 9/227, 10/228, 11/229, 12/230).
ŚMIEJA Florian: *Przekłady z hiszpańskiego* (5/223).
ŚWIĘCICKI Tadeusz: *Notatki z dyletanckiej lektury* (6/224).
TARNAWSKI Wit: „*Lewa wolna*” (9/227).
— *Ostatni okop Graham Greene’a* (11/229).
WANDYCZ Piotr *Drugi tom „Diariusza”* (9/227).
WULF Józef: *Oświadczenie* (4/222).
ZAMORSKI Kazimierz: *O Katyniu poprealistycznie* (7/225-8/226).

Kronika kulturalna

- BRODZIŃSKI Bohdan: *O indukcji w izolacji* (4/222).
CZAPSKI Józef: *Czarny kamień* (4/222).
— *Turkiewicz a nowe tworzywo* (4/222).
CZERNIAWSKI Adam: *Mały traktat o sztuce* (4/222).
— *Mama i Dada* (11/229).
DANILEWICZ Maria: *Toast niespełniony* (3) (5/223).
GAJEK Jerzy: *Muzyka Romana Palestra* (10/228).
HEYDENKORN Benedykt: *Literatura słowiańska w Kanadzie* (11/229).
(jot): *Viva poesia y poesia* (9/227).
KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Amerykański Zagłoba o Mickiewiczu* (7/225-8/226).
NAKOV Andrzej: *Weneckie konfrontacje* (12/230).
TURKIEWICZ Zygmunt: *Plastyka* (6/224).
— *Wystawy londyńskie* (1/219-2/220).
WEINTRAUB Wiktor: „*Życie żyjące w wszechżywej przyjaźni*” (9/227).
ww: *Tadeusz Sinko* (11/229).

Komunikaty

- Apel Biblioteki Polskiej w Londynie* (9/227).
Apel Instytutu Polskiego (7/225-8/226).
Józef Mackiewicz nagrodzony za nowelę (1/219-2/220).
Komunikat Instytutu Historii (9/227).
Komunikat Redakcji w sprawie J. Wulfa (3/221).
Konkurs dla dzieci (4/222).
Nagroda Fundacji im. Kościelskich (1/219-2/220).
Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego (5/223).
Nagrody im. M. Kistera za r. 1964/65 (7/225-8/226).
Nagrody Związku Pisarzy (7/225-8/226).
Nowy Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (9/227).
Petycja (9/227).
Polski Instytut Naukowy w New Yorku (9/227).
Stypendia dla studentów-Polaków (4/222).
Stypendium twórcze dla A. Czerniawskiego (6/224).
Subskrypcja na nową książkę Al. Grobickiego (1/219-2/220).
Światowy konkurs dla dzieci (9/229).
Wieczór autorski Cz. Miłosza w Chicago (6/224).
Wydarzenia miesiąca — komunikat Redakcji (11/229).

Sprawy i troski

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Szyld* (1/219-2/220).
C. D.: *Młodość w kolorach* (11/229).
— *Piętnaście lat młodości* (6/224).
CHCIUK Andrzej: *Jak żyjemy?* (12/230).
CZAYKOWSKI Bogdan: *Jeszcze o „indukcji w izolacji”* (6/224).
mld: *W oczach Londynu* (9/229).
MROCZKOWSKI Stanisław: *Antysemityzm* (7/225-8/226).
PARYŻANIN: *Kronika francuska* (11/229).
SYMONOLEWICZ (SYMMONS) Konstanty: *Polonia amerykańska* (7/225-8/226).
WEYDENTHAL B. de Jan: *Emigracja z przyzwyczajenia* (9/227).
WÓJCIK Jan: *O nosso professor* (6/224).

O religii bez namaszczenia

- CHMIELOWIEC Michał: *Wyniki ankiety* (3/221).
CZAPSKI Józef: *Moja odpowiedź* (3/221).
Dyskusja z Mieroszewskim: A. Pospieszalski, M. Krzyżaniak, E. Gieratowa, — J. Mieroszewski (3/221).
JĘDRKIEWICZ Andrzej: *Zmiany w polityce Kościoła* (3/221).
KÜNG Hans: *Co Sobór osiągnął?* (4/222), przekł. z niemieckiego ks. Wacław Tokarek.

- MACKIEWICZ Józef: *Dla „dobra Kościoła”?* (3/221).
 MIKORSKI Jan: *Watykan a świat komunistyczny* (6/224), przeł. z francuskiego ks. Wacław Tokarek.
 MIŁOSZ Czesław: *Na marginesie Ankiety* (3/221).
Odezwa Arcybiskupa B. Kominka (10/228).
Odpowiedzi szczegółowe na Ankietę: Jerzy Horzelski, Niepodpisana wypowiedź z Paryża, Ewa Gieratowa, Witold Jedlicki, Józef Płoski, Wojciech Gniatczyński, Z. S. Siemaszko, Bogdan Mieczkowski, Jan Kuta (3/221).
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *Polityka — Kościół — Ewangelia* (9/227).
 TOKAREK Wacław, ks.: (tłumacz) ob. Küng H., Mikorski J.
 WOŹNICKI Andrzej: *Sytuacja religijna świata* (3/221).

Wolna trybuna

- SZNARBACHOWSKI Włodzimierz (tłumacz) ob. Vasconi L.
 VASCONI Luciano: *Chiny współczesne* (12/230), przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Dwa okresy powojenne* (4/222).
 — *Nowe pokolenie puka do drzwi* (10/228).
 — *Przyszłość planowania na Zachodzie* (7/225-8/226).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Przemiany sowieckiego systemu* (1/219-2/220), przeł. Maria Danilewicz.

Z języka francuskiego

- CEAUSESCU Mikołaj: *Przemówienie* (7/225-8/226).
 MIKORSKI Jan: *Watykan a świat komunistyczny* (6/224), przeł. ks. Wacław Tokarek.

Z łaciny

- WERGILIUSZ: *Zdobycie Troi* („Eneidy” ks. II) (1/219-2/220), przeł. Ignacy Wieniewski.

Z języka niemieckiego

- KÜNG Hans: *Co Sobór osiągnął?* (4/222), przeł. ks. Wacław Tokarek.
 LEWICKYJ Borys: *Polityka narodowościowa ZSSR* (10/228), przeł. Barbara Dworak.

Z języka rosyjskiego

- Abramek Terc* (1/219-2/220), przeł. Józef Łobodowski.
 MOŻAJEW B.: *Z życia Fiedora Kuźkina* (10/228, 11/229, 12/230), przeł. Józef Łobodowski.
 OBYWATEL SOWIECKI STAREGO POKOLENIA: *Do starego przyjaciela* (12/230).
 TERC Abram: *Pchenc* (1/219-2/220), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka ukraińskiego

- RYLSKI Maksym: *Wiersze* (7/225-8/226), przeł. Józef Łobodowski.
 SYMONENKO Wasyl: *Urywki myśli* (6/224), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Z brzegu wyczekiwań* (6/224), przeł. Józef Łobodowski.
 TIUTIUNNYK Hryhir: *Dziwna historia* (7/225-8/226), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka włoskiego

- MIHAJLOV Mihajlo: *Dziła i współczesna Jugostawia* (7/225-8/226), przeł. Paweł Zdziechowski.
 VASCONI Luciano: *Chiny współczesne* (12/230), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1966* (12/230).

Noty biograficzne

- CHILECKI Andrzej J. (11/229).
 KÜNG Hans (4/224).
 NAKOV Andrzej (12/230).
 SYMONOLEWICZ (SYMMONS) Konstanty (7/225-8/226).

Listy do Redakcji

- BEN Philippe (1/219-2/220), BERLSTEIN Alfred (4/222), BERNACKI Zbigniew W. ks. (9/227), BERNAUT E. K. (5/223), BIELIŃSKI A. (7/225-8/226), BIENIECKI Kajetan (10/228), BORWICZ Michał (5/223), BREGMAN Aleksander (1/219-2/220), BYŁA MIŃSKA PEOWIACZKA (10/228), CZAPSKA Maria (1/219-2/220), CZAPSKI Józef (12/230), CZARNECKI Marian (9/227), CZERNIAWSKI Adam (10/228), CZERNIAWSKI E. J. (7/225-8/226), DAROWSKI Jan (5/223), DAYON Marek (10/228), DEMEL

Franciszek (9/227), ESTRYN Anatol (10/228), FEUER K. B. (5/223), FLEMMING George J. (11/229), GAWROŃSKI Andrzej (1/219-2/220), GOLDSZLAG Fryderyk (7/225-8/226), GOMBROWICZ Witold (6/224), GÓRSKI Kazimierz (6/224), GRABOWSKI Zbigniew (6/224), GROCHOWSKI W. (9/227), HAUPTMANN Jerzy (9/227), IWANIUK Waław (7/225-8/226), JANTA-POŁCZYŃSKA Walentyna (4/222), JELEŃSKI K. A. (4/222), JENNE Benjamin Józef (10/228), KOLAJA Jiri (4/222), KOWALEWSKI Janusz (4/222), KOWALIK Jan (10/228), KRÓTKI Karol (12/230), LASKOWSKI Janusz (6/224), ŁUCZYSZYN Iwan (1/219-2/220), MACKIEWICZ Józef (7/225-8/226), MACKIEWICZ Stanisław (3/221), MITKIEWICZ Leon (9/227, 12/230), MORELOWSKI Jan (7/225-8/226), NADNIEMIENSKI Z. (9/227), NASIELSKI Adam (7/225-8/226), NOWACKI Tadeusz (4/222), OKULICZ Kazimierz (7/225-8/226), OSTASZEWSKI Jan (7/225-8/226), PALESTRANT (1/219-2/220), PAWLIKOWSKI Michał K. (10/228), PŁOSKI Józef (6/224), POMIAN Jan (7/225-8/226),*) POPŁAWSKI Włodzimierz V. (1/219-2/220, 4/222), POZNAŃSKI T. (10/228), PUACZ Edward (5/223), RACIEŃSKI Andrzej (6/224), ROKICKI Tadeusz (7/225-8/226), ROMANOW-GŁOWACKI Wiktor (10/228), RYSER-SZYMAŃSKI Witold (6/224), SCHOELL Franck L. (7/225-8/226), SIEMASZKO Z. S. (5/223, 9/227), SOKOŁOWSKI Jan O. (10/228, 11/229), SUKIENNICKI Wiktor (10/228), ULATOWSKI Jan (4/222), WALCZAK Anatol (4/222, 9/227), WEINTRAUB Wiktor (11/229), WILK Franciszek (11/229), WITT Eugene (9/227), ZALESKA Antonina (11/229), ZARZEWSKI Stanisław (6/224), ZIELICKI Antoni Józef (1/219-2/220), ZNOWSKI Bogdan (5/223), ZWOLSKA-SELLE Jadwiga (4/222).

*) POMORSKA Jadwiga (12/230),

Różne

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/219-2/220, 3/221, 4/222, 6/224, 7/225-8/226, 9/227, 10/228, 11/229, 12/230).
XX-lecie Instytutu Literackiego (5/223).

Wydawnictwa książkowe w roku 1966

Biblioteka « Kultury »

Tom CXXIII — Guzy Piotr: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, str. 160.
Tom CXXIV — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych*, (Seria „Dokumenty”), str. 80.
Tom CXXV — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9), str. 240.
Tom CXXVI — Toporska Barbara: *Siostry*, str. 216.
Tom CXXVII — *Sąd idzie!* (Seria „Dokumenty”), str. 120. (dwa wydania).

Tom CXXVIII — Hłasko Marek: *Piękni, dwudziestoletni*, str. 216.
Tom CXXIX — Lewickij Borys: *Polityka narodowościowa ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”), str. 312.
Tom CXXX — Mihajlov Mihajlo: *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”), str. 224.
Tom CXXXI — Flemming George J.: *Polska mało znana*, str. 164.
Tom CXXXII — Kuroń Jacek i Modzelewski Karol: *List Otwarty do Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR przy U.W.* (Seria „Dokumenty”), str. 96.
Tom CXXXIII — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10), str. 240.
Tom CXXXIV — Lednicki Waław: *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*, str. 144.
Tom CXXXV — Czerniawski Adam: *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje), str. 64.
Tom CXXXVI — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”), str. 80.
Tom CXXXVII — Flemming George J.: *Czym to się je?*, str. 132.
Tom CXXXVIII — Gombrowicz Witold: *Dziennik (1961-1966). Operetka*, str. 256.
Tom CXXXIX — Hertz Aleksander: *Refleksje amerykańskie*.

221 zeszyt „Kultury” (marzec 1966) zawierał stron 192 — zamiast 160, zaś zeszyt 230 (grudzień 1966) stron 176 — zamiast 160.



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”. Waław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1966.

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXXXI

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164.

Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXII - Seria « Dokumenty »

JACEK KUROŃ I KAROL MODZELEWSKI

LIST OTWARTY

Do Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR
przy Uniwersytecie Warszawskim

List zawiera streszczenie Memoriału, który stał się powodem aresztowania i skazania autorów i ich zwolenników na ciężkie kary więzienia. Jest to pierwsza próba sformułowania z pozycji marksistowskich programu alternatywnego nie tylko dla Polski Ludowej, ale dla całego bloku komunistycznego. Jest to program narastającej nowej rewolucji.

Str. 96.

Cena 7 F (dol. 1,50; 11/-)

TOM CXXXV

ADAM CZERNIAWSKI

SEN-CYTADELA-GAJ

P o e z j e

Str. 64.

Cena 6 F (9/-; dol. 1,25)

TOM CXXXVI - Seria « Dokumenty »

SCHIZMY

Wytyczne ideowo polityczne Stowarzyszenia PAX
Odbudowa Komunistycznej Partii Polski
Wstęp Juliusza Mieroszewskiego

Str. 80.

Cena 7 F (9/-; dol. 1,25)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.

Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer, Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa. 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

Nowości

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXXVII

GEORGE J. FLEMMING

CZYM TO SIĘ JE ?

**CZYLI
DOBRE RADY DLA REEMIGRANTÓW
I TURYSTÓW**

TO KSIĄŻKA

KTÓRA NIEWĄTPLIWIE SPOTKA SIĘ Z TAKIM SAMYM
ZAINTERESOWANIEM WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW JAK

POLSKA MAŁO ZNANA

BEST-SELLER BIEŻĄCEGO ROKU

Str. 132.

Cena F 10 (15/-; dol. 2,25)



TOM CXXXVIII

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)

OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Cena 5,00 F